SŁAW

ONT

OPI

Niniejszy autograf W. Reymonta (kk. 1-39, 53-154, 165-247) ofiarował Wacław Anczyc w czerwcu 1937 r.; oprawiono go w tymże miesiącu.

Garm

4/2 arkusza

30 w. bez pag.

Chłopi

Jesień.

I

Zenonowi Przesmyckiemu (Miriamowi)
poświęca
Autor.

. . . .

. . . . . Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków, moja Agato, a dokąd to wędrujecie, co? —

— We świat, do ludzi dobrodzieju kochany — w tyli świat!... zakreśliła kijaszkiem łuk od wschodu do zachodu. —

Ksiądz spojrzał bezwiednie w tę dal i rychło przywarł oczy, bo nad zachodem wisiało oślepiające słonce; a potem spytał ciszej, lękliwiej jakby...

— Wypędzili was Kłębowie, co?.. A może to ino niezgoda?.. może...

Nie zaraz odrzekła.

Wyprostowała się nieco, powlekła ciężko staremi wypełzłemi oczami po polach ojesieniałych, pustych i po dachach wsi zanurzonej w sadach.

— I... nie wypędzali... jakieby... dobre są ludzie — krewniaki. Niezgody też nijakiej być nie było — Samam ino zmiarkowała się, trza mi w świat —

Chłopi.

Z cudzego woza - to złaź choć i wpół mostu.
Trza było... roboty już la mnie nie miały.. na zimę idzie, to jakie - darmo mi to dadzą warzę abo i ten kąt do spania?..
A że rychtyk i ciołka odsadzili od maci... a i gąski, że to już zimne noski, trza zagnać pod strzechę - tom i zrobiła miejsce... jakże, bydlątek szkoda. Boże stworzenia tej... A będzie dobrze, że mnie choć latem przytuła, kąta ani tej łyżki strawy nie żałują - że se człowiek, niczym jaka gospodyni paraduje..
A na zimę we świat, po proszonem -
Nie wiela mi potrza, to się u dobrych ludzi uproszę i do świętej wiosny z Panojezusową łaską przechyrlam a jeszcze się coś niecoś grosza uciuła - to rychtyk la nich na przednówek..., krewniaki przeciech...
A juści Jezusiczek przepaśliwej biedoty opuścić nie opuści -
- Nie opuści, nie - zawołał gorąco i wstydliwie wsadził jej w garść złotówkę.
- Dobrodzieju nasz serdeczny, dobrodzieju! -
Przypadła mu do kolan roztrzęsioną głową, a łzy jak groch posypały się po jej twarzy szarej i zwiędłej jak te jesienne podorywki -
- Idźcie z Bogiem - idźcie.. szeptał zakłopotany podnosząc ją z ziemi.
Żebraczka drżącemi rękami torby i kijaszek zajęła na koniec, przeżegnała się i poszła szeroką, wyboistą drogą ku lasom; raz wraz tylko odwracała się ku wsi, ku polom na których kopano kartofle i na te dymy pastuszych ogników co się snuły nisko nad ścierniskami - poglądała żałośnie.. aż i zniknęła za przydrożnemi krzami -

A ksiądz wiódł z powrotem na kółkach od pługa, zażył tabaki i rozłożył brewiarz, ale oczy ześlizgiwały mu się z czerwonych liter i leciały po ogromnych, w jesiennej zadumie pogrążonych ziemiach, to po bladem niebie błądziły, lub zatrzymywały się na parobku pochylonym nad pługiem.

— Walek.. bruzda krzywa... ty... Zawołał unosząc się nieco i chodził już oczami, krok za krokiem za parą tłustych siwków, ciągnących pług ze skrzypem.

Zaczął znowu bezwiednie przeciągać czerwone litery brewiarza i poruszać ustami ale co chwila gonił oczami siwki, to te stadko wron, które ostrożnie, z wyciągniętemi dziobami podskakiwały w bruździe i raz wraz, za każdym świstem bata, za każdym nawrotem pługa, podrywały się ciężko, padały zaraz na zorane zagony i ostrzyły dzioby o twarde, tłuste skiby —

— Walek! a śmignij no prawą po pęcinach. bo ostaje! —

Uśmiechnął się, bo jakoś po babie prawa już równo ciągnęła — a gdy konie doszły do drogi, uniósł się żywo, poklepał je przyjaźnie po ~~[illegible]~~ karkach aż wyciągały do niego nozdrza i przyjacielsko obwąchiwały mu twarz.

— Heeet-aa! Wołał śpiewnie Walek, wyciągnął błyszczący jakby ze srebra pług, uniósł go lekko, pociągnął konie lejcami i zatoczył krótki łuk, wraził krój błyszczący w rżysko, śmignął batem, konie pociągły śmielej aż zgrzytnęły orczyki — i orał dalej, wielki łan ziemi, co pod prostym kątem spadał od drogi po pochyłości i niby długi ~~[illegible]~~ wątek zgrzebnych skib, rozciągał się aż ku wsi leżącej nisko i jakby zatopionej w czerwonawych i żółtawych sadach —

Cicho było, ciepło i nieco sennie.
Słońce, chociaż to był już koniec Września, przygrzewało jeszcze niezgorzej - wisiało
w połowie drogi między południem a zachodem, nad lasami, że już krzyże, i kamio-
nki, i grusze po polach, a nawet zeschłe twarde skiby, kładły rasię cienie
mocne i chłodne.
Cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkość w powietrzu przygrzanem
kurzawą słoneczną; na wysokim, bladym błękicie, leżały gdzie niegdzie bezład-
nie porozrzucane ogromne białe chmury, niby zwały śniegów, nawiane
przez wichry i postrzępione.
A pod niemi, jak okiem ogarnąć, leżały szare pola, niby olbrzymia misa o
modrych wrębach lasów - misa, przez którą jak srebrne przędziwo rozbłysłe
słońcem, migotała się w skrętach rzeka i pod olch i łozin nadbrzeżnych.
~~u~~Bielała w pośrodku wsi ~~[illegible]~~ ogromny podłużny staw i uciekała na
północ wyrwą wśród pagórków; na dnie kotliny, dookoła stawu, leżała wieś
i grała słońcem jesiennemi barwami sadów - niby czerwono-żółta liszka
zwinięta na szarym licu polami - od której do lasów wyciągały się
długie, splątane nieco przędziwo zagonów, płachty pól szarych, ciemnych między
pełnych kamionek i tarnin - tylko gdzie niegdzie w tej srebrnawej
szarości, rozlewały się strugi złota - łubiny żółciły się kwiatem pachnącym,
to biegły ombiałe, wyschłe łożyska strumieni, albo leżały piaszczyste
senne drogi i (nad niemi) rzędy pokrzywionych topoli zwolna wspinały się na
wzgórza i pochylały ku lasom. Długi, żałosny ryk rozległ się gdzieś niedaleko aż
Ksiądz ocknął się z zapatrzenia, bo ~~f~~ krowy poderwały się wszystkiem i skoiurno

rzutem leciały na kopaniska — a czarny migocący cień biegł za niemi dołem po rżyskach i podorywkach.
Przysłonił ręką oczy i patrzył pod słońce — drogą od lasów szła jakaś dziewczyna i ciągnęła za sobą na postronku dużą, czerwoną krowę, gdy przechodziła obok, pochwaliła Boga i chciała skręcić aby księdza pocałować w rękę, ale krowa szarpnęła ją w bok i znowu uciec zaczęła.
— Na sprzedanie prowadzisz, co?
— Ni.. ino do młynarzowego byka... a stój że zapowietrzona... wściekłaś się czy co! Wołała zadyszana usiłując ~~ją~~ powstrzymać ale krowa ją pociągnęła, i już obie gnały drogą aż kurz je zakrył obłokiem
A potem wlókł się ciężko po piaszczystej drodze żyd szmaciarz, pchał przed sobą taczki dobrze naładowane, bo raz wraz przystawał i ciężko dyszał.
— Co tam słychać Mośku?
Co słychać?.. Komu dobrze to i dobrze słychać... Kartofle chwała Bogu obrodziły, żyto sypie, kapusta będzie. Kto ma kartofle, kto ma żyto, kto ma kapustę — temu dobrze słychać! pocałował księdza w rękaw, założył na kark pas od taczek i pchał dalej, lżej już, bo rozpoczynał się spadek gościńca.
A potem szedł środkiem drogi, w kurzawie, bo zamiatał nogami, ślepy dziad, prowadzony przez kudłatego kundla na sznurku.
A potem leciał od lasu chłopak z butelką, ale ten ujrzawszy księdza przy drodze, skoczył do zboża i biegł na przełaj pól do karczmy.
To znowu chłop z sąsiedniej wsi, wiózł do młyna, albo żydówka pędziła stado kupionych gęsi.

A każdy pochwalił Boga, zamienił słów parę i szedł w swoją drogę, odprowadzany życzliwem słowem i spojrzeniem księdza, który, że już słońce było coraz niżej, powstał i krzyknął do Walka.

— Dobrze do bryczki i do domu... na nic się konie zmachają.

I poszedł wolno miedzami, odmawiał półgłosem modlitwy i jakiemś, pełnem kochania spojrzeniem, ogarniał pola..

..... rzędy kobiet czerwieniły się na kopaniskach... rozlegał się grochot zsypywanych do worów kartofli... miejscami orano jeszcze pod siew... stada krów srokatych pasły się na ugorach... długie popielate zagony rdzawiły się młodą szczotką zbóż wschodzących... to gęsi, niby płaty śniegów, bieliły się na wytartych, zrudziałych łąkach... krowa gdzieś zaryczała... ogniska się paliły i długie, niebieskie warkocze dymów ciągnęły się nad zagonami... wóz zaturkotał albo ptak zgrzytnął okrzykiem... to cisza znowu obejmowała ziemię na chwilę, że słychać było głuchy bełkot rzeki i turkot młyna, schowanego za wsią, w bitym gąszczu drzew pożółkłych... to znowu śpiewka się zawodziła lub krzyk niewiadomo skąd powstały, leciał nisko, tłukł się po bruzdach i rowach i tonął bez echa w jesiennej szarości, na ścierniskach oprzędzonych srebrnemi pajęczynami, w pustych sennych drogach nad któremi pochylały się jarzębiny o krwawych, ciężkich głowach... to włóczono role i tuman szarego, przesłonecznionego kurzu, podnosił się za bronami, wydłużał i pełzał aż na wzgórze i opadał, a spod niego, niby z obłoku, wychylał się bosy chłop, z gołą głową, przewiązany płachtą — szedł wolno nabierał ziarna z płachty i siał ruchem monotonnym, nabożnym i błogosławiącym ziemi

dochodził do końca zagonów, nabierał z worka ziarna, zawracał i z wolna podchodził pod wzgórze, że najpierw głowa wyrastała, potem ramiona, a w końcu już był cały widny na tle słońca. I tym samym błogosławiącym ruchem siejby, i tym samym świętym rzutem rozrzucał zboże, co jak złoty pył, kolistym wirem padało na ziemię.

Ksiądz szedł coraz wolniej, czasem przystawał aby odetchnąć, to znowu obejrzał się na swoje siwki, to przyglądał się chłopakom obtłukującym kamieniami ogromną gruszę, aż wreszcie przybiegli do niego i chowając ręce za siebie, całowali wszyscy sutannę.

Pogładził ich po głowach i rzekł upominająco.

– Nie łamcie ino gałęzi, bo na bezrok gruszek mieć nie będziecie.

– My nie rzucalim na gruszki, ino że tam jest gapie gniazdo – ozwał się śmiały.

Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i zaraz znowu przystanął przy kopaczach.

– Szczęść Boże w robocie.

– Bóg zapłać, dziękujemy! Odpowiedzieli razem, prostując się i ruszyli wszyscy do ucałowania rąk dobrodzieja kochanego.

– Pan Bóg dał dobry urodzaj na kartofle, co? Mówił wyciągając otwartą tabakierkę do mężczyzn – brali sumiennie i z szacunkiem w szczyptę, nie śmiejąc przy nim zażywać

– Juści, kartofle kiej kocięty i dużo pod korami

– Ha, to świnię utuczycie, bo jaki taki chcieć będzie wsadzić do karmnika

– Już i tak drogie; na zarazę latem wyginęły a i do tego skupieją –

– Prawda, prawda. A czyje to ziemniaki kopiecie?

A Borynowe.

Gospodarza nie widzę, to mi i rozeznać nie sposób.

Ociec pojechali ~~[illegible]~~ z Kubą do boru.

A to wy Anna, jakże się macie? Zwrócił się do młodej, przystojnej kobiety w czerwonej chustce na głowie, która z ręce miała uwalane ziemią, przez zapaskę ujęła jego rękę i pocałowała –

– Jakże się ma ten wasz chłopak, com go to we żniwa chrzcił?

– Bóg zapłać dobrodziejowi, zdrowo się chowa i już coś niecoś bajdurzy.

– No, zostańcie z Bogiem.

– Panu Bogu oddajem.

I ksiądz skręcił na prawo, ku cmentarzowi, który leżał z tej strony wsi przy topolami wysadzonej drodze.

Długo za nim spoglądali w milczeniu, na jego smukłą, pochyloną nieco postać, dopiero gdy przeszedł przez kamienne ogrodzenie cmentarza i szedł między mogiłkami ku kaplicy, co stała wpośród pożółkłych brzóz i klonów czerwonych, rozwiązały się im języki.

– Lepszego to i na całym świecie nie znalezie. Zaczęła któraś z kobiet.

– Juści, chcieliby go też zabrać do miasta.. żeby ociec z wójtem nie jeździł prosić biskupa – zabraliby go i wzięli.. Szkoda ino będzie, szkoda, bo to wieczerza mało daleko a ziemniaków mało wiele. Mówiła Anna, wysypując swój kosz na kupę zebraną już na rozkopanej ziemi, pośród zeschłych łęcin.

Wzięli się ~~ży~~ żywo do roboty i wesoło, że ino słychać było stukanie

I ksiądz skręcił na prawo, ku cmentarzowi, który leżał na drugim końcu w
wsi przy drodze wysadzanej topolami

motyczki o twardą ziemię a czasem suchy trzask żelaza o kamień
Czasami ktoś niektóry wyprostował krzyża i zbolały grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na idącego przed niemi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza przed się stojącego.
Ludzi było kilkanaścioro, przeważnie starych kobiet i komorników, a za niemi bieliły się dwa koszyki, w których w płachtach beczały dzieci raz wraz popłakując

- A tak i stara poszła w świat. Zaczęła Jagustynka.
- Kto? Spytała Anna podnosząc się
- A stara Agata
- Na żebry...
- Juści że na żebry! Hale nie na stołkowi ino na żebry. Obrobiła krewniaków, wysłużyła się im bez lato - to już ją puściły na wolny świat.
- Wróci na wiesnę to im naznosi w tobołeczkach, a to i cukru, a to i herbaty, a to i grosza co niecoś - zaraz ją będą miłowały, każą spać w łóżku, pod pierzyną, robić nie dadzą, coby se odpoczęła... A wujna, a ciotka jej mówią póki tego ostatniego szeląga od niej nie wyciągną... A jesienią to już la niej miejsca nie ma w izbie ani we chlewie. Ścierwy, psie krewniaki i zapowietrzone - wykrzyknęła Jagustynka i taki gniew ją porwał, że stara jej twarz posiniała

Biednemu to zawżdy, wiadomo, wiater w oczy. Dorzucił jeden z komorników, stary wyschnięty chłop z krzywą gębą.
- Kopta no ludzie, kopta - przerwała Anna nierada takowej rozmowy.

Jagustynka, że to długo nie mogła bez gadania, to przysunęła się na siedzących i rzekła:
— Że przecież to stare chłopy, że jaże im już kłaki na łbach porastają...
— Hale, kawalery zawdy — rzekła inna kobieta.
— A tyla dziewek się starzeją abo i służby szukać idą...
— Przeciech, a one mają cały półwłóczek i jeszcze Grzelę za wojskiem.
— Juści, abo to im matka ta się żeni... abo to im popuści...
— A ktoby krowy doił, ktoby oprzędał, ktoby koło gospodarstwa abo i świni chodził?..
— Obrządzają ze Matuką i Jagusią — bo jakże. Jagna kiej pani jaka, kiej i druga dziedziczka, ino się stroi.. a myje, a w lusterku przegląda, a warkocze zaplata
— I patrzy ino kogoby przeciw pod pierzynę, któren aby mocny! Dorzuciła znów ze złym uśmiechem Jagustynka.
Józek Banachów, posyłał z wójtka — niechciała.
— Ee... dziedziczka zapowietrzona
— A stara ino w kościele siaduje, a na książce się modli, a na odpusty chodzi!
— Prawda, ale czarownica to też jest; a Wawrzonowym krowom, to kto mleko odebrał, co? A jak na Jarzynowego chłopaka, co jej śliwki w sadku obrywał, jakieś złe słowo powiedziała, to mu się zaraz taki kołtun zwił i tak go pokręciło, że Jezus!
— I ma tu błogosławieństwo Boże być nad narodem, kiej takie we wsi siedzą.
— A drzewiej, kiej jeszcze krowy pasałem tatusiowe, to bacę, że takie ze wsi wyganiali — dodała znowu Jagustynka.
— Tym się krzywda nie stanie, bo ma je kto strzec... i [illegible]

a potem rzekła na Annę, co kopała na przedzie pierwszą z brzega redlinę, szeptała Jagustynka sąsiadkom.

— A ponoć pierwszy do obory, to ano chłop Hanki... ciągnie się on za Jaguną kiej ten pies...

— Zaboga... mościewy... cudeńka powiecie... Hale! toby już grzech i obraza boska była... szeptały do siebie kopiąc i nie podnosząc głów

— A bo to on jeden... a bo jak za suką, tak chłopaki za nią ganiają.

— A cóżci urody ma to ma: wyprężona kiej jabłonka, biała na gębie — a ślepie to ma rychtyk jak te lnowe kwiatki... a wiemy, że i niejeden chłop jej niewart...

A bo to co taki, a ino dobrze żre a wyśpi się, to niema urodna być...

Milczały długą chwilę, bo trzeba było kartofle wygrzebywać na kupy.

A potem już zgodnie pogadywały to o tem, to owem... aż i zamilkły, bo któraś dojrzała, że od wsi, ścieżkiem, bieży Józka Boryniaczka.

Jakoż i ta nadbiegła zziajana i już zdaleka krzyczała:

Hanka, a chodźcie ino do chałupy, bo krowie się coś słabo.

Jezus Marya... a której?...

— A to ci graniastej... a to ci... tchu złapać nie może...

Zaboga się musi zatruła, wyzdychają mi moje... zawołała rzewnie Anna.

— Witek ją co dopiero przygnał, bo ~~[illegible]~~ gajowy ich wygnał z zagajów. Krowa się zlachała bo taka zgrzana... i zaraz przed oborą upadła... i ani pić nie chce, ani jeść nie chce... ino się tarza a ryczy, że Loboga!

— Ojca to niema?

- Ni, tatulo jeszcze nie przyjechali. O Jezus, mój Jezus, taka krowa, co nam tyż dobrze i garniec mleka dawała. A chociaż zdechło.
- Słuchem ci kece, w to ocymgnienie.

Jakoż i wyjęła dziecko z płachty, nadziała mu czapeczkę i kaftanik, okręciła zapaską i poszła żywo, a taka była strwożona wieścią, że nawet nie spostrzegła wełniaka, zapomniała go zapiąć, aż jej odsłonięte do kolan nogi bieliły się na roli. Józka biegła przodem.

A kopacze, każdy okrakiem nad swoją redliną, posuwali się zwolna kopiąc leniwiej, jakoże nikt nie pilił i nie poganiał.

Słońce już się przetoczyło na zachód i jakby rozmazane biegiem szalonym, czerwieniło się kołem ogromnem i zsuwało się za czarne, wysokie lasy.

Mrok gęstniał i pełzał już po polach; sunął bruzdami, czaił się po rowach, wybierał wgłębienia i zwolna rozlewał się po ziemi, przygasił, ogarniał i tłumił barwy, że tylko czuby drzew i wieże i dachy kościoła gorzały płomieniami.

A niektórzy ściągali już z pól do domów.

Głosy ludzkie, rżenia, porykiwania, turkoty wozów coraz ostrzej brzmiały w cichem omroczonem powietrzu.

Sygnaturka na kościele zaczęła dzwonić Anioł Pański, spóźnionym śniegotem, że ludzie przystawali i szept pacierzów [illegible] szemranie opadających listków padał w mroki. ~~[illegible]~~.

Ze śpiewami a pokrzykami wesołemi, spędzano bydło i paśnik, co żywe szło drogami w tumanach kurzawy, że tylko raz wraz wychylały się z niej głowy potężne i rogi rozwarte.

Owce pobekiwały tu i owdzie, to gęsi zrywały się z pastwisk i stadami leciały całe w wrzaskach gęgotu rozpięte, że tylko ~~ich~~ krzyk przenikliwy znaczył je w powietrzu.

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

– ~~[illegible]~~
– Ale szkoda, ta graniasta to cielna krowa
– I.. nie na biedaka trafiło
– A tak i bydlątka żal co się zmarnuje
Gospodyni Borynie nie ma, to wszystko leci kiej przez sito.
– A bo to Hanka nie gospodyni!
– Ta ziębie.. jakby nakomornem u ojca siedzi, to jeno patrzą aby ino na swoją stronę coś niecoś urwać, a ojcowego niechta pies pilnuje.
– A Józka się to jeszcze skrzat głupi, to i cóż poredzi.
– Hale, aboto Boryna niemógłby grunt oddać Antkowi, co?
– A sam pójdzie do nich na wycug, co?.. Starszy Wawrzon a do ona jeszcze głupi – zaczęła znów Jagustynka – Ho, ho, Boryna jeszcze krzepki, może się ożenić, a głupi by był, żeby dzieciom zapisywał –
– Hale, krzepki to jeno się jest ale już ma sześćdziesiąt roków –

Nie bój się Wawrzon, każda niebożka pódzie za niego, niechby tylko rzekł. Już dwie żony pochował.

– Niech się pochowa i trzecia. Panie Boże mu pomóż, a niech dzieciom póki żyw nie daje ni staja, ni liszki jednej, ni tyle co trzepem przyprzepnie – Scierwy, wyszykowałyby go, kiej moje mnie. Dobyły mu wyceny! że na wyrobek by chodził, z głodu by zdychał abo i na żebry, po proszonem szedł. Oddaj ino co masz dzieciom – to ci odpłacą, rychlej ci tego starczy na sznureczek abo i na ten kamień do szyi...

– Ludzie a to czas do domu, mroczeje.

– Czas, czas! słonce już zaszło.

Pozbierali prędko motyczki, koszyki, te dwojaki od obiadów i szli wolno gęsiego, milcząc, pogadując coś niecoś, a tylko stara Jagustynka, wykrzykiwała wciąż namiętnie, na dzieci własne, a potem jeszcze wszystkich pomstowała.

~~[illegible]~~

A równo z niemi, jakaś dziewczyna gnała maciorę z prosiętami i śpiewała cienkim głosikiem.

Aj, nie chodź kiele wody –
Aj, nie targuj się oczy
Aj nie daj chłopu gęby
Aj choć cię pieści mój

– Ciągnie głupia, wrzeszczy kiejby ją kto ze skóry obdzierał. F 16/17

II

Na Borynowem podwórzu obstawionem z trzech stron budowlami gospodarskiemi, a z czwartej sadem który oddzielał od drogi, już się zebrało dość narodu; kilka kobiet radziło i wydziwiało nad ogromną czerwono-białą krową, leżącą przed oborą, na kupie nawozu.

Stary pies, kulawy nieco i z obłazłą na bokach sierścią, oganiał gromadkę, obwąchiwał ją, szczekał, to wypadał w opłotki i gnał dzieci na drogę, co się były wieszały na płotach i zaziérały ciekawie w obejście, albo docierał do maciory co leżała pod chałupą i rozwalona jęczała cicho, bo ssały ją białe, młode prosięta

Hanka nadbiegła właśnie z Kłębową, przypadła do krowy i jęła ją głaskać po gębuli i łbie

— Granula, biedoto, granula! wołała łzawo aż i buchnęła płaczem i lamentem serdecznym

A kobiety raz wraz radziły nowe ratowanie chorej; to sól rozpuszczoną wlewali jej w gardło, to topiony z pomieszaną gorzałką wosk z mlekiem; radził ktoś mydła z gorzałką — insza znowu wołała żeby krew puścić — ale krowie nic nie pomagało, wyciągała się coraz dłużej, niekiedy podnosiła łeb i porykiwała długo jakby o ratunek, boleśnie, aż jej piękne oczy o białkach różowych, mętniały mgłą i ciężkli, rogaty łeb opadał z wysilenia, że ino wyciągała ozór i polizywała ręce Hanki.

— A może by Ambroży co poradził? zaproponowała Kłębowa.

— Prawda, na chorobach on jest znający. Zawtórowali.

– Biegnij no Józia, na Anioł Pański dzwonili, to musi jeszcze być przy kościele.
Zaboga, a jak ociec nadjadą, będzie to pomstowania, będzie – A przeciech my niczego niewinowate! Narzekała płaczliwie.
A potem siadła na progu obory, wsadziła chłopakowi wąsta, bo popłakiwał, bieda pełna pierś i trwoga niezmierna spoglądała na krowę rzężącą, to przez opłotki na drogę i nasłuchiwała.
W pacierz albo i dwa wpadła Józia z krzykiem, że Jambroży już idą.
Jakoż i przyszedł zaraz, dziad może stuletni, prosty jak świeca choć o nodze drewnianej i o kiju, łysy, wiór suchy, pomarszczony jak kartofel na wiosnę i skory taki, wygolony i pocięty szramami, włosy białe jak mleko, kosmykami opadały mu na czoło i kark, bo był goło głowy.
Poszedł prosto do krowy i dokumentnie ją obejrzał.
– Oho, widzę że świeżego mięsa jedli będzieta –
– Aże jej pomożecie co, wylekujecie, a toć krowa ze trzysta złotych warta – i dopiero po cielęciu, ażeć pomożecie! O mój Jezu, mój Jezu. Zawołała Józia.
Ambroży wyjął z mieszka puszczadło, pociągnął je po cholewie, przymierzył się pod skórę ostrzem i przeciął grube arterie pod brzuchem – ale krew nie trysnęła a ciekła wolno, czarna i spieniona.
Stali wszyscy dokoła pochyleni i patrzyli bez oddechu.
– Za późno! Ino bydlątko ostatnią parę puszcza. Rzekł uroczyście Ambroży.
Nie to ino paskudnik albo i co innego... trza było zaraz kiej zachorzała... ale te baby, to ino jucha do płakania są mądre a jak trza ratować to wtedy kiej owce. Splunął pogardliwie, obszedł krowę, zajrzał jej

wozy, przyjrzał się oborowi, obtarł zakrwawioną rękę o jej miękką, lśniącą skórę.
~~i zabierał się do od~~ejścia. ——— . . . —— . . . . —— . . .

— Na ten pacierz dzwonią nie kto; zadzwoniła wszystkie same.

— Ociec i Antkiem! krzyknęła Józka i wybiegła na drogę, na przeciw, bo głuchy ciężki turkot rozległ się z drugiej strony stawu, gdzie w rozczerwienionej zorzami zachodu [illegible] czerniał długi wóz i konie.

— Tatulu, ato.. graniasta już zdycha. Wołała dobiegając do ojca, który skręcał właśnie na tę stronę stawu, Antek szedł w koniu i podtrzymywał, bo wieźli długą sosnę.

— Nie płacz byle czego po próżnicy. Mruknął podcinając konie.

Jambroży puszczali krew i nic... i wosk topiony lali jej w gardziel i nic... i sól.. i nic.. pewnie paskudnik... Witek pedał, co borowy wygnał ich z zagajów, i co graniula zara się pokładała i stękała, jakże ja i przygnał...

— Graniasta, najlepsza krowa, aeby was piorun pokręciło, kiej tak pilnujecie.

Rzucił lejce synowi i zatem [illegible] pobiegł przodem.

Baby się rozstąpiły, a Witek który cały czas coś najspokojniej nawijał pod chałupą, skoczył w ogród i przepadł w sadach, nawet Hanka podniosła się z progu i stała bezradna, strwożona.

— Zmarnowali mi bydlę.. wykrzyknął wreszcie stary obejrzawszy krowę! Trzysta złotych jak w błoto! Do mnie to [illegible] aż gęsto, ja przypilnować nie ma kto. Taka krowa, taka krowa! A to [illegible] się [illegible] nie może, bo same szkoda i upadek..

— Być ja od [illegible] byłam przy Kopaniu — Tłumaczyła się cicho Hanka.

— A bo ty co kiej widzisz! krzyknął z wściekłością — A bo ty [illegible] o mój!

— Taka krowa, taki kawan że i drugiej nie w każdym dworze by znalazł! Wykrzykał coraz żałośniej i obmacywał ją, próbował podnieść, ciągnął za ogon, zaglądał w zęby, ale krowa dyszała chrapliwie i coraz ciężej, krew przestała płynąć, tylko ulepła w czarne spieczone żyłki — wywracała już zdychała.

— Nie ma co ino ją trza dorznąć, choć tyla się wróci!

Rzekł w końcu, przyniósł kosę ze stodoły, poostrzył ją nieco na kamieniu, co stał pod okapem obory, rozdział się ze spencerka, zawinął rękawy koszuli, i zabrał się do zarzynania...

Hanka z Józią buchnęły płaczem, bo graniula, jakby czując śmierć, uniosła z trudem łeb, zaryczała głucho i... padła z przerżniętym gardłem grzebiąc ino nogami...

Pies zlizywał krzepnącą na powietrzu krew, a potem skoczył na doły od kartofli i szczekał na konie stojące z wozem w opłotkach, bo tam je zostawił Antek a sam spokojnie przyglądał się jatce.

— Nie bucz głupia! Ojcowa krowa, to nie nasza strata! powiedział ze złością do żony i zabrał się do wyprzęgania ~~[illegible]~~ i rozbierania koni, które już Witek ciągnął za grzywy do stajni.

— Ziemniaków w polu dużo? Zagadnął Boryna, myjąc pod studnią ręce.

— A bogać tam mało, będzie ze dwadzieścia worków.

— Trzeba dzisiaj zwieźć.

— Hale, zwoźcie se sami, ja już kulasów nie czuję ni krzyża... a i lisowy kuleje na przednią.

— Józka, zwołaj no Kubę od kopania, niech zwózkę robi za lisowego i tam dzisiaj zwiezie — Jeszcze ano być może.

~~– Bieżyj no Józiu, na strych, ptaszki rychło chowali, to mnie jeszcze być przy korcie. Dobrze, a jak ociec nadjadą, będzie ku pomachowani, bracie. A przecież my niczego nie widzieli. – Wszystko Hanka podejmuje i na swoje oczy.~~

Ale wraz złością i markotnieniem, bo ciągle mu przystawał przed oczyma i kłów ściągając, a potem łaził po podwórzu i zaglądał to do obory, to do stodoły to pod szopę i sam nie wiedział czego szuka, jaka go ano taka strata

– Wilk! Wilk! jął wołać i odpinał już wysoki rzemień z biodra, ale chłopak się nie pokazał

Ludzie się porozchodzili, bo rozumieli że taka złość i taka markotność, może się skończyć bitką, jako że do niej Boryna był skory zawżdy, ale ostał blady tylko dziwił i poszedł do izby.

– Hanka, a dajno jeść! krzyknął na synową w otwarte okno, i poszedł na swoją stronę.

Dom był wszystek, tymczasem – przedzielony na przestrzał sienią ogromną, z której wychodził na podwórze a przodem czterookiennym na sad i na drogę.

Jedną połowę od ogrodu zajmował Boryna z Józią, a na drugiej siedzieli Antkowie, parobek z Pietrkiem sypiali przy koniach.

W izbie było już ciemnawo, bo przez małe okienka przysłonięte okapem i zagajone drzewami, mało przeciskało się światła, a i mroczało już na świecie. że tylko połyskiwały szkła obrazów świętych, co rzędem ~~[illegible]~~ czerniły się na bielonych ścianach; izba była duża ale przygnieciona czarnym pułapem i ogromnymi belkami pod nim, i tak zastawiona różnym sprzętem, że tylko koło wielkiego komina z okapem, co stał przy sieniej ścianie, było nieco swobodniejszego miejsca –

Boryna się rozzuł i poszedł ~~do~~ ciemnego alkierza zamykając drzwi za sobą, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~, odsunął z małej szybki deskę że zachodnie światło wsączyło się brzaskiem rudym alkierz

Izdebka pełna była różnych rupieci i statków gospodarskich, na drążkach w poprzek przeciągniętych wisiały kożuchy, czerwone pasiaste wełniaki, białe sukmany, to całe pęki motków szarej przędzy i zwiędłe wiązki brudnej wełny owczej i worki z pierzem. Wyciągnął białą sukmanę i pas czerwony, a potem długo czegoś szukał w beczkach napełnionych zbożem, to w kącie pod stosem starych rzemieni i żelastwa, aż usłyszawszy Hankę w pierwszej izbie, zaciągnął deskę na okienko i znowu coś długo grzebał w zbożu.

A na ławie pod oknem już się dymiło jadło: od ogromnego tygla z kapustą rozchodził się zapach słoniny jak i od jajecznicy, której niezgorsza miseczka stała obok.

— Gdzie Witek pasł krowy? — zapytał krając potężny glon chleba i łychając jak ~~[illegible]~~ przedtem wielkiego.

— Na dworskich zagajach i borowy go stamtąd wygonił.

— Ścierwy, zmarnowali mi bydło.

— Przeciech, tylko krowa to się zlachała w tem gonieniu że się wnet cosik zepsuło.

— Dziedzic przeklęty. Pastwiki są nasze, w tabeli stoi kiej wół a one ciągiem wyganiają i pędzą co ich —

— Drugich też powyganiali z chłopaka Walkowego tak zbił, tak zbił —.

— Hej, do sądu trza abo i do komisarza. Trzech złotych warta jak nic.

— Pewnie, pewnie. Przytakiwała rada niezmiernie, że ociec się udobruchali.

— Powiedzcie Antkowi, że skoro ziemniaki zwiezą, to niech się weźmie do krowy, trza ją obtłópić i poćwiertować. Przyjdę od wójta, to wama pomogę. W dzieżku u belki ją powiesić — bedzie bezpieczniej ode psów lebo jenszej gadziny —

Skończył wszystko jeść i wstał byłby się nieco przyogarnął ale takie ociężenie poczuł w sobie, takie ciągotki w kościach, taka senność, że jak stał, rzucił się na łóżko by się choć z pacierz przetrzymać

Hanka poszła na swoją stronę i krzątała się po izbie i coraz to wychylała się przez okno spojrzeć na Antka, który posiadł się na ganku, przed domem; odsadził się od miski obyczajnie i z wolna ciągnął łyżkę za łyżką, skrzywiwszy mocno wręby i spozierając oczami przed się na staw — bo zachód już był i na wodzie czyniły się złoto-purpurowe tęcze i płomienne koliska przez które, niby białe chmurki, przepływały z gęgotem gęsi, rozlewając dziobami sznury krwawych pereł

Wieś zaczynała się mrowić i wrzeć ruchem; na drogach, z obu stron stawu, ciągle podnosiły się krzyki i turkoty wozów i porykiwania krów, które wchodziły do stawu po kolana, piły wolno i podnosiły ociekłe łby, aż ciemne strugi wody niby szklane opale, opadały im z rozdętych gardzieli.

Gdzieś, od drugiego końca stawu słychać było trzask kijanek bab piorących, i głuchy, monotonny łopot cepów w jakiejś stodole.

— Antek urąb no pieńków, bo sama nie poradzę. Prosiła nieśmiało i z obawą, bo nie to nie było u niego skląć albo i zbić z leda powodu.

Nie odrzekł nawet, jakby nie słyszał, że ona nieśmiało powtórzyła i już sama poszła udziabywać trzaski z pni — i milczał długo, zmęczony całodzienną pracą srodze, i patrzył teraz za staw, na drugą stronę, w duży dom świecący białemi ścianami i szybami okien, bo zachód bił w niego. Pęki czerwonych georginii wychylały się zza kamiennego płotu i paliły się jaskrawo na tle ścian —

a przed chałupą, w sadzie, to między opłotkami uwijała się wysoka postać, ale twarzy rozeznać nie można było, bo co chwila ginęła w cieniu – to pod drzewami.

– Śpią se kiej dziedzic a ty parobku rób – mruknął ze złością, bo ojcowe chrapanie rozlegało się aż na ganku.

Poszedł na podwórze i raz jeszcze przyjrzał się krowie

– Juścik, ojcowa krowa ale i nasza strata. rzekł do żony, która że to Kuba przyniósł ziemniaki z pola, rzuciła łupanie drzewa i szła do wora.

– Doły jeszcze nie wyporządzone, to tera zsuć na klepisko.

– Kiej ociec mówili żeby na klepisku krowę z Kubą obdarł i wyporządził.

– Zmieści się i krowa, zmieszczą się i ziemniaki. Sięgnął Kuba otwierając wierzeję stodoły na oścież

– Ja ta nie jestem drzyk, cobym krowę obłupił ze skóry. rzucił Antek

I już nie mówili, słychać było tylko grochot zsypywanych na klepisko ziemniaków.

Słońce zgasło, wieczór się robił, świeciły jeszcze zorze łunami zakrzepłej krwi i ostygłego złota i przesypywały na staw jakby pyłem miedzianym, że wody cicha drgały rdzawą łuską i szmerem sennym.

Wieś zapadała w mrokach i w głębokiej, martwej ciszy jesiennego wieczoru. Chałupy malały, jakby się przypłaszczały do ziemi, jakby się tuliły do drzew sennie pochylonych, do płotów szarych.

Antek z Kubą zwozili ziemniaki, a Hanka z Józią uwijały się koło gospodarstwa, bo gdzie tera było zajrzeć na noc, to obejście nakarmić, bo z pola ciągnęły się do domu i wodziły żałośnie rycząc do obórek gdzie stało picie ~~[illegible]~~.

dla bydląt,

do krowy wyjdzie, bo właśnie Witek przygnał cielęta z pastwiska i zakładał im za drabiny po garści siana, żeby spokojniej stały przy dojeniu.
Jakoż Józia zabrała się do pierwszej z brzegu, gdy Witek wylazł od żłobów i szepnął cicho, trwożnie.
— Józia, a gospodarz zły?...
— O Jezu, spierze cię chłopaczku, spierze... tak pomstowali. Odpowiedziała wytykając na światło głowę i osłaniając ręką twarz, bo krowa chlastała ogonem oganiając się od much
— Ale... bom to winowaty... ale... borowy mnie wygnał i jeszcze chciał kijem sprać inom uciekł... a graniula zaraz się jęła pokładać a porykiwać, a ledwiem ją do chałupy przygnał..
Zamilkł ale słychać było cichę, bolesne chlipanie i siąkanie nosem.
— Witek... a nie becz kiej ciele, bo ci to pierwszyzna, że cię ociec spierze...
— Juści że nie pierwszyzna ale zawdy tak się bojem.. tak się bojem bo nijakiej wytrzymałości na bicie nie mam...
— Głupiś, parobek byli a boja się... już ja przełożę tatusiowi..
— Przełożycie Józia? zawołał radośnie — bo to borowy mnie wygnał z krowami. bo..
— Przełożę Witek ino się już nie bój!..
— Kiej taka.. to naści tego cudaka! Sięgnął radośnie i wyjął z zanadrza drewnianego ptaka — Obacz ino jak się sam rusza —
Postawił go na progu obory, nakręcił i ptak zaczął się kiwać, podnosić nogi drugię i spacerować..
— Ocieć! Jezu, adyć się rucha kiej żywy! Zawołała zdumiona, odstawiła

chłopak, przyklęknął przed progiem i najpierw nakręcił i ze zdumieniem patrzyła.
— Jezu! to ci ebie mechanik!.. I to się sam tak rucha, co?..
— A sam Józia, ino go kołeczkiem nakręcę, to już se spacyruje kiej dziedzic po obiedzie.. o... odwrócił go i ptak poważnie a śmiesznie zaczął podnosić długą szyję, podnosił nogi i szedł.
Zaczęli się śmiać serdecznie i bawić jego ruchami, tylko Józia czasami podnosiła oczy na chłopaka — podziw wielki był a zdumienie.
— Józia! rozległ się głos Boryny z przed chałupy.
— A czego?.. odkrzyknęła.
— Chodź ino.
— Kiej dojem krowy.
— Pilnuj tu, bo idę do wójta. — Powiedział wsadzając głowę do ciemnej obory. Niema tutaj tego szczyla, co?..
— Witka?.. ni, pojechał po ziemniaki z ~~[illegible]~~ Antkiem, bo Kuba miał urżnąć sieczki dla koni... Odpowiedziała prędko i trochę niespokojnie, bo Witek przycupnął za nią ze strachu.
— Ścierwa ten chłopak, to ino przy dnie, żeby zmarnował tyla krowę — Mruczał powracając do izby, gdzie się ubrał w nową kapotę białą, wyszywaną na wszystkich szwach czarnemi taśmami, nadział wysoki szary kapelusz, okręcił się czerwonym pasem i poszedł ~~wsią~~ drogą nad stawem, ku wójtowi.
— Roboty jeszcze tyla.. zwózka drzewa... siew nieskończony... kapusta w polu.. ściółka niezgrabiona... podorać by tam na kartofle... dobrze by i pod owsy.. a tu jeszcze na sądy... Zabawa i to całe nigdy obrobić się nie obrobi ino cięgiem

jak ten wół w jarzmie... że i wyspać się nie ma czasu ni odpocząć... rozmyślał...
A tu i ten sąd... Tłumok sejcowa, Hale, ja z nią się spiesam... żeby ozór stracha...
bakudro jakaś... suka.. splunął ze złości, nabił fajeczkę machorką i długo
pocierał wilgotniałe zapałki o portki, nim zapalił.
Pykał od czasu do czasu i wlókł się wolno, bo bolały go wszystkie kości i zła
za krowa zgryzoty go markociły i rozbierały
A tu ani odbić się na kim, ani wyżalić, nic.. sam jak ten kołek, sam
o wszystkiem myśl, sam deliberuj o tem, sam kicz wszystkiego obiegaj kiej
ten pies... a do nikogój słowa przemówić, i rady znikąd, ni pomocy — a ino
strata i upadek... a wszystkie to kiej te wilki za owcą... a ino szczubią a patrzą
kiedy ~~[illegible]~~ rozerwą w kawały...
Ciemnawo już było we wsi, przez przywierane drzwi i okna, że to wieczór był
ciepły, buchały smugi ogników i zapach gotowanych ziemniaków i żuru ze
skwarkami; gdzie wiedzie jedli w sieniach albo i społa przed domami
że ino skrzybot łyżek słychać było a pogadywania.
Boryna szedł coraz wolniej, bo ociężało go rozdrażnienie a potem i przypo-
mnienie nieboszczki, co ją na zwiesnę był pochował, ułapiło go za grdykę...
— Ho! ho!.. przy niej, co ją wspominam wieczorem w dobry sposób, nie przygodziło
by się taki gromnik... gospodyni to była, gospodyni!.. Juści, że i mamrot
i przeklętnica też, że i dobrego słowa nikomu dać nie chciała, i cięgiem się z babami
za łby wodziła... ale zawżdy żona i gospodyni! Tu westchnął pobożnie na jej inten-
cję i żal go jeszcze większy dusił, bo przypomniał jako bywało...
przyszedł z roboty, zpracowany — to i jeść kłusto dała, i często gęsto

kiełbasy podtykała kryjomo przed dzieciskami... A jak się wszystko darzyło!... i cielaki, i gąski, i prosiaki... że co jarmarek było z czem jechać do miasta, i grosz był zawsze gotowy, na zakład z samego przychówku... A już co kapusty z grochem, to już żadna żywa tak nie potrafi..
A teraz co?..
Antek ino na swoją stronę ciągnie, Kowal też wypatruje aby co chycić, a Józka? Skrzat głupi, któremu plewy jeszcze we łbie, co i niedziwota, bo dziewczyna mało co na dziesiąty rok idzie... Hanka kiej ta ćma łazi, a choruje jeno, ~~[illegible]~~ i tyle robi, co ten pies zaszczeka...
Toć i marnieje wszystko... gruntale trza było dorzucić.. we żniwa wieprzak zdechł.. wrony gąski tak przebierały, że połowa ostała!.. Tyle marnacji, tyle upadku!.. przez sito wszystko leci, przez sito...
Ale nie dam! wykrzyknął prawie głośno - póki ruchem temi kulasami to ani jednej morgi nie odpiszę i do wuja na wycug nie pójdę...
Ino Gzela z wojska do dom powróci, to niechta se Antek na żoniną gospodarkę wróci... nie dam...
— Niech będzie pochwalony. zabrzmiał jakiś głos
— Na wieki.. odrzucił machinalnie i skręcił z drogi w zagrodzie i stukając w opłotki, bo wójtowa osada leżała trochę w głębi.
W oknach się świeciło i pieski ujadały po sieni.
Wszedł prosto do świetlicy.
— Wójt doma? zapytał tłustej kobiety ~~[illegible]~~ klęczącej przy kołysce i karmiącej dziecko

— Zaraz wróci, pojechał po ziemniaki. Siadajcie Macieju, adyć i ci też czekają na niego, wskazała ruchem brody na dziada siedzącego przy kominie; był to ten stary ślepiec wodzony przez psa; czerwonawe światło trzasek, oświetlało jego ogromną wygoloną twarz, tyłą szczękę i szeroko otwarte oczy zasnute bielmem, nieruchomo tkwiące pod siwemi, krzaczastemi brwiami..

— Zkąd to pan Bóg prowadzi? Zapytał Boryna, siadając po drugiej stronie ognia.

— Ze świata, a najściéj gospodarzu. Odpowiadał wolno rozlazłym, jęczącym iście proszalnym głosem i nadstawiał pilnie uszów, a wyciągnął tabakierę.

— Zażyjcie gospodarzu.

Maciej zażył serdecznie i kichnął raz po raz trzy razy aż mu łzy w oczach stanęły

— Tęga jucha! i rękawem otarł zaczerwienione oczy.

— Niech wam będzie na zdrowie. Petersburka, dobrze ano robi na oczy.

— Wiedzieć jako do mnie, słowem doznał, to się tam jaka szlachta koło was znajdzie..

— Bóg zapłać.. Boryna widzi mi się, co?...

— A juści. Zkądżeście poznali?. no, no.

— Po głosie ino, po gadaniu

— Cóżta we świecie słychać? Wędrujecie ciągiem

— Moiściewy, a cóżby! A to złe, a to i dobre, a to i różnie, jak we świecie. Ludzi pierzą, a narzekają jak przyjdzie dziadowi co dać abo i drugiemu. ale no gorzałę mają.

— Prawdę rzekliście, bo ano tak i jest.

Ho, ho! tyle roków się człek tełepie po tej świętej ziemi, to się i wie różnie —

– ~~Poziekieją ajui Wam tam jerę dalię..~~

– A szukajcie to ponidzi tego znajdę, co was prowadził koni – zapytała Wójtowa.
– ponadł się ścierwa, poszedł, wyjuszkał mi dobrze torbeczki... Miałem coś grosza
od ludzi ochfiarnych, com go niósł na wotywę do Częstochowskiej panienki, to mi
psiekrew podebrał i poszedł w świat! Ciekaj Burek! bo to pewnikiem wójt! Pociągnął
3 szturchańcem i pies zaraz przestał.
Zgadł to wójt wszedł, bat rzucił w kąt i od progu wołał
– Dawno jestem głodny kiej wilk – jak się macie Macieju, a wy czego dziadu? –
– Ja do was pietrze względem tej mojej sprawy, co ma być jutro.
– Jarusz, poczekam panie wójcie. Kożecie w sieniach – dobrze i tam będzie, a ostawicie przyjąć mnie, tom stary jeden, ostanę, a dacie tę miseczkę ziemniaków abo i chleba skibkę – to pacierz za was zmówię jeden abo i drugi... jakbyście dali gotowy grosz abo i dziesiątkę...
– Siedźcie se, dostaniecie i kolacji, a chcecie to nocujcie.
I wójt siadł do miski okrytej parą świeżo utłuczonych ziemniaków i pełnych, oblanych skwarkami, w drugiej dzieży stało zsiadłe mleko.
– Siadajcie Macieju z nami, zjecie co jest – zapraszała wójtowa kładąc trzecią łyżkę,
– Bóg zapłać. Przyjechałem z boru, tom se już dobrze podjadł.
– Bierzcie się ano za łyżkę, nie zaszkodzi wam, będzie już więcej dobrego...
– Dziury pacierz i dusza miękka, jeszcze bez to nikto nie pomarł – rzucił dziad.
Boryna wzdragał się ~~[illegible]~~ ale wkońcu, że zgodnie mocno raziła mu nozdrza ~~[illegible]~~ przysunął się do ławki i pojadał wolno, delikatnie jak obyczaj kazał.
A wójtowa raz wraz wstawała i dokładała kartofli, to mleka przylewała.
Dziadowski pies się wciąż przykuwał ździebko do jadła.

– Cichoj Burek, gospodarz ano jedzie... i ty dostaniesz, nie bój się.. Uspokoił go trzask.
i ściągał nozdrzami smakowity woń a przygrzewał ręce przy ogniu.
– To Jewka was pono zaskarżyła. Gadał wójt podjeżdżony niecó.
– A bo ci! jemu to jej rozbuj nie wypłaci! Zapłaciłam jak Bóg w niebie i jeszcze
ponadto, i dobrego sera kieślu za chrzciny dał worek owsa..
– Ona powieda, iż ten dzieciak to...
– Wiemy ojca i syna. Urzekła się czy co?
– Ho, ho stary zwał a jeszcze najdzie! Wójtowie przed się śmiali.
– Dowodu przedni się przyda, bo przekupni ci jest i znajomy! Szepnął ściszył
– Cygani jak ten pies. Ani ja kradł.. Jeszczeby.. taki Hrusiek.. Latka
pode płotem szychała a skamlała coby ja za sama wanie, aż ja do spania
wzięła, bo na zimę szło. Niechciałam ale niebożka pieła – wejmie, przyda
się w domu, co mamy przegryzać.. będzie swoja pod ręką.. Niechciałam
ja, jako iż zima robót nijakiej a jedna gęba więcej do miski. Ale niebożątka
peło: nie turbuj się, umie pono wełniaki i płótno tkać, zarobi ja i niekiedy
se scibie zawżdy coś urobie. No i ostała, odpasła się ino i zaraz
się postarała o przychówek.. A kto wspólnie, to już różnie gadali..
– Ona skarży na was.
– Zakatrupię ścierwę, cygana pieskiego.
– Ale do sądu trza wam iść.
– Pójdę. Bóg zapłać żeście mi powiedzieli, bo wiedziałam ino, iż o rozbudzi-
ale zapłaciłam, na co świadków mam! A ryczeć zapowietrzony, a dziadówka!
Zobaczy tyle umartwienia iż jaż chyba niczego nie uświni – a to mi

~~— Zaraz przyjdzie, a już też i Burek czeka na niego~~

~~Był to ten stary dziad prowadzony przez psa, którego spotkano przy kościele, i z czoło-~~
~~wem światło ślepy, oko oświetlało jego ogromną, wygoloną twarz czerwoną, długa~~
~~broda czarna, i zarosłe bielmem oczy szeroko otwarte~~

i krowa padła, że dotychczas musiałam roboty niepokończone, a tu [illegible] sam kiej ten palec.

— Ostawa ta kiej między wilkami owca. powiedział znowu dziad.

— O krowiem słyszał, mówili mi już na polu..

— To dworska sprawa, bo pan borowy wygnał z pastwisk. Najlepsza krowa. że [illegible] zboża wąchała, rzucała się do [illegible], rozpoiły się [illegible] [illegible] ino dotychczas musiał... Ale dworowi tego nie daruję.. pójdam do sądu.
Ale wójt zaczął mu tłumaczyć i przekładać iżby się wstrzymał, jako w pierwszej złości zawsze się źle radzi, bo zadał za dworem, a wkońcu, iżby zwrócić rozmowę w inną stronę, mrugnął na żonę i powiedział.

— Dobrze się Macieju ożenili i miałby kto gospodarstwa pilnować.

— Kpicie czy co?.. Idzie mi na [illegible] pięćdziesiąt i osiem roków.
Co wama też wygodzię, jeno ta [illegible] dobrze nieostrzyża..

— Weźcie kobietę do swego wieku, a zaraz się wam [illegible] wszystko — dodała wójtowa i jęła sprzątać ze stołu.

— Dobra żona głowy mężowej korona. dorzucił dziad ~~[illegible]~~ obgryzając miski, które przed nim postawiła wójtowa
Zadumał się Boryna ale i zamedytował głęboko — że mu to samemu do głowy nie przyszło. Boć jako zostanie kobieta [illegible], a zawżdy z nią lepiej niźli samemu biedować..

— Która i głupia jest i niemrawa, która znów kłótnica, która do [illegible] kostusiów sięgająca, która paparach a ladawiec po muzykach i karczmach — a zawżdy albo przed [illegible] zmieniej i wygoda — ciągnął dziad pojadając.

– Dopiero by na wsi wydziwiali. – powiedział Boryna
– Hale – kużdy wama zwróci, krowę abo i co postrzą, abo i kiedy gospodarstwo chodzi bez baby, abo się nad wami użala. – gadała gorąco wójtowa.
– Abo i ciepła pierzyna narzuta. – zaśmiał się wójt. – A we wsi tyle jest dziewuch, że jak się idzie między chałupami, to kieby się z pieca...
– Ale, widzisz go, rozpustnik... czego mu się zachciewa...
– A Zośka Grzegorowa na ten przykład, śmigła, piękna i wiano niezgorsze.
– A córka Maciejowi potrza wiana, nie gospodarz to pierwszy we wsi.
– Ktoby ta miał dobra a i gronta dosyć. – Zaoponował dziad.
– Ni, Grzegorowa nie ta nich – podjął wójt. – za młoda i młódka to jeszcze.
– A Jędrkowa Kasia. – wyliczała dalej wójtowa.
– Zmówiona. Wczoraj Rochów Adam poszedł z wódką.
– Jest ci jeszcze Stachowa Weronka.
– Mazurek, latawiec i jedno biedro ma grubsze.
– A wdowa po Tomku, jakże to jej... całkiem jeszcze do żeniaczki.
– Troje dzieci, cztery morgi, dwie krowy, ogony i stary kożuch po nieboszczyku.
– A Ulisia tego Wojtka, co to za kościołem siedzi!...
–.. I... to ta nawdera... z przychówkiem, chłopak, mógłby już być do pasionki ale Maciejowi tego nie potrza, ma już pustuchę swojego –
– Jest i jeszcze, jest tego nasienia panieńskiego ale ino wyliczam takie, coby pasowały ta Macieja.
– A zabaczyłaś o jednej, coby była ta nich w sam raz.
– Któżma?...

— A Jagna Dominikowa?
— Prawda, całkiem o niej przepomniałam.
— Śliczna dziewucha, a rosła, że bez płot nie przejdzie, bo zerdki pod nią pękają..
a piękna, biała na gębie, a urodna kiej jaka jabłonica.
— Jagna, powtórzył Boryna słuchający uważnie wyliczania — a to powiadają
o niej, że łasa na chłopaków.
— Ale, był to kto przy tem to wie! Plociuchy pletą byle pleść, a wszystko ino
przez zazdrość. Broniła mocno Wójtowa
— Ja też nie powiadam sam z siebie — ino tak pogaduję. — Ale, toć mi się.
poprawił pasa, wsadził w zęby fajkę i pyknął parę razy.
— Na którą to wzdychasz? Zapytał spokojnie
— Na dziewiątą napisane w powiestce. Musicie dodnia wstać jeśli na piechty.
— I.. źrebką się wolno pojadę. Ostańcie z Bogiem, dziękuję wama za poczęstunek
i sąsiedzką radę.
— Idźcie z Bogiem, a pomyślcie cośwa wama radzili.. Powiecie, to z wódką
pójdę do [illegible] i jeszcze przed Godami sprawim wesele..
Boryna nie odrzekł nic, łypnął ino oczami i wyszedł.
— Jak stary młódkę bierze, dyabeł się cieszy, bo profit z tego mieć będzie —
rzekł dziad [illegible] skończyć [illegible] po dniu [illegible] —
Boryna wolno wracał i żuł w sobie rozważnie, co mu radzili. Nie dał
poznać po sobie, tam u Wójtów, że mu się ta rajba [illegible] ulała, bo jakże.
gospodarz był a nie żaden chłopak, co to ma jeszcze mleko pod nosem
a na wspomnienie o żeniaczce aż kwiczy i nogi w [illegible] przedeptuje —

33

Noc już ogarnęła ziemię, gwiazdy srebrną rosą pobłyskiwały z ciemnych głuchych głębin, cicho było we wsi, psy tylko niekiedy poszczekiwały, a tu i owdzie zpoza drzew, migały się słabe światełka... czasem wilgotny podmuch zawiał tak, że drzewa poczęły się lekko chybotać i cicho poszumywać listkami. Boryna nie wrócił drogą jaką był przyszedł, a tylko puścił się wdół, przeszedł most pod którym woda z bełkotem przelewała się do rzeki i waliła głucho na młyn, i nawrócił na drugą stronę stawu - wody leżały cicho i lśniły się czarniawo, pobrzeżne drzewa rzucały na taflę czarną cienie i jakby ramą obejmowały brzegi, a wpośrodku stawu gdzie jaśniej było, odbijały się gwiazdy niby w zwierciadle stalowem.

Maciej sam niewiedział, dlaczego nie poszedł prosto do domu, a wybrał dłuższą drogę, może aby przejść koło domu Jagny! a może aby zebrać nieco myśli i pomedytować.

- Juści, że byłaby niegorsza! juści! A co tam o niej mówią, to taka prawda. Splunął - śliczna kobieta! Dreszcz nim wstrząsnął, bo chłód wilgotny szedł od stawów a u Wójtów gorzec był silny.

- Aby kobiety brać, szmaciec albo dzieciom gospodarkę odpisać - myślał - a dziewucha jucha i niej malowana - A krowa najlepsza padła a kto wie jaka?... Może to i brać porzucić żony? Tyle oblecenia po nieboszce jest - przygodziłoby się - Ale stara Dominikowa to pies... a cóż, ma ja chałupę i grunt toby na swojem ostało. Troje ich a mają piętnaście morgów, to niby na Jagnę pięć i spłata za chałupę i inwentarz! pięć morgów, to wszystek te pole za moim kartofliskiem, że to siłki mi się podziały koło, tak...

pięć morgów do moich to.. trzydzieści i pięć będzie! Kawał pola!..
Zatarł ręce i poprawił pasa. — To ino wyznać na wieczór... Złodziej, krzywdą
ludzką a procentami, a oszukaństwem tyla nabrał... A na bezrok, podwiózłbym
gnoju a uprawił i pszenicy posiał na całym kawale; konia by trzeba przykupić
a i po gruntach krowinę jaką... Prawda, krowę by dostać dostała..
I tak rozmyślał, liczył, rozważał się gospodarstwem aż czasem i przystawał
z głębokiej deliberacji. A że mądry chłop był, to wszystko zaraz zbierał w sobie
i głęboko w głowę patrzył, coby czego nie przestąpić i nie przepomnieć.
— Wrzeszczałyby juchy, wrzeszczały! pomyślał o dzieciach, ale wnet złość mocy i pewności
zalała mu serce i skrzepiła głuche jeszcze, wahające postanowienia.
— Grunt mój, wara komu drugiemu do niego. A niechcesta, to... nie skończył, bo
stanął przed chałupą Jagny.
Świeciło się u nich jeszcze i przez otwartę okno padała szeroka smuga światła
i szła przez kierz georginiowy ~~[illegible]~~ i niskie drzewa śliwkowe
aż na płot i drogę.
Boryna stanął w cieniu i zapuścił wzrok w izbę.
Lampka tliła się nad okapem, ale w kominie musiał się dużo palić ogień,
bo słychać było trzask świerczyn i czerwonawe światło zapełniało ogromną, mroczną
po kątach izbę; stara ~~[illegible]~~ skulona przed kominem ~~[illegible]~~ siedziała cosik gotowa-
a Jagna przeciw niej, tuż do okna siedziała; w koszuli była tylko i zawi-
niętemi do ramion rękawami — podskubywała gęś.
— Urodna jucha, to urodna! szepnął
Podniosła czasem głowę, nasłuchiwała matki, wzdychała cichutko, bo znowu

brała się skubać pióra, aż gęś zagęgała boleśnie i rwać się poczęła z krzykiem z jej rąk, i bić skrzydłami, że puch się rozwiał po izbie białym tumanem. Uspokoiła ją rychło i mocno ściskała kolanami, że gęś jeno pogęgiwała z cicha a boleśnie, i odpowiadały jej inne gdzieś z sieni czy z podwórza.

– Piękna kobieta. Pomyślał i odszedł śpiesznie, bo mu uderzyła do głowy aż się podrapał, zapiął petkę i pasa przyciągnął.

Już był w swoich wrotach i wchodził w opłotki, gdy się obejrzał na jej dom, bo rychtyk stał naprzeciw, tyle że po tamtej stronie wody. Ktoś akuratnie wychodził, bo przez drzwi uchylone lunęła struga światła i jako błyskawica zamigotała i padła aż na staw, potem czyjeś mocne stąpania zadudniły i rozległ się chlupot wody nabieranej, a w końcu, wskroś ciemni, i tych mgieł co się były zwlekały z łąk, śpiew się ozwał przyciszony.

Ja za wodą, ty za wodą
Jakże ja ci buzi podom?..
Podam ja ci na listeczku,
A naści-że kochaneczku...

Słuchał długo, ale głos rychło przepadł i światła wkrótce pogasły.
A na niebo wlazł się zza lasów księżyc w pełni i rozsrebrnił cienie drzew i siał przez gałęzie światło na staw, i zaglądał w okna chat co mu były naprzeciw. Aż nawet pomilkli, cichość niezgłębiona objęła wieś całą i stworzenie wszelkie. Boryna obszedł podwórze, zajrzał do koni, parskały ano i gryzły obroki; wsadził głowę do obory, bo drzwi dla gorąca stały otworem, krowy leżały przeżuwając a postękując jako to jest zwyczajnie u bydlątek – przywarł wrota do stodoły.

i zdjąwszy kapelusz, siadł do izby i mówił półgłosem pacierz.
A że spali już wszyscy, rozzuł się po cichu i zaraz legł spać.
Ale zasnąć nie mógł, bo pierzyna go parzyła, że nogi spod niej wyrzucał,
bo mu po głowie chodziły sprawy różne, a turbacyje, a pomyślenia..
bo mu brzuch ano ciężył wielce, że postękiwał i mruczał.
— Zawżdy mówię, że zsiadłe mleko ino rozpiera brzucho, aby na noc nie jadać.
A potem jął myśleć o Jagnie; jakby to dobrze było, bo i młoda, i gospodarna
i tyle pola... To znowu przypomniał sobie dzisiej, to te gadania na Jagnę —
że zmąciło się w nim wszelakie rozeznanie, i już nie wiedział co pocznie, że
uniósł się nieco i jakoby był szczajnik, chciało mu się do drugiego
łóżka zawołać i porządzić.
— Maryś! Śpisz się czy to się nie śnie z Jagną?...
Ale wnet sobie przypomniał, że Maryś już od zwiesny na cmentarzu,
a tam se śpi Józka i chłopak, a on jest sierotą, któren poradzić się
nikogo nie ma, to ino westchnął ciężko, przeciągnął się i jął mówić
Zdrowaśki, za niebożczkę i wszystkie dusze w czyśćcu ostające.

III

Już świt ubielił dachy i zgrzebną, szarą płachtą przysłonił noc i gwiazdy pobladłe, gdy ruch się uczynił w Borynowem obejściu –
Kuba zwlókł się z wyrka i wyjrzał przed stajnię – szron leżał na ziemi i szaro było jeszcze, ale już zorze rozpalały się na wschodniej stronie i czerwieniły czuby drzew oszronionych – przeciągnął się z lubością, ziewnął parę razy i poszedł do obory aby krzyknąć na Witka, że czas wstawać, ale chłopak uniósł nieco senną głowę i szepnął:
– Zaraz Kuba, zaraz! i przywalił się do legowiska.
– Pośpij se zdziebko biedoto, pośpij! Przykrył go kożuchem i pokuśtykał bo ję nogę miał kiedyś przestrzeloną w kolanie, kulał srodze i ciągnął ją za sobą; umył się pod studnią, przygładził słoniną nadlą, wylepiałe włosy co mu się były porwijały w kołtuny i klęknął na progu stajni odmawiać pacierze.
Gospodarze spali jeszcze, w oknach chałupy zapalały się krwawe brzaski zórz, a gęste, białe mgły zwlekały się z wolna ze stawów, kołysały ciężko i pełzły się w górę podartemi szmatami.
Kuba przesuwał w palcach koronkę i modlił się długo, a biegał oczami po podwórzu, to po oknach chałupy, to po sadzie omroczonym jeszcze na dole, po jabłonkach obwieszonych jabłkami niby pięściami; rzucił czasem do budy, co stała zaraz, kole drzwi, w białe łeb łapy, aż pies zaskowyczał, zwinął się i spał dalej –
– Ej, do samego słonka spał będzie, jucho! i rzucił w niego raz, drugi, aż pies wylazł, przeciągał się, ziewał, machał ogonem i przysiadł wpodle

i jak się drapał i czynił zębami w gęstych kudłach porządek.

— ... i ofiaruję ten pacierz Tobie i wszystkim świętym. Amen! Bił się długo w piersi a powstając rzekł do Łapy.

— Hale! eligant jucha, wylizał się kiej baba na wesele!

A że roboczy był, to się zajął obrządkiem — wóz wytoczył ze stodoły i nasmarował, napoił konie i przyniósł im siana aż pańskiej zasady i bił kopytami, a potem przyniósł z sąsieka sieczki zgoła dobrze okraszonej owsem i wsypał to Klaczy do żłobu, bo stała w przódce, osobno.

— Żryj stara, żryj, dobrze mięsa nabieraj, to ci mocy trza, żryj! Pogładził ją po nozdrzach aż Klacz położyła mu łeb na ramieniu i pieszczotliwie chwytała wargami za kołtun.

— ... ziemniaki do południa zwieziemy, a pod wieczór do lasu, po ściółkę — nie bój się, ściółka lekka, nie zmożesz się..

— A ty bełkonie batem dostaniesz, widzisz go, owies mu pachnie prośniakowi — mówił do wałacha, co stał obok i łeb wtykał między deski przegrody, do żłobu Klaczy..

grzmotnął go pięścią w zad, aż koń uskoczył w bok i zarżał

— Hale, pany żydowski! Żreć toby chciał i czysty owies żarł, a do roboty cię nie ma, bez bata jucho z miejsca nie ruszysz, co!

Wygonił go i zajrzał do źróbki, co stała przy ścianie samej i już z daleka wyciągała do niego kosmatą łeb ze strzałką białą na czole, i rżała cicho.

— Cichoj mała, cichoj! Pojedzie se ano, bo pojedziem z gospodarzem do miasta! Urwał kłak siana i wyczesał jej bok zawalany! — Tyla klacz, że już do gniady czas, a świniaś: wytarzałeś się zawdy kiej ta maciora — pogadywał cicho i poszedł do chlewów wypuścić świnie, bo kwiczały, a Łapa chodził za nim i zaglądał mu w oczy.

— Zjadłbyś i ty, co? To naści-że chlebaszka, naści! Wyjął z zanadrza kawałek i rzucił, pies pochwycił i schował się do budy, bo świnie ano leciały mu wydrzeć.

— Hale, te świnie, to kiej człowiek niektóry, aby ino chycić cudze i zeżreć..

Zajrzał do stodoły i długo patrzył na wiszącą u belki krowę.

— Głupie to jeno bydlę a i temu na koniec przyszło. Widzi mi się, co jutro zjedzą mięsa... Tyle i z ciebie pociechy, że człek se ino podje w Niedzielę..

Westchnął do tego jadła i powlókł się budzić Witka..

— Słonko ino, ino - zaraz się pokaże.. Krowy trza wypędzać.

Witek zamruczał coś, obrócił się, przygarnął do kożucha ale wkrótce wstać wstał i łaził ociężały i senny po podwórzu

Gospodarze zaspali dzisiaj, bo słońce już wzeszło i rozczerwieniło szyby i zapaliło łuny w wodach i szybkach, a z chałupy nikt się nie pokazywał..

Witek siedział na progu obory i podrapywał się zajadle i przeciągał, a że wróble poczęły zlatywać z dachów do studni i kąpać się w korycie, to porwał drabkę i wlazł pod okap zajrzeć do gniazd jaskółczych, bo cicho tam jakoś było —

— pomarły, czy co?

I już wyciągał delikatnie, pomrożone ptaszki i kładł je za pazuchę.

— Kuba, wiecie, nieżyją, o! pobiegł do parobka i pokazywał sztywne, pogięte jaskółki.

Ale Kuba wziął ino jedną, przybliżył do ucha, dmuchnął w oczy i rzekł.

— Zdechniały, bo przymrozek galanty. Ale że to głupie nie poszły jeszcze do ciepłych krajów, no, no... I poszedł do swojej roboty.

~~A Witek siadł [illegible] progu, bo słońce już [illegible]~~.

A Witek siadł pod chałupą, w słońcu, bo słońce już tam dochodziło

– Uciszcie się. Zawołał ktoś.

– Stulta pyski kiej sąd mówi, bo waju wyciepnę na osobność! Pogroził Jacek pociągając pacierzami, bo mu się był obrazek oberwał.

Uciszyło się zaraz, a baby, że to blisko było do skończenia się zabawy, stały już cicho, ino się oczami jadły a wzdychały ze złości..

– Mówcie Bartłomieju, mówcie wszystko a prawdę.

– Prawdę?.. Sama czystą kiej szkło prawdę rzeknę, niczego nie powiem, kiej na spowiedzi, kiej gospodarz do gospodarzy, kiej swój do swojaków, bom gospodarz z dziada pradziada a nie komornik ~~[illegible]~~ nie profesyant jaki abo i jeno miesiąc zdzier.

To było tak.

– Jeno dobrze wyłóżcie byś czegój nie przepomniał – radził.

– Nie przepomnę Macieju, nie. To było tak. Siedziem se... a baczę, że to rychtyk świerna była... i za wilczym dołem, wedle ~~[illegible]~~ Borynowej koniczyny... idę se. i mówię pacierz, bo na ten przychód, przedzwonili już na Anioł Pański... noc ta też szła... idę se.. jaż tu słyszę: głos nie głos?.. dobogaj myślę se: chrząka albo i nie chrząka?.. Oglądnąłem za się – niczegój nie widno, cicho wszędzie.

4/65

Złe mi kusi czy co?... Idę dalej i że mi zdziebko ~~[illegible]~~ mrówki obłaziły ze strachu, mówię se pozdrowienie anielskie. Chrząka znowu! Cię, myślę sobie, nie jeno świnia to abo i zając przecie. Stanąłem zdziebko w boki, wkoło... i obejrzałem się... jużci że coś lezie za mną, przystanąłem ja – przystanęło i to, a bieżę, niekiedy i słucha... a ślepie świecą się kiej u wilka abo zgoła u złego... przeżegnałem się a że złego mi ścierpła skóra taka na grzbiecie – jakiś, abo wisielec co się po nocach tłucze!... A wszędy wołgi wiatra, co na wilczych dołach skrzy.

– Jusci ją prawda, bo Toni kiej Sikora przechodził tam noca, to go ułapiło za grdykę i rzuciło o ziemię, i tak było, że chłop chorował dwie niedziele. – Objaśniła żona.

– Cichoj Magduś, cichoj! Idę, idę.. idę... a to fort leziè za mną i chrząka!
A żeby był rychtyg miesiączek wyjrzał se na niebo, to patrze ale ino prosiak się idzie.
Rozgniewałem się, bo co se ten głupi prosiak myśli, straszyć, jako nałeb przyjdał, mnie, tom rzucił nań patykiem i idę ku domowi. Szedłem se między, między Michałowemi burakami a pszenicą Borynową, a potem między jarką Tomka a owsem Stacha Jaśka, co go to Toni do wojska wzięli, a którego to kobieta [illegible] wczoraj [illegible].. prosiak fort idzie za mną kiej pies, to se idzie po bok, to włazi w kartofle Dominikowej i tu pyskuje, i tam pyskuje, i chrząka, i kwiczy a nie odstaje ino za mną..
Skręciłem na ścieżkę co bieży na przełaj – ona za mną. Gorąco mi się zrobiło, bo loboga, taka świnia co mnie nie zwinia! Skręciłem na drogę wedle figury prosiak za mną... Uciekłem, trzeba był, a ona ogonem, ponięj [illegible] czarno Tarciste! Ja hej w ów – ona za mną; ja na te mogiłki co za figurą są – ona za mną, ja na kamionki a ona kiej mi się nie rzuci pod nogi – rzuciłem kiej głupi – Opętana czy co?.. Zatem się przebiegł a ona kiej nie zaryczy ogonem i w nogi przedemną! A leciał z się przewróciłam, przeżegnałem. Ale nie uciekła ino wciąż przedemną leciała, aż do samej chałupy – aż do samej chałupy przecwiekłam zatem, aż wygodnie nie wyszła, aż do sieni wlazła, a i ze strwi do izby była wywarła, to i do izby poszła.. Tak mi Panie Boże dopomóż Amen!

– A potem zawracacie i zjedli. prawda? Nieraz jedna zerbawiony!

— He! Zarznęli i zjedli?.. A coście wobię mieli? Przeszedł dzień – prosiak nie odchodzi, przeszedł tydzień – jest, ani jej wygonić, bo z krzykiem wraca!... Moja, podtykała jej co mogła, bo jakże głodem morzyć, Boże stworzenie kiej... Przeświętny sąd jest mądry to sprawiedliwie se wymiarkuje, iż com z tą biedną sierotą miał robić?.. Nikt po nią nie przychodził, a w domu bieda – a żarła za i dwie drugie tyle nie zechłają.. Jeszcze z miesiąc, toby nas zżarła i z bebechami... Co było robić? miała ona nas – to my ją zjadły, a i to nie całą, bo na wsi się zwiedziały a Dominikowa poskarżyła się to jej, przyszła ze sołtysem i zabrała wszystko...

— Wszystko?... a cały zad to gdzie?.. Syknęła z nowego Dominikowa

— Gdzie? Spytajta się Kruczka i drugich piesków. Wynieślimy na noc do stodółki, psy się to czuje psią parą, a wrota były otworzone – wyciągnęły i bal se sprawiły ~~[illegible]~~ moja kruszyna, ię chodziły obżarte kiej te dziedzice

— Hale, świnia sama poszła za nim, głupi uwierzy ale nie sąd. Zośkiej jucha, a barana młynarzowi, a gęsi Dobrowolskiemu – to kto pokradł, co?..

— Widziałaś, co? Widziałaś! Wrzasnęła Kozłowa przyskakując z pazurami.

— A kartofle z organistowego dołu, to kto?.. A cięgiem coś komuś we wsi ginie, to gęśka, to kury, to sprzęt jaki – ciągnęła nieubłaganie

— Ty ścierwo! coś ty robiła za młodu a i co twoja Jagna teraz wyprawia z parobkami ~~Jakoś się cieszyła z żołnierzami, a jak twoja Jagna co noc śpi z innym~~, to ci tego nikt nie wypomina, a ty kiej ten pies..

— Wara ci od Jagny! Wara bo ci ten pysk tak zmiesię że.. Wara!.. rzuciła wielkim głosem ugodzona jak w żywe mięso

— Zichojta pyskacze, bo za drzwi wyciepnę! Krzyknął Jacek podciągając parcianek

Zaczęło się przesłuchiwanie świadków.

Najpierwej świadczyła poszkodowana, Dominikowa – a zeznawała cichym, nabożnym głosem i przysięgała co chwila przed tą Częstochowską, jako świnia jej, i żegnała się i biła w piersi – że prawda jest jako ją ukradł z pastwiska Kozioł, i nie żądała od prześwietnego sądu kary na niego, niechby mu już tam Jezusiczek czyśćca za to nie przydłużył – ale domagała się wielkim głosem sądu i kary za to, że tak spostponował ją i jej Jagusię wobec całego narodu

Świadczył potem Szymek, młodszy syn Dominikowej; czapkę powiesił na rękach złożonych jak do pacierza, oczów nie spuszczał z sędziego i jękliwym, nieprzytomnym głosem zeznawał, że świnia była matczyna, że biała była cała a ino kiele ogona czarną łatę miała a ucho rozerznięte, bo ją był Łapa Borynów chycił na wiosnę, a tak kwiczała, tak kwiczała, że chcia w stodółce był – usłyszał...

Potem zawezwano Marcyannę Piesek i innych.

Świadczyli po kolei i przysięgali, a Szymek wciąż stał z czapką na rękach, spatrzony pobożnie w sędziego, a Kozłowa raz wraz darła się zawżdy z swojemi zaprzeczani i złorzeczani, a Dominikowa ino wzdychała do obrazu a poglądała na Kozła, który słuchał oczami, nasłuchiwał a uśmiechał się na swoją Magdusię.

Naród słuchał uważnie i raz wraz szmer to uwagi złośliwej albo śmiech się rozlegał głuchy pod powałą, aż Jacek musiał przyciszać groźbą.

Sprawa ciągnęła się długo, aż do pierwszej, w której sąd poszedł do sędziowskiej izby na naradę – a naród wysypał się do sieni i przed dom odetchnąć nieco: kto pojeść zdziebko, kto się swojemi świadkami się mówić, kto wywodził krzywdy swoje, a jeszcze inowój wyrzekać na niesprawiedliwość a pomstować – jak to zwyczajnie bywa na rokach –

Po pierwsze i odczytaniu wyroków, przyszła na stół sprawa Boryny.

Jewka stanęła przed sądem i pokazując dziecko owinięte w zapaskę, jęła płaczliwie wywodzić krzywdę swoją i żale: jako służyła u Boryny, przerzekała się, że jej kulasy ustawały, a nigdy dobrego słowa nie usłyszała, kąta nie miała na spanie ani jadła dosyć, że się u sąsiadów pożywiać musiała, a potem zasług nie zapłacił i z jego własnem dzieckiem wygnał ją w cały świat... buchnęła wreszcie ogromnym płaczem i rzuciła się na kolana przed sędziami z krzykiem

– Krzywda to moja, krzywda! a dziecisko jego, przeświętny sądzie!

– Cygani jak ten pies. – mruknął Boryna ze złością

– Ja cyganię?! A dyć wszystkie, dyć całe Lipce wiedzą to...

– Żeś suka i latawiec...

– Wielmożny sądzie a przódzi to mi ino mówili: Jewka, Jewuś i jeszcze słodziej, a to mi paciorki przywieźli, a to często gęsto kukłę z miasta i mówili: nasza Jewuś, nasza boś mi najmilejsza... a teraz, o mój Jezu, mój Jezu!... poczęła płakać..

– Cygan jucha, nieraz cię jeszcze pierzyną przyodziewał i mówił: śpij-że Jewuś, śpij!

Izba zatrzęsła się śmiechem..

– Abo nie, co? Abościa to nie skamlali jako ten pies zimą przed drzwiami, ~~cobym was puściła pod pierzynę~~, abościa mało obiecowali, co?

Zobaczą ludzie, że to piorun nie zabija takiej pokraki! [illegible]!

– Wielmożny sądzie, choć świat widział jak to było, całe Lipce mogą przyświadczyć co prawdę mówię. Służyłam u nich to mi ciągiem spokoju nie dawał. ~~To mię do pobojki przystał jakie zeszłej jesieni, to mię wołowce utopił jakiem do wąwozu chodziła na oborę...~~

Ociężna jam zeszła, biedna... Dola moja nieszczęśliwa... A potem się mogła

57

obronię przed tymi chłopami?.. Krzyczałam, to mnie sprał i robił co chciał...
A gdzież ja się podzieję z tym dzieciątkiem, gdzie?.. Świadki powiedzą, przyświad-
czą! wołała wśród płaczu i krzyków.
Ale świadkowie w rzeczywistości nic nie zeznali prócz plotek i domysłów, więc
znowu jęła dowodzić i przekonywać, aż w końcu jako ostatni dowód, rozpowiła dziecko
i położyła je przed sędziami; dziecko wierzgało nagiemi nóżkami i wrzeszczało wniebogłosy.
- Widzicie, sąd sam obaczy a jakie ono; o, tenci sam nos kiej kartofel, te same
bure ślepie i kłapciawe... Kropla w kroplę nikto jenszy jeno Boryna!.. Wołała.
Ale już i sąd niemógł powstrzymać się od śmiechu a naród aż kwiczał z uciechy, przygla-
dali się dziecku, że Boryna i raz wraz ktoś powiedział.
- To ci panna, kiej ten pies obdarty ze skóry!
- Boryna wdowiec, ożeniłby się z nią a chłopaki zdałby się do parobki.
- Ładniejsza ci ona kiej krowa na zwiesnę
- A urodna! jeno grochowinami przytrząść i w proso wstawić - wszystkie ptaki uciekną..
- Już i tam psy uciekają kiej Jewusia bez wieś idzie!..
- A gębusię ci ma kiej pomyjami wymalowaną....
- Bo gospodarna, raz w rok się myje, coby na mydło nie wydawać..
- Żydom w piecach pali, czemu nie ma, to i niedziwota!..
Dogadywali coraz złośliwiej i okrutniej, a ona zmilkła i nieprzytomnemi oczami psa
zgonionego patrzyła po ludziach i wzięła coś w sobie..
- Pleciuchy! To grzech tak się naśmiewać nad biedotą! krzyknęła Dominikowa
tak mocno aż pomilkli i jakby chciała zaraz się pobić ze wszystkimi.
Sprawa skończyła się na niczem.

Boryna poczuł niezmierną ulgę, bo chociaż nie był winien, ale zawżdy bojał się ludzkiego obmówiska, no i tego, że przysądzić mogą by płacił — bo prawo, juści jest ci takie, że nikiej nie wiada kogo za łeb chyci — winowatego czy sprawiedliwego. Bywało już tak nie raz, nie dwa, nie dziesięć.. bywało.

Wyszedł zaraz ze sądu i czekając na Dominikową, jął medytować i rozważać w sobie całą tę sprawę. Nie mógł zrozumieć poco i dla czego skarżyła!

— Ni, to nie jej rozum i głowa, to jeszcze ktoś drugi przez nią sięga, ale kto?..

Poszli z Dominikową i z Szymkiem do karczmy napić się i przegryźć coś niecoś, bo było już dobrze po południu, i chociaż mu Dominikowa napomykała zlekka, że cała ta Jewczyna sprawa, to musi być robota kowala, zięcia jego, nie mógł uwierzyć.

— Coby mu z tego przyszło!

— Tyla żeby was pokrzywdzić a podać na pośmiewisko i umartwienie. Drugi człowiek jest taki, że z jednego dla swojej uciechy pasy by darł.

— Dziwno mi tej zawziętości Jewczynej! Bom nie naszkodził w niczem, a jeszczem za chrzest tego jej bękarta dał dobrodziejowi worek owsa..

— Służy ona u młynarza, a ten w kompanii z kowalem chodzi... miarkujecie!..

— Miarkuję, ino że nic porobić nie mogę. Napijwa się jeszcze!

— Bóg zapłać, pijcie pirwsi Macieju!

Napili się raz i drugi, zjedli drugi funt kiełbasy z półbochenkiem chleba, stary kupił nadto bułek dla Józki, i zabierali się do powrotu.

— Siadajcie Dominikowa ze mną, ckno samemu, pogwarzym..

— A dobrze, ino skoczę jeszcze do klasztoru mówić pacierz.

Poszła ale w dobre dwa pacierze już była z powrotem i zaraz pojechali.

— Szymek wlókł się za niemi wolno, bo w jedną szkapę i piachy były srogie, ale rozebrało go nieco, że to niebył zwyczajny picia i osobliwiony jadłem, to się ino kiwał senny w półkoszkach i raz wraz jakby przecykając, zdziwał czapkę ze łba, żegnał się nabożnie i wpatrzony nieprzytomnie w ogon szkapy jakoby w dziedzicową twarz na sądzie, mamrotał:

…. świnia maciorka, biała cała a ino kiele ogona czarną łatę miała….

Słońce się już było przetoczyło ku zachodowi gdy wjechali w las.

Mało wiele pogadywali choć siedzieli wpodle siebie na przedniem siedzeniu.

Czasem który zagadnął jakiemś słowem, że to niedobycznie siedzieć jak te mruki, ale ino tyla tego było, iże spić nie mógł i język nie rozwiązał..

— Boryna poganiał źróbkę, bo wolniało, że to już do półboków spotniała była z umęczenia i gorąca, czasem pogwizdał a milczał, i coś żuł, coś ważył w sobie, coś rachował i często a niewidnie poglądał na starą, na jej suchą kieby z blichowanego wosku twarz całą w pobłużnych brunatkach zastygłą — poruszała bezzębnemi wargami, jakby się modliła po cichu; czasem pociągała czerwoną zapaskę barzej na czoło, bo słońce świeciło prosto w oczy i siedziała nieruchomo ino jej bure oczy ~~[illegible]~~ gorzały

- Wykopaliście to już, co? Zagadnął wreszcie

- A juści. Obrodziły latoś niezgorzej -

- Przychować będzie wama lacniej -

- Wsadziłam też wieprzka do karmnika, bo zo zapusty może się zdać…

- pewnie, pewnie.. Mówiły, że Walek Kozłów przyszedł z wójtka?…

- Nie on jeden, nie… ale po próżnicy ino gębę tracę… nie la takich Jagni moja, nie - podniosła głowę i jastrzębiemi oczami wpiła się w niego ale Boryna, że chociaż był w latach, nie rzekł zaraz, to twarz pokazał zimną i spokojną nie do rozeznania.

Długo nie rzekli ni słowa, jakby się tą niemotą mocujące ze sobą.
Borynie nijako było zaczynać pierwszemu, bo jakże, w latach już był i gospodarz na całe Lipce pierwszy; no i mógł to zasię tak prosto rzec, co mu się Jagna udała?.. Honor przeciech swój miał i pomyślenie – ale, że krwie gorącej był z przyrodzenia, to się go zbyrę podrywało, że musi tak baczyć na siebie, tak kołować a zabiegać
Dominikowa przezierała go coś więcej i miarkowała zasię co go tak markoci i rozbiera ale ni słówkiem nie pomogła ino raz wraz poglądała naň, to w ten świat i te dalekości niebieskie aż i rzekła niechcący –
– Gorąc ci taki kieby we żniwa
– Rzekliście.
Jakoż i tak było, bo drogę otaczały potężne ściany boru, że żaden wiatrek ni przewiew nijaki nie przedziewał się zgoł, a słońce wisiało prosto nad głowami i tak dogrzewało, że rozprażone drzewa stały bez ruchu i omdlałe czuby pochylały nad drogą i tylko raz wraz puszczały bursztynowe igliwo, co kołujący spływało na drogę. Grzybów, zapach bajorów i liścia dębowego aż wiercił w nozdrzach.
– Wiecie, dziwno to mnie a i drugim, że taki gospodarz, co to i pomyślenie nie bele jakie ma, i gruntu tela, i posłuch u narodu – kiej wy na ten przykład, a do urzędu ambitu nie macie...
– Utrafiliście, że ambitu nijakiego nie mam. Co mi potem? Sołtysem byłem bez trzy roki – tom dopłacił gotowym groszem. A com namarnował siebie i koników! com się nałyknął i nabiegał – że i ten pies połowy nie więcej.. A upadek w gospodarstwie był i marnacja, że jakże mi moja nie dała dobrego słowa...

- Miała i ona swój rozum. Urzędnikiem być zawdy to i honor jest i profit -
- Bóg zapłać. Strażnikowi się kłaniaj, pisarza obłapiaj za nogi i byle ciaracha co z urzędu - też... Wielgi mi honor! Nie płacą podatków, most się popsowa, wściekły się pies, który wernie krowicą po łbie - kto winowaty?.. Sołtys winowaty, do strafu sołtysa ciągają! Hale jest profit! Dość ja pisarzowi i do powiatu nanosił i kur, i jajków i gąskę niektórą...
- Prawdę mówicie, ale Pietrkowi wójtostwo do gracji nie wraca, nie; gruntu już dokupił, i stodółkę dostawił, i konie ma kiej te hamany!..
- Juści, ino niewiada co mu z tego ostanie, kiej się urząd skończy...
- Myślicie...
- Ony swoje mam i miarkuję se zdziebko..
- Dufny ci on w siebie i z dobrodziejem dobrze drze -
- A że mu się darzy - to ino bez kobietę; on se wójtuje a ona wygarnie wszystko dzierży -
Mileczeli zmowy i pacierz dobry.
- A wy to nie poszlecie z wódką do której?... zapytała ostrożnie.
- I.. nie bierą mnie już ciągotki do kobiet, za starym...
- Nie powiadajcie po próżnicy! Ino ten stary, co się ruchać nie może. Tyżci sam do gęby nie donieście i na przypiecku se dochodzi.. Widziałam, kiejście worek żyta nieśli.
- Juści jem w sobie mocny jeszcze ale któraby ta poszła za mnie?..
- Któren nie probant - co wie? Obaczcie!
- Starym, dzieci dorastają.. a pierwszej z brzegu nie wezmę..
- Próbcie ino zapis a i co najpierwsza się wama nie sprzeciwia...
- Za zapisu! Kiej te świnie! Za te morgi, to i młódka najczystsza pójdzie choćby i za tego dziada spod kościoła...

– A któryż to na wiano nie patrzy, co?

– A chłopy to za wianem nie patrzą, co?

Nie odrzekł już, jeno skropił batem źrebicę, że ruszyła zmiejszym galopem.

Milczeli długo.

Dopiero gdy wyjechali z lasu na pola, między przydrożne topole – Boryna który cały ten czas burzył się w sobie i przegryzał, wybuchnął.

– Na psy takie urządzenie we wsi zeszło! Za wszystko płać, choćby i za to dobre słowo! Źle jest, że i gorzej być nie było. Już nawet dzieci na ojców nastają, posłuchu nie ma nijakiego, a wszystkie się żrą ze sobą kiej te psy –

– Bo głupie, nie baczą, że wszystkich jednako ta święta ziemia pożywia.

– Leda jeden abo drugi od ziemi odwróci, a już do ojców z pyskiem, coby mu jego część dawali. Ze starszych się ino prześmiewają! Ścierwy, we wsi im ciasno, porządki stare im złe, ubieru nawet wstydzą się niektóre!

– To wszystko bez to, że Boga się nie boją..

– Było i nie było, a źle jest.

– Nie idzie na lepsze, nie.

– Ma iść, kto ich ta zniewoli?

– Kara Boska! Bo przyjdzie ta godzina sądu Panajezusowego, przyjdzie –

– Ale co się przódzi narodu namarnuje, tego nikt nie odbierze

– Czasy takie, że lepiej coby mór przyszedł.

– Czasy! Juści ale i ludzie są winne. A kowal to, co? A wójt! Z dobrodziejem się drą, ludzi buntują a tumanią, a głupie wierzą.

– Ten kowal, to moja krzcizna chciał i zięć też –

I tak se już społecznie wyrzekali na ten świat, poglądając na wieś co była już coraz bliżej widna, poprzez topole –

Pod smętarzem czerwieniło się już stado kobiet pochylonych i zasnutych delikatną mgłą dymów, a wkrótce i głuchy, monotonny trzepot międlic jął raz wraz dopływać z powiewem, co się był podnosił mizernymi tchy.

— Dobry czas na międlenie. Zlecę przy nich, bo jest tam i Jagna moja.

— Nic mi z drogi, to was podwiezę..

— Dobrzyście Macieju, że jaże mi dziwno.. Uśmiechnęła się chytrze.

Skręcił z topolowej, na polną drożynę co biegła do smętarnych wrótni, i podwiózł pod smętarz, gdzie pod kamiennym starym płotem, w cieniu brzóz, klonów i tych krzyżów co się z mogiłek pochylały ku polom, kilkanaście kobiet międliło zawzięcie suchy len, aż mgła pyłów wisiała nad niemi i długie włókna czepiały się żółtych listków brzóz i wisiały u czarnych ramion krzyżów; wpodle, na przetach rozpiętych nad dołami w których paliły się ognie, przesuszano len mokrawy jeszcze.

Międlice ostro klapały aż cały rząd kobiet pochylał się ciągle w krótkich a prędkich drganiach i tylko coraz która się prostowała, roztrząsała przygarść lnu zostałych paździerzy, i kijała je w kłaki lubo w chochoła i rzucała na rozpostartą płachtę, przed siebie;

Słonce, że się już było przedostało nad lasy, świeciło im prosto w twarze ale nikto robota, śmiechy, wesołe słowa nie ustawały ani na to oczymgnienie.

— Szczęść Boże na robotę! zawołał Boryna do Jagny, która międliła z kraja zaraz, w koszuli była ino, a w czerwonym wełniaku i w chustce na głowie ofałdowanej.

— Bóg zapłać! Odwróciła wesoło i modre ogromne oczy podniosła na niego i uśmiech przeleciał przez jej urodną, opaloną twarz.

– Suchy, córuchno, co? Pytała stara obmacując obwiązaną garść.
– Suchy, kiej pieprz, pali się Tamie.. Znowu spojrzała na starego z uśmiechem aż ciarki przeszły po nim, że zwinął batem i odjechał, ale raz wraz się obracał za nią choć już widna nie była, bo mu jeno żywa stała w oczach..
– Dziewucha kiej Tania... Wszamy – rozmyślał.

IV

Była Niedziela – cichy, opajęczony i przesłoneczniony dzień wrześniowy.

Na ściernisku tuż za stodołami, pasł się dzisiaj cały inwentarz Borynowy, a pod brogiem wysokim i pękatym, okrajonym zieloną szczotką żyta, wykruszonego przy układaniu, leżał Kuba, dawał baczenie na inwentarz i uczył pacierza Witka – często pokrzykiwał na niego albo i raz się sturchał biczyskiem, bo chłopak mylił się i latał oczami po sadach.

– Bacz coś rzekłem – bo to pacierz. Upominał poważnie.

– Dyć baczę Kuba, baczę –

– To czegój ślepiasz po sadach?

– Widzi mi się, co są jeszcze jabłka u Kłębów..

– Zjadłbyś! a sadziłeś je to, co? powtórz „Wierzę"

– Wszyscy tej nie wywiedli kuropatwów a wszeniszczą całe stado –

– Głupiś! Jabłka są Kłębowe, a ptaki panajezusowe, rozumiesz!

– Ale się je wziemi z dziedzicowego pola..

– I pole jest panajezusowe. Hale, jaki mądrala, powtórz „Wierzę" – pokrzykiwał prędko, bo go już kolana bolały od klęczenia ale nie ściesknił..

– Widzimi się, co źróbka idzie w Michałowe koniczyny. Krzyknął gotowy do biegnięcia.

– Nie bój się o źróbkę a patrz pacierza..

Kwiczył wreszcie ale już nie mógł wytrzymać, przysiadał na piętach, wyzierał się na wszystkie strony, a rozrywany bandę wróbli na śliwkach śmignął w nie grudką ziemi i spiesznie bił się w piersi.

– A ochfiarowanie to zjadłeś kiej ulęgałkę, co? –

powiedział i uchowawszy z wielką ulgą rzucił się do śpiącego Łapy i jął z nim baraszkować.

- Ale, gził się ciągiem będzie, kiej ten cielak głupi.
- Poniesiecie dobrodziejowi ptaszki?
- Poniesę..
- Spiekłbym w polu.
- Spiecze się ziemniaków. Co mu się zachciewa!
- Idą już do kościoła. Zawołał Witek spostrzegając przez płoty i drzewa migające czerwone zapaski na drodze

Słońce przygrzewało mocniej, że wszystkie okna i drzwi chałup powywierano na przestrzał; gdzie niegdzie, pod przyzbami myto się jeszcze, gdzie znowu czesano i zaplatano warkocze, gdzie wytrzepywano świąteczne stroje zmięte całotygodniowym leżeniem w skrzyniach, gdzie już wychodzono na drogę, że raz wraz niby maki czerwone, niby georginie żółte co dokwitały pod ścianami, albo te nagietki i nasturcje — tak szły kobiety strojne, szły dziewczyny, szli parobcy, szły dzieci.

szli gospodarze w białych kapotach podobni do ogromnych żytnich snopów — a wszyscy dążyli wolno ku kościołowi, drogami nad stawem, który niby misa złota odbijał w sobie słońce aż oczy raziło.
A dzwony wciąż biły radosnym głosem niedzieli, odpoczywania, modlitwy.
Kuba chciał aż przedzwonią ale że niemógł się doczekać, schował pęk ptaków pod kapotę i szedł.
— Witek, jak wydzwonią spędź bydło do obór i przychodź do kościoła.
Ruszył ile mógł rychło, bo kulał srodze. Dróżka biegnąca pod ogrodami a kaj zasłana żółtym liściem topoli, że szedł kiej po ~~[illegible]~~ szafranowym kilimie.
Plebania stała na wprost kościoła, przedzielona tylko od niej drogą. W głębi wielkiego ogrodu, pełnego jeszcze gruszek zielonych i jabłek rumianych..
Przed gankiem obrośniętym w pociemniałe wino, Kuba się zatrzymał bezradnie, spozierając nieśmiało w okna i w sieni powywierane na rozcież, a że wejść nieśmiał, cofnął się pod wielki klomb, pełen róż, lewkonii i astrów - od których bił słodki, upajający zapach; stado białych gołębi łaziło po zielonym omszonym dachu i gruchało na ganek.
Ksiądz chodził po ogrodzie z brewiarzem w ręku ale raz wraz potrząsał gruszą lub jabłonką, że słychać było ciężkie pacanie owoców o ziemię, pozbierał je w poły sutanny i niósł do domu.
Kuba zastąpił mu drogę i pokornie podjął za kolana.
— Cóż to powiecie? Ach.. Kuba Borynów.
— Juści.. [illegible] parę kuropatwów dobrodziejowi przyniosłem.
— Bóg ci zapłać. Chodź za mną.

Kuba wszedł ino do sieni i ostał przy progu, bo nijak nie miał wejrzeć na pokoje, poglądał tyla co przez drzwi otwarte na obrazy wiszące po ścianach i przeżegnał się pobożnie i westchnął, a tak się czuł olśniony temi ślicznościami że aż łzy miał w oczach i koniecznie chciało mu się mówić pacierz, jeno że się bojał klęknąć na błyszczącej, śliskiej posadzce, żeby jej nie popsować. –
Ale i ksiądz zaraz wyszedł z pokojów, dał mu złotówkę i rzekł.
– Bóg ci zapłać Kuba, dobry z ciebie człowiek i pobożny, bo co niedziela chodzisz do kościoła.
Kuba podjął go za nogi ale był tak ogłuszony radością, że ani wiedział kiedy znalazł się na dworze...
– Złoty, za te parę ptaszków a tyla pieniędzy! Dobrodziej kochany! Szeptał przygładzając się pieniądzowi. Nieraz ci on nosił dobrodziejowi różne ptaki, to jajeczka, to grzybków, ale nigdy jeszcze tyla nie dostał, co najwyżej to dziesiątkę abo i to dobre słowo... A dziś!.. Jezus mój kochany! Cała złotówka i na pokoje go wołał i tyla dobroci mu powiedział..... Jezus! Aż za grdykę go coś ułapiło i łzy samy kciały mu ściec, a w sercu poczuł taką gorącość, jakby mu kto ~~gorącego~~ zawiewił nasiąk za parzenicę...
Ino jeden ksiądz uszanuje człowieka, ino on jeden!.. Niech ci Bóg da zdrowie i ~~ta~~ Panienka Częstochowska... Dobry z ciebie pan, dobry!... Boć cała wieś i parobki i gospodarze i wszystkie, to ino go kułakiem poczęstowali, a niezgóba, a damorjatem a nikto dobrego słowa nigdy nie dał, nikto nie pożałował – chyba ino te koniska abo i te pieski... a przecie rodowy był... gospodarski syn... nie znajda jaki.. nie obieżyświat a chrześcijan prawy, katolik..

podnosił głowę coraz wyżej i coraz hardziej, prostował się jak młody i z góry, wyzywająco prawie patrzał na świat, na ludzi wchodzących na smętarz i na tę skrzynię co stała pod murem przykryta, naciął czapę na skołtunioną głowę i wolno, godnie wszedł do kościoła, jak gospodarz jaki zakładając ręce za pas i tak zamiatając krzywą nogą, iż kulawa ja nim ustawała.

Nie, nie został dzisiaj w kruchcie jak zawdy, ~~kaj~~ jak przystało na niego, jeno się mocno jął przepychać przez ciżbę i parł prosto aż przed wielki ołtarz — aż tam gdzie ~~zwyczajnie~~ stawały same gospodarze; gdzie stojał Boryna i Wójt sam; kaj stawały te, co nosiły baldach nad dobrodziejem albo i te, co ze świecami kiej słonice trzymali straż przy ołtarzu podczas podniesienia.

Patrzyli na niego ze zdumieniem i zgrozą, a często gęsto wybuchło takie przykre słowo i odebrał takie spojrzenie — jako ten pies który się tam ciśnie, gdzie go nie wołają. Ale Kuba nie dosłyszał złego dzisiaj nie widział, ściskał w garści pieniądz a duszę miał pełną słodkości i dobroci, jakoby po spowiedzi się czuł albo jeszcze i lepiej.

Zaczęło się nabożeństwo.

Ukląkł przy samej kracie i śpiewał z innemi, zapatrzony pobożnie w ołtarz gdzie u góry był Bóg Ociec, siwy Pan i srogi, rzetelnie podobny do dziedzica z Brzozowej Woli, a w pośrodku sama Częstochowska z złocistem obliczem patrzała na niego... a wszędy lśniła się pozłota, jarzyły się świece i stały bukiety papierowych czerwonych kwiatów... a ze ścian i z okien kolorowych wychylały się oblicza ~~głowy~~ i święte, surowe twarze, i smugi złota, purpury, fioletu — niby tęcza padały na jego twarz i głowę, całkiem jakby się unurzał w stawie przed zachodem kiedy słońce bije w wodę. I poczuł się jakoby w niebie w tych złocistościach, iż

ruchać się nie mógł, ino klęczał wpatrzony w czarniawą, złotka matczyną twarz Częstochowskiej, ino mówił pacierz za pacierzem spieczonemi wargami, a (ino potem) śpiewał tak żarliwie, tak ze wszystkich sił duszy wierzącej, tak sercem pełnem ekstazy — że jego zwiętły, skrzypiący głos wylatał się najdonośniej —

— Drzeć się Kuba kiej ta wrona żydowska! szepnął mu ktoś z boku.

— Za Pana Jezusa i tej Panienki... mruknął, przestając, bo się kościół uciszył. Ksiądz wszedł na ambonę, i wszyscy zadarli głowy i wpatrywali się w dobrodzieja, który wysoki kiejby pochylił się nad narodem i czytał ewangelię — a światła i farby biły na niego z okien, że widział się wszystkim jako ten anioł płynący na tęczy... Ksiądz mówił długo i tak mocno, że jaki taki westchnął skruszonem sercem, niejednemu łzy pociekły, a który znów raz spuścił oczy i kajał się w sumieniu — i obiecywał poprawę... A Kuba patrzył w dobrodzieja jak w obraz święty, i aż mu dziwno było, że to ten sam dobry pan co mówił do niego i dał mu złotówkę — bo teraz wyglądał jak archanioł na ognistym wozie obłoków, twarz mu pobladła, oczy ciskały błyskawice gdy zaczął podnosić głos i wypominać narodowi grzechy wszelkie, a skąpstwo, a pijaństwo, a rozpustę, a czynienie szkód nieszanowanie starszych, bezbożność. I wołał wielkim głosem o upamiętanie się, błagał, zaklinał, prosił — aż Kuba nie wytrzymał i jął się tłuc w piersi za winy dla wszystkich grzechów, złości, ze skruchy i ryknął głośnym płaczem a za nim naród cały, kobiety, gospodarze nawet — że płacz się uczynił w kościele, chlipanie wycieranie nosów, a gdy ksiądz z pokutną modlitwą zwrócił się do ołtarza i padł na kolana — jęk przeleciał kościół i naród jak las przygięty wichurą runął twarzami na podłogę, aż mury się potrzęsły i niby obłokiem osłonił te serca skruszone i łzami, westchnieniami, krzykiem, wołające do Pana zmiłowanie.

A potem cichość zapadła, cichość rozmodlenia i serdecznej rozmowy z Panem, bo zaczęły się znowu - organy huczały przyciszonym, pokornym a głębokim głosem - aż dusza Kuby zamierała z lubości i szczęścia niepowiedzianego..
A potem gdy ksiądz podniósł się znagła od ołtarza i płynął nad pochylonemi głowami długą koroną promieniejących i świętych; to dzwonki krótko salwą dźwięczały, to dymy kadzideł biły pachnącemi słupami i niby obłokiem pokrywały klęczących i rozmodlonych - a Kubę napadło takie wzruszenie, że wzdychał ino, rozkładał ręce, bił się w piersi i zamierał z tej słodkiej niemocy - a wszystko modlitw, westchnienia, nawet wykrzyki, jaké gdzie niegdzie. gorące oddechy, światła, dymy głos organów - zatapiały go jakoby w świętym śnie, jakoby w zapamiętaniu -
- Jezus! Jezus mój kochany! szeptał olśniony i nieprzytomny, a złotówkę mocno ściskał wyżej, bo gdy po podniesieniu, Jambroży zaczął obchodzić z tacą i pobrzękiwać by słyszeli i zbierać na światło, Kuba powstał, rzucił mocno pieniądz, i długo. jako że tak czynili gospodarze, wybierał sobie reszty dwadzieścia i rzekł głośno.
- Bóg zapłać - westchnął z lubością.
I kiedy rozniosły świecę, bo nabożeństwo było z wystawieniem i procesya, Kuba wyciągnął śmiało rękę i chciał okrutnie, chciało mu się wziąć całą - wziął jednakże najmniejszą, ogarek prawie, bo spotkał się z surowym, karcącym wzrokiem Dominikowej, co stała wpodle niego z Jagusią... zapalił ją wnet, bo już z księdza ujął monstrancyę, obrócił się znów do ludu, że padli na twarz zaintonował pieśń i schodził wolno po stopniach ołtarza, w tę ulicę znagła uczynioną z głów rozśpiewanych, świateł płonących, barw ostrych i głosów jękliwych; procesya ruszyła, organy huknęły potężnie, dzwonki zaczęły wytrząsać dzwonię, lud

Podchwycił wtór i śpiewał jednym, ogromnym głosem wiary; a przodem ciżby, w rzędach rozchwianych świateł, migotał srebrny krzyż, kołysały się niesione feretrony całe w tiulach, a kwiatach i koronach szychowych, a już we drzwiach wielkich, którymi przez obłoki dymów kadzielnych buchało słońce, rozwijały się na wietrze pochylone chorągwie i niby ptaki purpurowe i zielone, łopotały skrzydłami.

Procesya obchodziła kościół.

Kuba ostawił swoją świecę i trzymał się uparcie tuż przy księdzu, nad którym Boryna, i kowal, i Wójt, i Tomek Kłąb, nieśli czerwony baldachim — a spod niego promieniowała monstrancya złota i tak była cała w promieniach słońca, że przez środek szkiełka widać było bladą, przeświecającą hostyę świętą...

Tak był nieprzytomny, że raz wraz się potykał i nadeptywał drugim na nogi.

— Uważaj niedojdo!

— Pokraka, kulas jeden! syczeli mu poszturchując nierzadko.

Nie słyszał nic tego; śpiew ludu brzmiał potężnym głosem, podnosił się jak słup, jak fala, co się płynął i bił w słońce blade; dzwony huczały nieustannie śpiżowemi ustami aż trzęsły się lipy i klony, i raz wraz jakiś czerwony liść oderwał się i niby ptak spłoszony spadał na głowy, a wysoko, wysoko nad procesyą, nad czubami drzew pochylonych, nad wieżą kościoła krążyło stado gołębi rozstraszonych...

. . . .

A po nabożeństwie naród wysypał się na smętarz przykościelny; wyszedł i z innymi Kuba ale się dzisiaj nie śpieszył do domu, chociaż wiedział że będzie na obiad mięso z tej zarżniętej krowy — nie, postawał, pogadywał ze znajomkami a przysuwał

się do swoich gospodarzy, bo i Antek z żoną stojali w kupie z drugiemi i powę-
drali jak to w niedzielę po sumie zwyczajnie.

A w drugiej gromadzie, co się już była skupiła za wrótniami zaraz, na drodze, rej wodził Kowal, duży chłop, ubrany już całkiem z miejska, bo w czarnej kapocie, pokapanej woskiem na plecach i w granatowym kamizelcie, spodnie miał na buty i srebrną dewizkę na kamizelce; twarz miał czerwoną i rude wąsy i włosy pokręcone; rajcował donośnie a porniewał się, że aż rechotał, bo wypity był na całą wieś że niech Bóg broni dostać mu się na jezór. Boryna zmrużył oczami ku niemu, a nasłuchiwał, bo się bojał jego gadania, że to nawet rodzonemu kowal nie przy-puścił, a cóż dopiero teści, z którym był w wojnie o wiano żonine – ale nie nie wymiarkował, bo mu się nawinęły pod oczy Dominikowa z Jagną, wychodzące z kościoła; – szły wolno, jako że i gęsto było narodu na smętarzu, i, że się witały to z tym, to z owym i pogadywały ~~pa~~ słowem niektórem: bo chociaż wszystkie były sobie znajome a pokumane i powinowate i z wsi jednej, że często jeno ten płot albo i miedza dzieliła – a zawżdy pogwarzyć przed kościołem miło jest i potrzeba.. Dominikowa rozwodziła się cichym, nabożnym głosem o Dobro-dzieju, a Jagna rozglądała się po ludziach, jako że wzrostem równa była i chłopom najrosłejszym, a strojna dzisiaj była że aż oczy rwała parobków, co się kupą stali przed wrótniami, na drodze, kurzyli papierosy i szczerzyli do niej zęby. Bo i urodna była, i strojna i takiej postury, że i drugiej dziedzi-cówny z nią się nie mierzyć

Dziewuchy abo i kobiety z mianą przechodzący mimo, spoglądały na nią z zazdrością abo i zgoła przystawały w pobliże abych nasycić oczy tym jej wełniakiem pasiastym

i rzekłbyś że jak tęcza wszystka mieniła się na niej, to na jej czerwone trzewiki wysokie, zasznurowane aż po białe pończochy, czerwonemi sznurowadłami, to na gorset zielonego aksamitu tak wyszyty złotem, że aż się w oczach mieniło, to na te sznury bursztynów i korali, co obciążały jej białą, pełną szyję — przy różnobarwnych wstążkach zwieszonych się od nich na plecach i gdy szła wiły się za nią niby tęcza.

Ale Jagna nie widziała zazdrosnych spojrzeń, błądziła modremi oczami po głowach i natknąwszy się na wlepione w siebie oczy Antka, oblała się rumieńcem i pociągnąwszy matkę za rękaw, ruszyła prędko nie czekając.

— Jaguś poczekaj. Krzyknęła za nią matka witając się z Boryną.

Zatrzymała się na drodze, bo i parobcy kurmem ją obegnali i poczęli witać a przymawiać.

Żałośliwie Kubie, któren szedł za nią, w piętkom kiej wołek.

Splunął jeno i powlókł się do domu, bo i gospodarze już ciągnęli, i trza było zajrzeć do koni.

— Gadałem kiej na tym obrazie! Rzekł bezwiednie siedząc już w izbie.

— Kto, Kuba? Pytała Józia szykująca obiad..

Spuścił oczy, bo wstyd mu się zrobiło i strach, żeby nie poznali.

Ale że obiad był syty a długi, to i wrychle zapomniał: bo mięso było, była i kapusta z grochem, był i rosół z ziemniakami, a na ostatek postawili niezgorszą miseczkę kaszy jęczmiennej okraszonej ze słoniną.

Jedli wolno, poważnie i w milczeniu, dopiero kiej zaspokoili pierwszy głód jęli pogadywać i smakować w jadle..

Józia, że to ona dzisiaj była za gospodynię, to ino przysiadała czasami na swojej ławki, pojadała spiesznie a pilnie baczyła czy warza nie schodzi, by przynieść

z izby garnki i łyżki, by nie powiedzieli, że w misce dnieje —

A obiadowali na ganku, że to czas był cichy i ciepły —

Łapa kręcił się i skamlał, to obcierał się o nogi jedzących, zaglądał do misek aż mu raz w raz, ktoś rzucił kostkę jaką, z którą uciekał pod przyzbę — albo zasię ucieszon obecnością gospodarzy i że wspominano jego imię, szczekał radośnie i gonił za wróblami, co się były wieszały po płotach, oczekując na okruszyny.

A drogą często ktoś przechodził i pozdrawiał jedzących, że hurmem odpowiadali.

— Pono ptaszki nosiłeś dobrodziejowi? zagadnął Boryna

— Nosiłem, nosiłem! Położył zaraz łyżkę i jął opowiadać, jako go to ksiądz wprowadził na pokoje, jako tam pięknie, że tyla książków —

— Kiedy to on wszystkie przeczyta! ozwała się Józia

— Kiedy? A wieczorami! Siedzi se po pokojach, popija arbatę i ciągiem czyta —

— Musi być.. nabożne wszystkie — wtrącił Kuba.

— Przeciech nie lementarze

— A gazety to co dnia stójka przynosi. dorzuciła Hanka

— Bo w gazetach pisze co się dzieje na świecie.. ozwał się Antek

— I Kowal z Młynarzem trzymają gazetę.

— I... to i taka kowalowa gazeta! rzekł wzgardliwie Boryna

— Takutka sama kiej księża. powiedział ostro Antek.

— Czytałeś? wiesz?

— Czytałem i wiem, a bo raz!

— I wymądrzałeś nic z tego że się zadajesz z Kowalem.

— Dla ojca to ino ten mądry, co chocia z półwłóczek ma albo i ogonów krowich z mendel!

— Zawrzyj gębę pókim dobry! Abo ino ozwij się, żeby się wyginął! Chleb cię to dopiero widzi.. mój chleb..

— Ością mi on już stoi we gardzie, ością...

— Szukaj se lepszego, na Hanczynych trzech morgach będziesz jako w bułki.

— Będę jadł ziemniaki ale mi ich nikt nie wymówi.

— Nie wymawiam ci i ja..

— Ino kto drugi?... Haruj jak ten wół jeszcze ci słowa dobrego nie dadzą...

— We świecie jest lżej, niektórzy robią a jadzą wszystko..

— Pewnie że jest lepiej.

— To se idź i posmakuj

— Z gołymi rękami nie pójdę.

— Kijek ci dam cobyś się miał czem od piesków opędzać!

— Ociec! wrzasnął Antek wyrywając się z ławki ale opadł zaraz, bo Hanka uczepiła go wpół, a stary popatrzył groźnie, przeciągnął się, jako że już było po obiedzie i odchodząc do izby rzekł twardo.

— Na wycug do ciebie nie pójdę, nie! —

Porozchodzili się zaraz ino Antek został na ganku i medytował, a Kuba wyprowadził konie na koniczysko za stodołę, uwalił się pod wozem aby się przespać ale spać nie mógł, ciężyło mu wszystko jednako a tę myśl, że gdyby miał jaką strzelbę, toby mógł tyle ustrzelić ptaszków albo i zajęczka niektórego, że co niedziela nosiłby dobrodziejowi.

Kowal by strzelbę zrobił, jako to i borowemu majstrował taką, że jak strzeli blaszą, to aż we wsi się rozlega!

– Mechanik jucha! Ale pięć rubli trza mu za łaskę zapłacić! rozmyślał – Ale co wiem?.. na zimę idzie, kożuch trza kupić, buty też, dłużej jak do gołów się wytrzyma... Juści, winny mi są jeszcze dziesięć rubli i złotych sześć, portki i koszule.. Kożuch choćby i zaraz... Wódki kupię.. buciska ze trzy... a to i czapka by się zdała... a rubla trza zaniesć dobrodziejowi na wotywę za ojców... Scierwa... że i nic nie ostanie!.. Splunął i zaczął ciemnemi w lejbiku wyliczać okruchy tytuniu i natrafił na ten pieniądz, o którym był zapomniał przez obiadu..

– Jest ci gotowy grosz, jest! Odechciało mu się spać nagle; od karczmy rozlegał się hałas, przeciągły głos muzyki i jakby echa pokrzyków.

– Tańcują se juchy i gorzałę piją i papierosy kurzą! Westchnął i legł znowu na brzuchu i patrzył na spętane konie, że zbiły się w kupę i gryzły po karkach, a rozmyślał, że wieczorem może i on zajść do karczmy i kupić sobie tytoniu i choć se popatrzeć na bawiących. Raz wraz oglądał pieniądz i spoglądał na słońce, wysoko było jeszcze i szło dzisiaj tak wolno ku zachodowi, jakby se też [illegible] ociągało niedzielnie.. A ciągło go tak do karczmy, że wytrzymać nie mógł, przekładał się jeno z boku na bok i pojękiwał z tęsknoty, ale nie poszedł zaraz, bo akuratnie z za stodoły wyszedł Antek z Hanką i szli miedzą w pola.

Antek szedł przodem a Hanka z chłopakiem na ręku za nim, czasem coś rzekli i szli wolno, a coraz to Antek pochylał się nad rolą i dotykał ręką wschodzących źdźbeł.

– Idzie... gęste kiej szczotka.. Mruknął i obejmował oczami te swoje morgi, które obsiewał za odrobek ojcu

– Gęste, ale ojcowe lepsze, idzie kiej bór! Mówiła Hanka patrząc na sąsiednie zagony

R

- Bo rola lepiej doprawiona.
- Miał ze trzy krowy – toby i ziemia się pożywiła
- I konia swojego.
- I przychował co na sprzedaż. A tak, co? każdy plewe, każdą obierzynę ociec rachuje i mają za wielgie rzeczy –
- I wszystko wypomina!...

Zamilkli nagle ~~[illegible]~~, bo uczucie krzywdy zalało im serca żalem gniewem i głuchym, szarpiącym bólem.

- Ino osiem morgów by wypadło – wykrzyknął bezwiednie
- Juści że nie więcej. Przecież to i Józka, i Kowalowa, i Grzela, i My – wyliczała
- Kowalowa by zabacie i ostać przychałupie i półrobóczku..
- A mało czem?... Jęknęła aż w tem uczuciu bezsilności tak silnem, że łzy jej pociekły potokiem gdy ogarnęła oczami te pola ojcowe, tę ziemię jak złoto czystą, gdzie i pszenica, i żyto, i jęczmień, i buraki od miedzy do miedzy siać było można... Tyle dobra a to wszystko cudze... nie ich...
- Nie bucz głupia, zawżdy z tego osiem morgów nasze.. 97
- Żeby chociaż sposobna z chałupą i z tym kapuśniskiem! Wskazała na lewo, w który gdzie modrzały długie zagony kapusty, skręcili ku nim.

Siedli na kraju tak pod krzami, Hanka pokarmiała dziecko, bo płakać poczęło a Antek skręcił papierosa, zapalił i ponuro patrzył przed się...

Nie mówił on żonie, co go żarło we wnątrzach, ni co mu leżało na sercu niby węgiel rozpalony – bo ani by mógł wypowiedzieć, niby rozumiała go dobrze..

Przeczajnie, jak kobieta, co ni pomyślenia nie ma, ni niczego nie wymiarkuje, same ino żyje se jako ten cień padający ~~od [illegible]~~ człowieka...

A gospodarstwo, a dzieci, a krowy — to i cały świat dla niej. Każda kobieta taka, każda... rozmyślał gorzko i aż go zatrzęsło ze złości... Ten ptak co polatuje nad łąkami, ma lepiej niźli człowiek drugi.. Co mu tam zachody! polatuje se, pośpiewuje a powyżej obziera ku niego pola, że ino mu zlecieć a pożywiać się..

— A kto to i gołowąs pierwszy ociec więc nie ma! zaczęła Hanka.

— Przecie!..

— A Józce to kupił korale takie — że i krowę by kupił za nie, a Grzeli to ciągiem do wojska śle pieniądze..

— Stać go... odpowiedział myśląc o czemś innem..

— A przecie do umierającej wszystkich! A szmaty po matce, to dziś wszystkie i na wet mi oczy nie pokaże.. A wełniaki takie, a chusty, a czepki, a paciorki... Jęła długo wyliczać dobro wszelkie i korzyści, i żale, i nadzieje, a Antek milczał zawzięcie, aż zniecierpliwiona zaburczała go wreszcie.

— Śpisz to?..

— Słucham, gadaj se, gadaj to ci ulży! A jak skończysz to mi powiedz..

Hanka, że to płaksiwa była a i zebrało się jej dużo wszy, buchnęła płaczem i jęła mu wymawiać, że mówi do niej jak do dziewki jakiej, że niedba o nią, ani o dzieci, ani o nic...

Aż Antek zerwał się na równe nogi i zawołał przygłuszenie

— Wykrzyczaj sobie, że gapy ano cię słyszą i pożałą się nad tobą! Wskazał oczami na wrony lecące nisko nad głowami, nacisnął czapkę i wielkiemi krokami poszedł na wieś..

— Antek! Antek! wołała za nim żałośnie ale ani się obejrzał.

Obwinęła chłopaka i popłakując szła z wiadrami i powróciła do domu; ciężko jej było na sercu - ani pogadać ani wyżalić się przed kiem na dolę swoją.. A to człowiek żyje ciągiem jak ten samson, że nawet do sąsiadów pójść nie pójdzie i pogadaniem serca nie ucieszy. Dałby jej Antek kumy! Nic ino siedź w tej chałupie a charuj, a zabiegaj a jeszcze tego słowa dobrego nie usłyszysz! Inne do karczmów chodzą a na wesela.... a ten Antek.. bo to mu dogodzić można?... Czasem taki że i do rany przyłóż... to znowu całe tygodnie ledwie bąknie to jakie słowo i ani spojrzy... nic jeno medytuje a medytuje... Prawda że ma i serce! Bo i ten ociec nie mógłby to już grunt im odpisać, nie czas to starem iść na wycug... Abyć dogadzała by mu, że i rodzonemu nie byłoby u niej lepiej...

Chciała przysiąść do Kuby, koło którego przechodziła ale przyparł się plecami do brogu i udawał że śpi, choć mu słońce świeciło prosto w oczy. Dopiero gdy znikła za węgłem stodoły, podniósł się, otrzepał ze słomy i wolno jął się przebierać pod sadami ku karczmie.. paliła go ano ta złotówka...

A karczma stała na końcu wsi, za plebanią, na początku topolowej drogi.

Ludzi było mało co: muzyka czasami pobrzękiwała ale nikto nie tańcował jeszcze, za rano było, i młodzi woleli grzać się w sadzie albo wystawać na przełazach i pod ścianami, gdzie na świeżych, żółtych jeszcze belkach siedziało sporo dziewczyn i kobiet, a w wielgiej izbie z czarnym, okopconym pułapem pusto prawie było, małe przepalone szybki, przez które czerwone przedzachodnie światło, tak słabo że ino smuga leżała na powybijanej podłodze, a w kątach mrok zalegał. Jakieś ludzie siedzieli za stołami pod ścianą, ale rozeznać nie rozeznał, kto taki?.

Jeden Jambroży z brackim od światła, stojał pod oknem z butelczyną w garści - przepijał gęsto do siebie i pogadywał...

Basy burczały cicho jako ten bąk, kiej się wedrze do izby ze słońcem i brzęczy... a czasem skrzypka z nagła zapiszczała cieniuśko jakoby ptaszek wabiący albo i ten bębenek zahurkotał i pobrzękiwał... ale wnet cichość zalegała.

Kuba poszedł prosto do szynkwasu, za którym siedział Jankiel w jarmułce i w okularach, bo ciemno było, przygładzał siwą brodę, kiwał się i wyczytywał w książce przykładając oczy prawie do samych kart.

Kuba się namyślał, przestępował z nogi na nogę, przeliczał pieniądze, poskrobał się po kołtunach i stał tak długo aż Jankiel spojrzał na niego i nie przestając się kiwać i modlić, brzęknął raz i drugi kieliszkami..

- Półkwaterek ino korzennej! zawarczał wreszcie.

Jankiel w milczeniu nalewał i lewą ręką wyciągał po pieniądze..

- W skąd? zapytał, zagarniając do szufladki zaśniedziałe miedziaki

- Juści ja nie ukradł!..

Usunął się na sam koniec szynkwasu, wypił pierwszy kieliszek, splunął i jął poglądać po karczmie; - wypił drugi, przyglądał się butelce pod światło, stuknął nią mocno ~~[illegible]~~

- Dajcie no drugi i machorki! rzekł śmielej, bo błoga ciepłość go przejęła po gorzałce i dziwna moc rozlała mu się po kościach

- Zasługi dzisiaj Kuba odebrał?

- Gdzieby... nowy-Rok to?..

- Może dziś znalazł?

- Ale.. nie chwaci... przeliczył pieniądze i żałośnie spojrzał na flaszkę araku

- Poborguję. albo to ja Kuby nie znam!...

Baby weszły z cicha, jako ten bych wiej się wdzie do izby ze dworu

- Nie trzeba..., kto borguje - ten się z butów zzuje.. powiedział ostro.
Mimo to, Jankiel postawił przed nim flaszeczkę araku.
Opierał się, już nawet brał się wyjść, ale jucha tak tęgo zapachniał, że jaże w nosie wierciło, więc się nie zmagał dłużej, jeno wypił nie medytując.
- Zarobiliście, w lesie?.. pytał Jankiel cierpliwie.
- Nie w lesie.. ptaszków, com je w sidła chycił, zaniesłem dobrodziejowej sześć i dali mi złotówkę..
- Złotówkę zaraz! Ja bym za każdego dał Kubie dziesiątkę.
- Jakże, przecie kuropatwy to kosztują?.. zdumiał się.
- Niech Kubę głowa o to nie boli.. niech tylko przyniesie dużo, a za każdą dostanie zaraz, do ręki po dziesiątce. Arencyę postawię na zgodę, co?..
- I po całym dziesiątku Jankiel zapłaci?..
- Moje słowo nie ten wiatr! A za te sześć... to Kuba miałby nie dwa półkwaterki czystej - a cztery z araczkiem, i śledzia, i bułkę, i paczkę machorki.. rozumie Kuba?..
- Juści... cztery półkwaterki z araczkiem, i śledzia... i... juścić nie byłem przecie to miarkuję... rychtyk prawda! Cztery półkwaterki z araczkiem... i machorka i bułków... i całego śledzia... Wszczynała go już wódka i ciepło rozbierało.
- Przyniesie Kuba?..
- Cztery półkwaterki... i śledź... i... Przyniesę... Ciż, żebym to miał strzelbę.. ozwał się przytomniej i jął mówić otwarcie - Kupiłbym, ale ten przyjdzie z pięć rubli.. byłyby się zdały... ze trzy ruble... ni, nie chwaci... a kowal by chciał z pięć rubli za fuzję.. tyla co od Rafała.. ni... myślał głośno

Jankiel wolał szybko oblicze mu wiedząc i szepnął mu cicho do ucha.

– Zastrzelił by Kuba sarnę?..

– Ale, spieszci się zastrzeli a dwurzy takiego jucha i ustrzelił..

– Kuba umie strzelić?..

– Jankiel jest żyd to i nie wie, a we wsi wiedzą wszystkie, żem chodziłem z dziedzicami do boru, że mi i ten kulas przestrzelili... to umiej umiem..

– Ja dam strzelbę, dam proch, dam co potrzeba... a Kuba co ustrzeli, przyniesie do mnie! Za sarnę dam całego rubla.. słyszy?.. całego rubla! Za proch Kuba zapłaci pięćdziesiąt kopiejek od sztuki, odtrące.. A zaś to co się trzęsie będzie pani to Kuba przyniesie ćwiartkę owsa...

– Rubla za sarnę.. a niby jo, za proch pięćdziesiąt... całego rubla!.. niby jakto?..

Jankiel znowu wyliczył mu szczegółowo..

– Owsa?.. Przecieć koniom od pyska nie odejmę.. to jedno rozumiem

– Po co brać koniom! U Boryny jest i gdzie indziej..

– To niby... wytrzeszczał oczy i kalkulował.

– Wszystko tak sobie! A Kuba myślał skąd parobcy mają pieniądze?.. Każdemu trzeba machorki, a kieliszka wódki. a potańcować w niedzielę!.. To zdziwił wżeni..

– Jakże.. złodziej to jestem parobek jeden, co, co?.. Zagrzmiał nagle bijąc pięścią wstoł aż kieliszki podskoczyły..

– Co się Kuba rzuci! Niech Kuba płaci i idzie sobie do dyabła!..

Ale Kuba nie zapłacił i nie poszedł, nie miał już pieniędzy, i winien był żydowi.. to się ino oparł ciężko o szynkwas i jął senny obliczać a Jankiel udobruchał się i raz jeszcze nalał mu ale już czystego araku... i nic nie mówił..

Tymczasem, do karczmy napływało coraz więcej ludzi, bo już mrok gęstniał, zapalili światło, muzyka raźniej się ozwała i gwar się podnosił; — naród skupił się przy szynkwasie, pod ścianami albo i zgoła wpośrodku izby i raił, pogadywał, ucinał się, a kto niekto i przepijał do drugiego ale z rzadka, bo nie na pijaństwo przyszli, jeno tak sobie, po sąsiedzku postać, pogwarzyć, skrzypic posłuchać abo i basów; coś niecoś posłyszeć nowego; — niedziela przeciech — to odpocząć ni folgę dać ciekawości nie grzech a choćby i ten kieliszek wypić z kumami... byle przystojnie i bez obrazy boskiej się obyło, to i sam Dobrodziej nie bronił... Jakże, i byłże na ten przypadek, po pracy odpocząć rada i musi.
A zaś przy stole, zasiedli gospodarze starsi i kobiety niektóre, przyodziane w czerwone wełniaki i chusty, że widziały się, jako te malwy rozkwitłe, a że razem wszyscy mówili, to jno szum szedł po karczmie, kiej boru i tupot nóg, jakoby bicie cepami w klepisko, i głos tych skrzypic, co ciągiem śpiewały figlujący...
— A kto będzie za mną gonił... za mną gonił...
— Oto ja... oto ja... oto ja... Oberkiwały stękające basy, a bębenek trząsł się jno, a chichotał, a bazarkował i wciąż czynił brzękadłami —
Niewiela ludzi tańcowało ale tak ostro przytupywali aże podłogi skrzypiały i stół dygotał, że raz wraz flaszki pobrzękiwały i wywracały się kieliszki..
Ale ochoty wielgiej nie było, bo i okazji, jako to przy weselach bywa abo i zrękowinach — nie było. Tańcowali ot tak sobie, la uciechy jednej abo dla wyprostowania nóg i grzbietów — tylko chłopaki, co mieli późną jesienią do wojska stawać, zabawiali się mocniej i pili na frasunek, co i nie dziwota,

bo mieli ich w tyli świat pognać, do obcych.
A Wójtów brat, najgłośniej wykrzykiwał, a po nim Marcin Biały, Tomek Sikora i Paweł Boryna, stryjeczny Antka, który i sam przyszedł do karczmy o zmroku, tylko że nie tańcował dzisiaj, a siedział w alkierzu z kowalem i z drugiemi, i Franek Młynarczyk, niski, krępy i krzywonogi, ten co zabijaka był największy, i zbereźnik, i opój i na dziewuchy taki łakomy, że często gęsto, pysk miał zbity i podrapany. Ale że dzisiaj odbiegł się zaraz z miejsca, jak to niedobre stworzenie, to ino stał przy szynkwasie, z grubą Magdą od organisty, która była już w szóstym miesiącu. Dobrodziej już to wypominał na ambonie i nagaiał go do ożenku ale Franek słuchać nie chciał, że to do wojska stawać miał jesienią, to co mu tam po babie...
Magdusia właśnie ciągnęła go w kąt, do nalepy i cosik mu mówiła płaczącym głosem a on jej naco raz wraz powiadał
– Głupiaś! Nie latałem za tobą.. Chrzciny zapłacę i zrobię rzucę jak mi się spodoba!.. Nieprzytomny był i pchnął ją, aż przysiadła na nalepie komina, w pobliżu Kuby, który już spał w popiele a z nogami na izbie – chlipała tam sobie cicho, a Franek poszedł znowu pić i brać dziewczyny do tańca – gospodarskie nie chciały, bo młynarczyk, co i to? Parobek prawie, a proste dziewki też, bo pijany był i właśnie zbereźnistwa czynił, to ino splunął i wziął się z Jambrożym całować i z gospodarzami, którzy że mieli w myśli swoje, stawiali spoje...
– Wypijcie Franek a zmielcie rychlej, bo już mi baby głowę kołaczą, że na kluski nie mają i źdźbła mąki...
– A moja o kaszę ciągiem mi turkoce...
– Że to i owsa la konika nie ma... mówił trzeci.

Franek pił, obiecywał i przechwalał się głośno, że na młynie wszystko idzie jego głową, że młynarz słuchać go musi, bo jakby nie... to on zna takie sztuki - że robaki zalęgną się w okrzyniach... woda wyschnie... ryby wyzdychają skoro jeno chuchnie na staw... nigdy się tam zwarzy - że i placka z niej nie upiecze...

- Ozdobałabym ci ten łeb barani, żeby mnie tak zrobił! wykrzykneła Jagustynka, która zawsze bywała tam gdzie i wszyscy, bo chociaż nie piła że to nabożniejszy był ten grosz gotowy - ale stawić się mogło, co kum postawił półkwaterek jaki albo powinowaty drugi - bo się jej ostrego języka bali. Toż i Franek choć był pijany a zląkł się jej i zmilkł, bo wiedziała o nim różne różności, jakto we młynie gospodarzy, a ona że to już była podpita nieco, ujęła się pod boki, przytupywała w takt i aż wykrzykiwać!

- Tańcuj, dziej, muchy w oczach! Jewka a ruchaj-że się. Łaziła dziewczyn po nocy a teraz śpi w tańcu! Tomek, a poszczej! a to ci ten ciężki ta ćwiartka co ją Jankowi sprzedał, co? Nie bój się, ociec jeszcze nie wiedzą! Maryś! zatańcz się z Tchórzami, zatańcz. ~~[illegible]~~ a przy mnie miejsca na ulicy...

I tak dalej dogryzała ~~[illegible]~~ po kolei tańcernikom; niepomiarkowana była i szła na wszystkich, że to dzieci ją skrzywdziły, a ona na starość na wycug chodzić musiała, ale jej nikt nie odpowiadał, wynurzała się i poszła do alkierza gdzie siedział Kowal z Antkiem i kilku uboższych gospodarzy. -

Lampa wisiała u czarnego pułapu i mdłym żółtawym światłem rozjaśniała jasne, powichrzone głowy - siedzieli dokoła stołu, wsparli się mocno na rękach i wszyscy oczy utkwili w Kowala, który pochylony nad stołem, czerwony, rozkładał szeroko ręce, czasem bił pięścią i gadał z cicha:

– Prawdę mówię, bo tak stoi w gazecie wypisane, wyraźnie jak wół... Nie
tak ludzie żyją we świecie jak u nas, nie – Co jest?.. Dziedzic ci panuje, ksiądz
ci panuje, urzędnik ci panuje — a ty jako wół a tylko robisz i każdemu się
nisko kłaniaj, iżby po tobie nie oberwał..
– A gruntu mało, że niedługo to i po zagonie na człowieka nie stanie!
– A dziedzic ma sam więcej niż dwie wsie razem...
– Powiadali wczoraj na sądach, że nadawać będą nowe grunta, ukazowym..
– Jakie?
– Księże – a dworskie!
– Ale! dalibóg dziedzicom, to je odbierać będzie! Ale, ondrem się już rządzą.
Wykrzyknęła Jagustynka nachylając się do nich ze śmiechem.
– ... i sami się rządzą – ciągnął dalej Kowal nie zważając na babie powiedze-
nie – a wszyscy we szkołach się uczą, we dworach mieszkają i panami są...
– Gdzie to tak? zapytał Antek, któren z uwagą słuchał.
– W ciepłych krajach! odrzucił
– To nie tak dobrze, czemuś to Kowal tam nie pojechał, co?.. Smolach jucha,
Tyś jak ten pies i tumani a wy głupie wierzyta! Zawołała namiętnie.
– Mówię po dobremu: idźcie sobie Jagustynko, skąd żeście przyszli..
– A nie pójdę! Każdemu do wszystkich a ja taka sobie na swoje, tak samo jak
i ty! Ale... narzekać jak, żydom się wysługuje, i urzędnikom kłania, a stoje
czapkę przed dziedzicem zdejmuje, a te mu wierzą!.. Judasz jeden!.. Wiem ja...
ale już nie skończyła, bo ją Kowal nagle ujął pod ręce, nogą otworzył
drzwi i wyrzucił do wielkiej izby, że padła jak długa w progu...

Nie pomstowała nawet, tylko powstawszy rzekła wesoło:
— Krzepki jucha kiej koń — zdałby mi się taki na chłopa...
Naród gruchnął śmiechem a ona wyszła zaraz pomstując z cicha.
Ale już i karczma pustoszała, muzyka zmilkła, ludzie się rozchodzili do domów, ta stawali kupkami przed karczmą, bo to i wieczór był ciepły i jasny, księżyc świecił, tylko rzadcy jeszcze ostali i pili na umór i wykrzykiwali, a Jambroży spity jako to bydlę, wylazł na środek drogi i wyśpiewywał zataczając się ze strony na stronę —
A i ci z alkiesią, z Kowalem na cielę wyszli.
A potem, kiedy już Jankiel począł gasić światła, we trzech się wytoczyli, ujęli się mocno pod ręce i szli całą drogą śpiewający zgarbła wszystkiego, aż przy ujazdy — i, jaki taki z chałupy wyjrzał..
Kuba tylko spał ciągi w przepiciu tak krzepko, aż go Jankiel budzić musiał, ale parobek wstać nie chciał, kopał, to grzmocił pięścią w powietrze i wrzeszczał:
— Pódzi żydzie! Jak chcę tak spał będę.. gospodarz jestem to wolę swoją mam ażydo jołtek i parch!...
Wiadro wody pomogło że wstał i wytrzeźwiał nieco, jeno ze strachem a zdumieniem słuchał, jako całego rubla przepił — którego winien jest...
— Jakże?... dwa półkwaterki z arakiem... całego śledzia... machorki... i jeszcze dwa półkwaterki... to już cały rubel?... Jakże?... dwa... majaczyło mu się.
Jankiel przekonał go wreszcie i porozumieli się co do strzelby, którą żyd miał mu przywieźć z jarmarku, a na zgodę postawił szklankę ze spirytusem —.
Tylko owca stanowczo Kuba przynieść nie obiecywał —

— Ociec Kubów złodziej nie był — to i syn jego złodziej nie jest —

— Idźcie już sobie, czas spać... a ja mam jeszcze pacierza odmawiać...

— Ciął!... spekulant jaki!... Do złodziejstwa nie mówię a pacierze mówił będzie...

Wrócił idąc ku domowi i jął sobie przypominać i kalkulować, bo nijak nie chciało mu się wyłowić z pamięci, że całego rubla przepił... ale iż jeszcze nie wytrzeźwiał i powietrze go rozebrało, to potrzęsał się zdrowo a i raz wraz walił na płoty, to na kadulce leżące gdzie niegdzie przed chałupami i klął...

— Żeby was jucha pokręciło!... Żydziska jedne... iem tam drogę porozstawiać!... nie jeno się pokłady... ...kreśniki... a dobrodziej na pamięć wyspomina... a dobrodziej...
tu się zastanowił długo i miarkował aż i wreszcie chyciło się go rozeznanie i zaraz stadła aż przystanął, oglądał się dookoła, poszukał szukając czego by twardego do ręki.. ale zapomniał wnet i chwycił się za kłaki i jął się prać po pysku kułakiem i wykrzykiwać.

— Pijanica jesteś i świnia zapowietrzona! Do dobrodzieja cię zawlekę, niech cię wypomni przed całym narodem żeś pies i pijanica... żeś dwa po dwa półkwaterki... żeś całego rubla przepił... żeś jako to bydlę albo i gorzej!... żeś....

I zaraz znowu go obiegła nad oto, że przysiadł na drodze i buchnął płaczem.

Jasny, ogromny księżyc płynął w przestworzach ciemnych, a gdzie niegdzie, zrzadka kiej srebrne gwoździe - gwiazdy błyskały; mgły siwe, niby przędza motały się nad nią i przędzoną przewlekały nad wodami - Niezgłębiona cichość nocy jesiennej przejmowała świat, tylko gdzie niegdzie wyrywał się śpiew wracających z karczmy albo ujadanie psów.

A na drodze przed karczmą Jambroży tańcował się ze strony na stronę i śpiewał wciąż, nieustannie, aż do wypróżnienia.

Da Marys moja Marys! Da komu piwo warzysz!...
Da komu piwo warzysz? Da Marys moja Marys!...

V

Jesień szła coraz głębsza.

Blade dnie wlekły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz bladsze - niby te święte hostye w dogasających brzaskach gromnic.

A co świtanie - dzień wstawał leniwiej ociężały od chłodu i cały w szronach i w bolesnej ciszy ziemi zamierającej; słońce blade i ciężkie wykwitało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś nad borem, leciały nisko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za niemi biegł ostry, zimny wiatr, - mącił wody stojące, warzył resztki zieleni i zrywał ostatnie liście topolom pochylonym nad drogami - że spływały cicho niby łzy - krwawe łzy umarłego lata i padały ciężko na ziemię.

A co świtanie - wieś budziła się później: leniwiej bydło szło na paszę, ciszej skrzypiały wierzeje, i ciszej brzmiały głosy przytłumione martwotą i pustką pól. i ciszej, tęskniej tętniło życie samo - a niekiedy, pod chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną... albo i te rogate, pociężne łby podnosiły się od traw pożółkłych i przeżuwając wolno, zatapiały ślepie w pustkowi daleką... daleką... i kiedy niekiedy głuchy, żałosny ryk tłukł się po pustych polach

A co świtanie - mroczniej było i zimniej, i więcej dymu rozsnuwało się po naszych sadach, i więcej ptaków ściągało do wsi i szukało schronienia po stodołach i brogach, a wrony siadały na kalenicach, to

to wieszały się na nagich drzewach lub krążyły nad ziemią kracząc głucho – jakoby pieśń zimy śpiewając żałosną –
Południa były słoneczne, ale tak martwe i nieme, iż poszumy lasów dochodziły głuchym szmerem i bełkot rzeki rozlegał się jak łkanie bolesne a strzępki babiego lata rwały się niewiadomo skąd i przepadały w ostrych zimnych cieniach chałup.
A smętek konania był w tych południach cichych, na pustych drogach leżało milczenie, a w żółtych z liści sadach czaiła się ~~[illegible]~~ głęboka melancholya żałości i trwogi zarazem.
I często, coraz częściej niebo powlekało się buremi chmurami, iż już o letnim podwieczorku, musiano schodzić z pól, bo mrok ogarniał świat..
Dorywano podorywki, iż niektóry kładł skiby ostatnie już o gęstym mroku, a wracając do dom obzierał się jeszcze raz na rolę i żegnał ją wzdychaniem do wiosny.
A na przedwieczerzu ~~spa~~ często spadały deszcze, które były jeszcze ale zimne i coraz częściej przeciągały się do zmroku – do długiego jesiennego zmroku, w którym jak kwiaty złote płonęły okna chat i szkliły się kałużami puste drogi – a mokra, zimna noc tłukła się o ściany i pojękiwała w sadach.
Nawet ten bociek z przetrąconem skrzydłem, co się był ostał, i którego widywano samotnie brodzącym po łąkach, przychodził aż pod bróg Boryny abo i zasię na samo podwórze, gdzie mu Witek skwapliwie podrzucał na pożywkę jadło.

A i dziady różne coraz częściej nawiedzały wieś; i te zwyczajne, proszalne, co z torbą głęboką i z pacierzem długim szły od drzwi do drzwi, przeprowadzane ujadaniem piesków — a były i drugie, inne, takie, co od miejsc świętych ciągnęły — i znały Ostrą Bramę, Częstochowę i Kalwaryję, a rade opowiadały długiemi wieczorami co się gdzie we świętej dzieje i jakie cuda się gdzie stały, a trafiał się niekiedy i taki, który nawet powiadał się aż z Ziemi Świętej i takie cudeńka prawił, takie kraje znał, przez takie wielgachne morza jechał, tyla przygód doznał, że aż dziw ogarniał słuchających pobożnie, a niejednemu i uwierzyć było trudno w to wszystko..

Ale chciwie słuchali, jako że każden rad się czegoś nowego dowiedział a i wieczory były długie że do świtu wyspać się jeszcze można było choćby i na oba boki —

Hej! jesień to była, późna jesień!

I ani przyśpiewków, ni pokrzyków wesołych, ni tego płaczków piukania ni nawoływań nie słychać było we wsi — nie, jeno ten wiatr pojękujący w strzechach, jeno te deszcze sypiące jakoby szkliwem po szybach i to głuche, wzmagające się co dnia bicie cepów po stodołach.

Lipce martwiały równo jako te pola okólne, co wyczerpane, szare, odarte — w odpoczywaniu leżały i cichości dziennej; jako te drzewiny nagie, poskręcane, żałobne — drętwiejące zwolna na długą, długą zimę.

Jesień to była, rodzona matka zimy —

Ino się tem pocieszano, że niema jeszcze pluchy, że drogi niedawno rozmiękły i może wytrzyma pogoda do jarmarku na który cała

Lipce się wybierały jakby na odpust jaki.
A jarmark miał być na świętą Kordulę, walny i ostatni już przed Godami, więc się nań wszyscy szykowali należycie.
Już na parę dni przedtem deliberowano po wsi, co by się sprzedać dało czy z inwentarza, czy z ziarna albo też z drobnego przychówku, a iż na zimę szło, to i kupować tera było nie mało i przyodziewku, i ze sprzętów, i różnych różności gospodarskich, z czego i różne turbacje, porady i swary, i kłótnie po chałupach, boć wiadomo przecież, że u nikogój się nie przelewa a o grosz gotowy coraz to trudniej —
A tu i rychtyk w ten czas i płacić przychodziło podatki, to gminne składki, i spłaty różne między sobą, a często i przednówkowe pożyczki, a jak niejeden to i zasługi służbie — tyla tego razem, że niektóren chodził i z pół tygodnia, ciężko wzdychał i kalkulował jak mógł a nie nic wychodziło bez wyprowadzenia na jarmark konia albo i krowy, a już o biedniejszych to i nie ma co rzec —
Więc też i jaki taki wyprowadzał krowinę przed oborę, wycierał jej ugnojone boki wiechciem i na noc przyrzucał koniczyny, to gotowanego jęczmienia z kartoflami, byle jeno wyprzęniała ździebko; któren znów przysparabiał stare postępki całkiem wyzwoki, żeby chyba tyla do koni były podobne na ten przykład.
Insze mowy uciszyły zawczasu duch całą żeby idzie na jarmark.
I u Borynów sposobiono się rajnie, stary z Kubą domłócał poranie, a Józka z Hanką co im ino czasu ostawało, to poprzędały

maciorę i te gęsi wybrane z tych ostawianych na chowanie, Antek zaś z Witkiem, że to leda dzień spodziewano się deszczów, jeździli do boru po susz na ogień i po ściółkę z której co pozostało nad obory, a resztę zwalali pod chałupę do ogacenia ścian.
I tak ta przyśpieszona robota trwała aż do późna w noc ostatnią przed jarmarkiem, dopiero gdy pszenica już we worach leżała na wozie wtoczonym do stodoły i wszystko było przyrządzone na jutro — siedli wszyscy razem do wieczerzy w Borynowej izbie.
Na kominie buzował się wesoły ogień ze świerczyny potrzaskującej często, a oni jedli wolno i w milczeniu, że to po spracowaniu nikomu się odzywać nie chciało, aż dopiero kiedy skończyli i gdy już kobiety posprzątały miski i garnki z ławy, Boryna rzekł coś niecoś przysuwając się do komina:
— Przed świtaniem trza ruszyć! ~~[illegible]~~
— Juści że nie później. Odrzekł Antek i zabrał się do smarowania uprzęży, Kuba strugał bijak do cepów, a Witek obierał kartofle na rano i raz wraz posłuchiwał Łapy, który leżał obok i wybierał sobie pchły zębami.
Cichość się uczyniła, że ino ogień trzaskał a i te świerszcze za kominem poskrzypywały niekiedy, a z drugiej strony domu dochodził plusk wody i szczękanie myłych garnków.
— Kuba, ostaniesz do służby dłużej, co?
Kuba spuścił ośnik, którym strugał i zapatrzył się w ogień tak

długo aż Boryna mu przypomniał.

— Słyszałeś com ci rzekł?.

— Słyszeć słyszałem, ino tak wyglądam naokoło, że po prawdzie, to krzywdy mi nijakiej u was nie było.. juści ale ino... umilkł zakłopotany.

— Józia daj no gorzałki i co przegryźć, co mamy na sucho radzić, kiej Żydy jakie. Zawołał stary i przysunął przed kominem ławkę na której Józia wnet postawiła butelkę z wiankiem kiełbasy i chleb.

— Napij się Kuba i rzeknij swoje słowo.

— Bóg zapłać gospodarzu... Ostać to bym się ostał ino.. ino...

— Postąpię ci coś niecoś?...

— Przydać by się przydało, bo to i kożuch złatuje ze mnie i buciska też a i kapot jaki kufajczyna... już jak ten dziadak jaki jest odziewion że nawet do kościoła iść, to ino do kruchty.. bo jakże mi przed ołtarz w takiem obłaczenia....

— A w niedzielę nie byłeś na to inoś się pchał tam gdzie najpierwsze... rzekł surowo Boryna.

— Juści. Hale.. prawda... bąknął srodze zawstydzony i ciemny rumieniec oblał mu twarz.

— A to i dobrodziej naucza żeby szanować starszych. Napij no się Kuba na zgodę i słuchaj coć rzeknę a sam zą zmiarkujesz, że co parobek to nie gospodarz.. każden ma swoje miejsce i la każdego ci inszego porządku wyznaczył. Wyznaczył ci porządek twoje, to go się pilnuj i nie przestępuj, na pierwsze miejsce się nie pchaj i nie wynoś się nad drugie — bo grzeszysz ciężko.

i sam dobrodziej ci powiedział to samo, że tak być musi - bych porządek na świecie był. Miarkujesz że Kuba?..

- Nie bydlem przecież i swoje pomyślenie mam.

- To bacz że, byś się nad drugie nie wynosił.

- I... ino bliżej ołtarza chciał być..

- Pan Jezus z każdego kąta słyszy, nie bój się. I po co się pchać między najpierwsze, kiej wszyscy wiedzą kto jest.

- Juści, juści.. gospodarzem byłbym, to i baldach nosiłbym nad a i dobrodzieja pod pachy wiódł, i w ławkach siadał, i książki z niemi śpiewał... a jem ino parobek choćia i syn gospodarski, to mi ino w kruchcie stać abo przed drzwiami jako te pieski... powiedział smutno

- Takie już na świecie urządzenie jest i nie twoja głowa w niem.

- Pewnie że nie moja, pewnie.

- Napij się jeszcze Kuba i wspomnij co ci mam za służbę dodać?.

Kuba wypił ale że go już nieco zamroczyła gorzałka, to uwidziało mu się że w karczmie siedzi z Michałem od organisty abo i z drugim kamratem i rajcuje se swobodnie, wszędy jak równy z równym. Rozciągnął strzebko kapotę, wyciągnął nogi, buchnął pięścią w ławkę i zakrzyknął.

- Cztery papierki i rubla zadatku dobrzy - to ostanę.

- Widzi mi się żeś pijany abo ci się wydziwia porządnie - zawołał Boryna a Kuba ~~[illegible]~~, zlazł już za myślą swoją i dawnem marzeniem, a wreszcie i nie słyszał gospodarskiego głosu, więc rozpowiadał skurczony dumnie, rósł w ambit i tak pewnie siebie jakoby samym gospodarzem się poczuł.

— Cztery papierki i jeszcze jeden zadatku — dołoży to u niego ostanę, a nie to przachmaj na jarmark pójdę i służbę se najdę choćby i na forszpana do cugowych we dworze... Znają mnie żem robotny i na wszystkiem w polu czy koło domu się znający, że niejednemu gospodarzowi było przez mnie a uczyć się... A nie, to płaszki strugał będę i Dobrodziejowi nosił abo i Jankłowi... a nie...

— Cię... Kulernoga jeden jak bryka. Kuba! krzyknął ostro stary.

Kuba zamilkł, wyfuknął zmartwienia ale nawrócić nie śmiał, bo jeszcze niecierpliwym czynił i targował się zawzięcie, że Boryna rad nierad, dorzucał mu po pół rubla, to po złotówce, aż i stanęło, że obiecował mu na przyszły rok dołożyć trzy ruble i dwie koszule miasto zadatku.

— Ho, ho, ptaszek zeźlił. Wołał stary przeglądając do niego na złość, choć by był i te tyla pieniędzy wywalić musi, ale wygrywać się nie było co, bo Kuba wartał i więcej, robotny był prawie choćby i za dwóch, gospodarskiego nie ruszył i o inwentarz dbał więcej niźli o siebie. A choć i kulawy był i mocy wielkiej nie miał ale na gospodarstwie się znał — można się było całkiem zdać na niego że wszystko jak przynależało zrobi i jeszcze najemnika przypilnuje.

Pogadali jeszcze o tem i owem i gdy się rozeszli, bo jutro trza było do dnia wstać, Kuba już od dziwu nie mógł całkiem się ozwać..

— Zgoda na trzy ruble i dwie koszule jno.. jno.. nie przedawajcie źrebicy... przy mnie się uchowała... kożuchem swoim przyodziewałem żeby nie przemarzła... dobrym nie scierpiał, żeby ją żyd jaki bijał albo i Cyganie z miasta... Nie sprzedawajcie

Złoto nie źrebica... kiej ten dzieciak posłuszna... Koń taki, że i drugi człowiek – prosty pies przy niej – Nie sprzedawajcie...

– Ani mi to w głowie nie postało.

– Bo w karczmie powiadali i.. bojałem się..

– Opiekuny przeciwnie, zawżdy najlepiej wiedzą!

Kuba byłby go za nogi obłapił z radości ino ruszyć nie śmiał, to natychmiast czapę i poszedł rychło, jako że i czas było spać, bacząc na jarmark jutrzejszy

. . . .

Jakoż i naprawdę jeszcze przed świtaniem w niedzielę po drugich kurach, a już na wszystkich drogach i ścieżkach do Tymowa zawaliło się ludzi. Kto jeno żył, to z całej okolicy walił na jarmark.

Nad ranem upadł rosisty deszcz ale po wschodzie przestało się mżyć, ino niebo było zasnute burymi chmurzyskami, a nad niżniemi ziemiami, wisiały mgły szare kieby zgrzebna płótna do cna przemięte, i po drogach rozkisły się kałuże a gdzie niegdzie po rozkaczach błoto chlapało pod nogami.

I z Lipiec wychodzono od wczesnego rana.

Na topolowej drodze za kościołem i hen aż do lasów, widny był sznur wozów toczących się wolno, krok za krokiem, tak ciżba była. a bokami, po obu stronach ino się mieniło od czerwonych wełniaków i białych kapot chłopskich.

Tyla narodu szło jakby wieś cała wychodziła.

Szli gospodarze co biedniejsi, szły kobiety, szły parobki i dziewczyny, ~~[illegible]~~

i komornicy też szli a i kiedoby sama najemnicy także ciągnęli, bo jarmarek to był ten, na którym godzono się do robót i zmieniano służby. Kto co kupić, kto sprzedać a jeśli była jarmarku użyć.
Któren wiódł na postronku krowinę albo i cielaka, kto zaś gnał przed sobą maciorę z prosiętami co ino pokwikiwały i rwały się tak, że trza je było ciągiem zganiać i strzegować by pod wozy nie wpadły; jeszcze inszy obłapił się na ramię; drudzy zganiali wystraszone barany, gdzie między zaś bielały się stadka gęsi z podwiązanemi skrzydłami, to grzebieniaste koguty wyglądały z pod zgrzebnych kobiałek.. A i wozy niejednej jechały wyładowane, zaś wóz z jakiegoś półkoszka z pod słomy wytkał ryj karmika i kwiczał, aż gęsi gęgały zestrachane i psy co szły zarówno z ludźmi doszczekiwać poczynały przy wozach.
Szli tak całą drogą, że choć ciasno było a poruszać się trudno wszystkim było, że jakby kto szedł na pola w burzy.
O dużym już dniu, kiej się tak przetarło na niebie, że ino ino słońca było patrzeć, wyszedł i Boryna z chałupy; przódzi już bo o świtaniu Hanka z Józką pognały maciorę i podpasionego wieprzka a Antek powiózł dziesięć worków pszenicy i półkorcyka czerwonej koniczyny.
W domu ostawał tylko Kuba z Witkiem i Jagustynka, przywołana iżby jeść uwarzyła i krów dojrzała.
Witek beczał wyłos pod oborą, bo chciało mu się na jarmark.
— Czego się to gzypiemu zachciewa. Mruknął Boryna, przeżegnał i poszedł pieszo, bo liczył że się podwózką przysiędzie do kogo

jakoś i zaraz tak się stało, bo tuż za karczmą dopędził go organista jadący bryczką w parę tęgich koni.

- Cóż to, na piechty Macieju?,

- Dla zdrowia.. Niech będzie pochwalony.

- Na wieki. Siadajcie z nami, zmieścimy się! proponowała organiścina.

- Bóg zapłać. Doszedłbym ale jak powiadają, zawżdy milej duszy - kiej ją wóz niesie. Odrzekł, sadowiąc się na przednim siedzeniu, plecami do koni. Podali sobie przyjaźnie ręce z organistami i konie ruszyły

- A pan Jaś skąd się wziął, to już nie w klasach?.. zapytał chłopca ładnego i pańsko ubranego i powożącego

- Przyjechałem tylko na jarmark! zawołał wesoło organiściak

- Zażyjcie, francuska... proponował organista podsuwając tabakierkę.

Zażyli i pokichali solennie.

- Cóż tam u was? sprzedajecie co dzisiaj?

- Bogać ta nie, powieźli do młyna pszenicę a kobiety pognały świnię -

- Aż tyle! wykrzyknęła organiścina - Jaśku weź szalik, bo chłodno - rzekła do syna

- Ciepło mi, mamusiu ciepło. Zapewniał lecz mimo to, okręciła mu czerwonym szalem szyję.

- Albo to wychody małe?.. Już nie wiada skąd brać na wszystko...

- Nie narzekajcie Macieju, chwalić Boga, macie dosyć...

- Przecież tej ziemi nie ugryzę a gotowego grosza w zapasie nie ma...

Ale Boryna nierad tym wypominkom przy parobku, uchylił się szybko i cicho zapytał.
- A pan Jaś, długo będzie jeszcze w klasach?
- Do świąt jeno.
- Wróci do dom czy też do urzędu pójdzie?
- Może i wy a cóżby w domu robił, na tych piedwasta morgach a mało to jeszcze drobiazgu!... A czasy ciężkie, jak zmiłowania... Boskiego.
- Bo i prawda, chwatów to to jeszcze jest dosyć ale co z tego za profit!
- Pachołków nie brakuje przecie - dorzucił ironicznie Boryna.
- I.. co za pachołki, sama hołota mnie a leniwie paru razy wokół, zdarzy się jaki gospodarski pogrzeb z którego coś kapnie.
- A i wesel coraz mniej, a targują się jak te żydy! dorzuciła.
- Z biedy to wszystko idzie i ze złych czasów. usprawiedliwiał Boryna.
- Ale i z tego, że ludzie o zbawienie swoje ani tych w czyśćcu ostających - nie zabiegają. Proboszcz niejeden mówił do mojego.
- I dworów coraz mniej. Dawniej kiedy się jeździło po snopkach, czy z opłatkami, czy po kolendzie, czy też po spisie - to jak w tym do dworu - nie żałowali i zboża, i pieniędzy, i legumin. A teraz, Boże zmiłuj się, każdy gospodarz się knuje i jak ci da snopeczek żyta, to pewnie z jedną pół myszy, a jak te ćwiarteczkę owsa dostaniesz, to pewnie plew w niem więcej niźli ziarna. Niech żona powie, jakie mi to jajka dawali latos na dzień wielkanocny - więcej niż połowa była zbuków. Żeby człowiek nie miał tej trochy gruntu, toby jak dziad żebrać musiał. Zakończył podsuwając Borynie tabakierkę

— Juści, juści... potakiwał Boryna ale nie jego tumanić, wiedział on dobrze że organista pieniądze ma i na procenta albo i na odrobek komornikom rozpożycza, to ino uśmiechał się na te wyrzekania i znowu spytał o Jasia...
— I cóż do urzędu pójdzie?...
— Co? mój Jaś do urzędu, na pisarka? Nie potom sobie od gęby odejmowała żeby skończył szkoły, nie. Do seminaryjum pójdzie, na księdza...
— Na księdza!
— A bo mu to źle będzie? A to to który ksiądz ma źle?...
— Pewnie, pewnie... a i honor jest, i to, jak powiadają, że kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie... powiedział wolno i znacznie poglądał przez ramię na chłopaka pogwizdującego koniom że to pozostanieby nieco ku potrzebie swojej...
— Mówili, że i młynarzów Franek, księdzem miał być, a teraz jest pono we wielgich szkołach i na doktora praktykuje...
— Ale, księdzem by być takiemu łajdusowi, przecie moja Magda jest przy wszystkim [illegible] i to od niego...
— Powiedali że to od młynarczyka.
— Ale, prawda była, młynarzowa tak gada żeby swojego zasłonić. Rozpustnik to, że niech ręka boska broni, prawie mu iść na doktora.
— Juści, że księdzem być lepiej, bo to i panu Jezusowi chwała i ludziom na uciechę — pogładził ją chytrze Boryna, bo co się tam miał sprzeciwiać z kobietą i całkiem uważnie słuchał jej wywodów, a organista raz po raz uchylał czapki i głośnem: Na wieki! odpowiadał na pozdrowienia

wymijających ludzi. Jechali kłusem i Jaśko chwacko wymijał wozy, to ludzi, to inwentarz prowadzony, aż i dopędził tam gdzie już luźniej było i droga niezła.

Zaraz na skraju dopędzili Dominikowę, jechała z Jagną i Szymkiem, a krowa uwiązana za łojki szła za wozem z którego wyglądały białe szyje gąsiorów ciągiem syczących jako te żmije.

Pochwalili Boga. a Boryna aż się wychylił przy mijaniu i zagadał..

– Spóźnili się!..

– Zdążym na czas! odkrzyknęła Jagna ze śmiechem.

Przejechali ale organiściak parę razy obracał się za nią aż wkońcu spytał:

– To Jagusia Dominikowa?..

– Ona ci sama, ona. powiedział Boryna patrząc rozkochanie na nią.

– Nie poznałem, bo dobre już ze dwa lata jej nie widziałem.

– Młódka to jest jeszcze a wtedy bydło pasała. Rozbuchała się ino kiej jałowica na koniczynie. i aż się wychylił jeszcze spojrzeć na nią..

– Bardzo ładna. rzucił chłopak

– Jak wszystkie dziewki, powiedziała organiścina pogardliwie.

– Juści że gładka. Udała się dziewucha, bo tej niema tygodnia iżby kto do niej z wódką nie posyłał.

– Przebiera! Mama myśli że co najmniej, to już jaki szlachta zjedzie po nią a parobków odgania.. dorzuciła zjadliwie ~~organiścina~~.

– Bo mógłby ją wziąć i taki co siedzi chodaty i na włóce.. warta tego.

– To tylko Wam posłać swatów Macieju!, kiedy ją tak chwalicie... zaczęła

się śmiać a Boryna już się nie ozwał ni słowem; hale, taki łach-
mytek miejski, wielga mi osoba, co ino gospodarskim kurom pod
ogon uważa czy ta nie jajków nie niesą abo i takim wyprzecia-
będzie się ta prześmiewała z rodowych gospodarzy! Kara ci od Jagusi!.
Wyszedł zeźlony siedzie i ino poglądał przed się, na chowierniejsze zapas-
kami wóz Dominikowej, który ostawał coraz dalej, bo jano jego
prażył konie że z wozu z kopyta aż się błoto otwierało.
Próżno organiścina pogadywała o tem i owem, kiwał głową, coś tam
mamrotał pod nosem i tak się zawiał, że ozwać się nie ozwał ni
słowem jednem

I tak jeno wjechali na wyboisty bruk miasteczka, zesiadł z bryczki
i jął dziękować za podwiezienie. 106
— Pod wieczór wracamy, chcecie to się przysiądźcie do nas. Proponowała.
— Bóg zapłać, mam przecież swoje konie. Powiedziałby że się do kalikowa-
nia godzę, na pomocnika organiścin... a ja ta nigdy nijakiej nie wyciągnę
i świętów pacierzy nie nauczny..
Pojechali w boczną uliczkę, a on się z wolna przedzierał przez główną, do
rynku, bo jarmark był wielki i choć to jeszcze dość rano, a narodu już
się gęstwiło niezgorzej; wszystkie ulice, place, zaułki i podwórza zawalone
były ludźmi, wozami i towarem różnym — nic jeno ta wielka woda, do
której ciągiem jeszcze, ze wszystkich stron, dopływały nowe rzeki ludzkie
i cisnęły się, kotłowały, tłoczyły po ciasnych uliczkach aż dopiero się
tężej zlały, i rozlewały po wielkim placu klasztornym. Nie wielkie jeszcze

~~się śmiać z Boga jeśli się nie ozwał ni słowem = boleć, taki Tego [illegible]~~
~~tak jakiś mierzeki, organizacja, widząc nie osoba co jego [illegible] [illegible] patrzą~~
~~cię czego nie wiem ale i tym więcej [illegible] [illegible], się [illegible] nie [illegible]~~
~~nie wiem, [illegible] [illegible] przesłaniając [illegible]. A [illegible] ci od [illegible]!~~

po drodze błoto, tutaj bite i rozrabiane tysiącami nóg — było już po kostki i tryskało z pod nóg na wszystkie strony.

Gwar już był znaczny a wzmagał się z każdą chwilą; głucha wrzawa huczała niby bór; kiej to morze się kolebała, biła o ściany domów i przewalała się z ulica w koniec — że tylko niekiedy słychać było ryki krów, to granie katarynki przy karuzeli, to płaczliwe lamentacye dziadów albo ostre, przenikające piszczałki koszykarzy.

Jarmark był wielki co się zowie, narodu skupiło się tyla, że i przejść było niełatwo, a już wzdłuż pod klasztorem, to Boryna przez siłę pchać się musiał, kaj gąszcz się czynił między kramami.

Było tego, było, że ani przeliczyć ni objąć gdzie by zaś kam kto powiedział.

A najpierwsze te płócienne, wysokie budy, co stały wzdłuż klasztoru we dwa rzędy, zapchane całkiem towarem kobiecym — a płótnami, a chustkami co wisiały na żerdkach i jako te maki były czerwone, że aż się w oczach ćmiło, a drugie zasię całkiem żółte ~~jako~~ się widziały, a insze kwarcianowe.. i kto je tam wszystkie spamięta! a dziewcząt i kobiet pełno przed niemi, że i kija nie było gdzie wrazić — która targowała i wybierała sobie, a drugie aby ino popatrzeć i oczy se ucieszyć sierociami.

A potem znów były kramy co się aż łyskały od paciorków, lusterek, szychów, a wstążek, a fartuchów onych na szyje, a kwiatuszków zielonych, złotych i srebrnych.. a czepców i Bóg ta wie czego jeszcze.

Gdzie znowu święte obrazy przedawali w pozłocistych ramach i za szkłem, że choć ~~kiej~~ stały pod ścianami albo i zgoła na ziemi leżały — a szedł od nich blask, że jakby kto do czapki sięgał i znak krzyża czynił świętego; —

~~po drogach błoto, które kile i rozrabiane tysiącami nóg — było już po kostki i bryzgało z pod kół na wszystkie strony.~~

~~Wiatr był już znaczny i wzmagał się z każdą chwilą; głucha wrzawa huczała jak bór, jak morze, kołysała się i biła o ściany domów i przewalała się zwolna w dolinie miasteczka, że tylko niekiedy słychać było pojedyncze głosy ludzi krów ryczących, to wrzask wołających przy kominie albo płaczliwe lamentacje dziadów i ostre chrapliwe nawoływania żydów~~

Boryna kupił jedwabną chustkę na głowę dla Józki, która był jeszcze na świecie obiecał dziewczynie za parobku, wsadził za pazuchę i jeno też przepychał do targowiska świńskiego co było za klasztorem. 107

Ale szedł wolno, że to ciżba była sroga i że popatrzeć było na co.

Już, czapnicy pod domami porozwieszali szerokie drabiny zawieszone od góry do do dołu czapkami.

Gdzie znów szewcy tworzyli całą ulicę wysokich kozłów drewnianych, na których rozpięte za nogi, wisiały szeregi butów, i takich zwyczajnych, żółtych do smarowania przetopionem sadłem żeby wody nie puściły, i takich już pod glancę przyszykowanych, i ciżem kobiecych z czerwonemi sznurowadłami a na wysokich obcasach.

A za niemi ciągnęły się rymarze z chomątami na kołkach i uprzężą rozwieszoną.

A potem powroźnicy i ci, co sieci sprzedawali.

I ci co z sitami po świecie jeździli.

I ci co z kaszą po jarmarkach się wodzili

A kołodzieje, a garbarze.

Gdzie znowu krawce i kożuszniki rozwiesili swoje towary, od których biły taki zapach, aż w nozdrzach wierciło; że miały odbyt niezgorszy, że to na zimę szło.

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~ [illegible]

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

A potem całe rzędy stołów nakrytych płóciennemi daszkami na słupkach. — a na nich zwoje kiełbas cienkich i grubych kiej liny, wały żółtego sadła, boczki wędzone, połcie słoniny, szynki — spiętrzały się na kupach, a gdzieniegdzie na hakach wisiały całe wieprzki wyparzone i broczące jeszcze posoką, że trza było odganiać piesków co się cisnęły.

A wpodle rzeźników, jako te braty rodzone, stali piekarze, i na porozkładanej grubo słomie, na wozach, na stołach, w kosach i gdzie się dało, leżały góry bochnów wielkich jak koła, placków żółtych, bułek, kukiełek...

Gdzież zaś i kto przeliczy i spamięta te wszystkie kramy i to, co w nich sprzedawali?.. były z zabawkami, i takie z piernikami, gdzie i ciasta lepione były zwierzęta różne, a serca, a żołnierze i insze takie, że i nie rozeznać było konny; były takie gdzie kalendarze, gdzie książki nabożne, gdzie historye o zbójach i strasznych Magielonach przedawali i elementarze też; były i takie, gdzie piszczałki, organki, i gliniane kogutki, i jeszcze muzyckie rzeczy — w które juchy żółtki la rachety grali, i taki jazgot się czynił, że i wytrzymać trudno było — bo ci tu ktosik piszczy, tam trąbka potrębuje, gdzie i piszczałek przeciągłe nuty wyciągają, tam ci znowu skrzypki piskają, a ostre bębny pobekują stukający — jaże we łbie łupało od wrzasku.

Zaś wpośrodku rynku do około drzew rozciągali się bednarze, blacharze i garncarze porozstawiali tyla misek i garnków, że kędzie przejść możno było, a za niemi stolarze: łóżka, i skrzynie malowane, i szafy, i półki, i stoły aże grały temi farbami że oczy trza było mrużyć...

A wszędy, na wozach, pod ścianami, wedle rynsztoków gdzie ino miejsce było rozsiadły się kobiety sprzedające: która cebulę we wiankach albo i we workach; która z płótnami swojej roboty i wełniakami; która z jajkami, a serkami, a grzybami, a masłem w serkach poowijanych w szmatki; inna znów trzęsie ziemniaki, to gąsiorów parę, to wypierzoną kurę, to len pięknie wyczesany albo i motki przędzy miała, a każda siedziała przy swoim i porządnie, że gotuje jak to zwyczajnie na jarmarkach bywa, a trafił się kupiec, to sprzedawały wolno, spokojnie, bez gorączki — po gospodarsku, nie tak, jako te Żydy co wyrywają, kundyszą i czepiają się kiej te zbóje —
Gdzie niegdzie zaś, pomiędzy wozami i kramami kręciło się i błaznujących kominiarzów — tam sprzedawali gorącą herbatę — a i insze jadło jako to: kiełbasę pieczoną, kapustę, barszcz z ziemniakami też mieli —
I dziadów zlazło się ze wszystkich stron co niemiara; ślepych, kalekich nieużytych i gołych bez rąk i nóg tyle, jak na odpuście jakim; wygrywali na skrzypicach pieśnie pobożne, drudzy śpiewali pobożniejsze w uniesieniu a wszystkie zewsząd z pod wozów, z pod ścian i przez płotka i błocka żebrali jękliwie i wypraszali sobie ten grosik jakiś albo jakie wspomożenie.
Przejrzał to wszystko Boryna, pokiwował się nad nim jednem, pogwarzył coś niecoś ze znajomkami i dopchał się wreszcie na targowisko świńskie, za klasztor, na ogromny piaszczysty plac i zadala ino obsadzony domami, gdzie pod samym murem klasztornym z za którego przechylały się ogromne drzewa pełne jeszcze żółtych liści, kupiło się dosyć ludzi, wozów i leżały całe rzędy świń spętanych na sprzedaż.

Rychło odnalazł Hankę z Józką, bo zaraz z kraja były.

— Sprzedajeta, co?

— Hale, już ta targowali dziewiący maciorę ale mało dają...

— Świnie drogie?

— Bogać tam drogie. Spędzili tyla, że niewiada kto to rozkupi.

— Są Bylica i Dominikowa?

— O, kajś tam mają prosięta Kłęby a i Szymek Dominików stoi przy wieprzku.

— Uwińta się rychło, to się zdążycie popatrzeć na jarmark.

— Już tej i tłumno kaj zielnice.

— Wiele dają za maciorę?

— Trzydzieści papierków, powiadają że niedopaśiona bo ino w gnatach gruba a nie w słoninie.

— Ocyganiają jak ino mogą... ale, macaj słoninę na jakie cztery palce.. rzekł obmacawszy maciorę grzbiet i boki — wieprzek chudy na bokach ale portki ma niezgorsze, na szynki. Dołał opędziwszy go z mokrego piasku wtłoczon do pół boków leżał zamknięty.

— Za trzydzieści pięć sprzedajcie. Bajna to Antka ino i zaraz do wajny przyjdzie. Jem wam się niecha..

— Pojadłyśmy już chleba

— Kupię wam i kiełbasy ino sprzedajcie a potem

— Tatulu a nie zabaczcie o chustkę coście to jeszcze na wiosnę obiecali...

Boryna sięgnął za pazuchę ale się wstrzymał jakby go coś tknęło, bo tylko machnął ręką i rzekł ochotnie:

– Kupię ci Józia, kupię... i aż wstyd go ruszył, bo ano mignęła mu kiesi Jagna między wozami ale nim doszedł, zeszła gdzieś do cna, jakby się w ziemię zapadła, jął więc odszukiwać Antka; nie łacno to było, bo w tej ulicy prowadzącej z targowiska na rynek, stał wóz przy wozie i to wozów pańskich, że z rżeniem i z krzykiem niemałym a bełkotem, można było prze-jechać – ale wnet się na niego natknął – Antek siedział na worach ~~[illegible]~~ i smagał batem żydowskie kury, co się stadami uwijały koło kobiałek z kurzyną jakby kolię, a półgębkiem odpowiadał kupcom.

– Powiedziałem siedem – to powiedziałem.

– Trzy i pół dają, więcej nie można, pszenica ze śnieżką..

– Jak ci parchu łusnę przez ten pysk paskudny, to ci wnet zaśniedzieje.. ale pszenica czysta jak złoto.

– Może być ale wilgotna... kupię na miarę i po trzy ruble i pięć złotych.

– Kupisz na wagę i po siedem. rzekłem!

– Co się gospodarz gniewa! Kupię nie kupię, a potargować można..

– A targuj się kiej ci pysku nie szkoda. I nie zwracał już uwagi na żydów, którzy rozwiązywali worki po kolei i oglądali ziarna.

– Antek, pójdę ino do pisarza i w te oczymgnienie przyjdę do cię..

– Co, na dwór skargę podajecie?

– A czyjego to padła moja graniasta?

– Cóż ta wskóracie?

– Swojego darować nie daruję.

– I... borowego przyprzeć gdzie w boru do chojara, i sprać czem kułakiem

żeby mu aż żebra zapiszczały - zaraz byłaby sprawiedliwość.

- Borowy? przeciż ja mu się do niczego ale dworowi tak. - rzekł twardo.

- Dajcie mi złotówkę.

- Na co ci?

- Gorzałki bym się napił i przegryzł co..

- Nie masz to swoich?... ciągiem ino wojowną garść uważam...

Antek odwrócił się gwałtownie i jął pogwizdywać ze złości, a stary chociaż i żalem i markotnością, wyszupłał złotówkę i dał.

- Żyw wszystkich swoją krwawicą... wyszedł i spieszno się przeciskał do ogromnego narożnego szynku, gdzie było już sporo ludzi pożywiających się i wołających od podwórza wściekłe pisanie.

Właśnie siedział pod oknem przy stole rozgwarzony w sędach, uważnie był tylko, nieumyty i rozczochrany, jakaś kobieta szyła mu ręczniki właśnie przy nim pozłocista pełkami

- Siadajcie panie gospodarzu i zrzucił ze stołka obłocone ubranie i posunął Borynie, który zaraz dokumentnie opowiedział całą sprawę.

- Wasza wygrana jak amen w pacierzu. Jeszcze by, krowa zdechła i chłopak choruje z przestrachu! Dobra nasza! zatarł ręce i rzucił papiery na stole.

- Hale.. niej zdrowy chłopak.

- Nic nie szkodzi, mógł zachorować. Bił go przecie?..

- Nie, bił ino chłopaka sąsiadów.

- Szkoda, toby było jeszcze lepiej. Ale to się jakoś zreperuje tak, że będzie i choroba z pobicia, i zdechła krowa. Niech dwór płaci.

– Juści, o nic nie idzie ino o sprawiedliwość.

– Zaraz się napisze skargę. – Franka, a ruszno się wartko! rozkazał i tak mocno naparł łeżąca, że pobiegła rozczochrana głowę – przynieś no gorzałki i co zjeść..

– Ani dudka nie mam a nim przyjdą to nie zbiorą.. mruczała i podniósłszy się z kartofli, jęła ciosać i przeciągać się; wielka była jak piec, twarz miała ogromną, obrzękłą, poznaczoną i przepitą, a głos cienki jakby dziecinka.

Pisarz pracował aż pióro skrzypiało, pociągał cygara, puszczał dym na Borynę który przypatrywał się pisaniu, zaciekał piegowate chude ręce i raz wraz odwracał wyszczerzoną okrostaną twarz na Frankę; zęby przednie miał przyłamane, usta sine i wielkie czarne oczy –

Napisał skargę, wziął za nią rubla, wziął na marki drugiego i wyrobił się na raz za stawanie w sądzie, jak sprawa przyjdzie na stół.

Boryna się na wszystko zgodził skwapliwie, choć to mu i przeciedli, było jak, bo miarkował że dwór mu wszystko zapłaci i z nawiązką.

– Sprawiedliwość musi być na świecie, to sprawę wygram, i rzekł na odchodnem.

– Nie wygracie w gminnym, to pójdziemy do sądu, gdzie nie poradzi, pójdziemy do okręgowego, do izby sądowej – a niedarujemy.

– Zabrał mi las dwór swoją! zawołał zawzięcie Boryna – i komu jeszcze, dworowi co ma tyle lasów i ziemi!.. rozmyślał wychodząc na rynek i zaraz zaraz przy sklepikach natknął się na Jagnę.

Stała w czapce granatowej na głowie a twarz jeszcze [illegible].

— Obacz no Macieju, to ten żółtek powiada że dobra a ~~ja~~ powiedziałem cygani...
— Galanta, la Jędrzycha?
— Juści, Szymkowi już kupiłam.
— Nie za mała to będzie?
— Takusieńka ma ci głowę kiej moja..
— Piękny z ciebie byłby parobeczek..
— A bo nie! zawołała zuchowato bakierując nieco czapkę..
— Wnetki by się tu godziły do ciebie...
— Hale.. inom na drogę do służby. Szkoda się mówić.
— Jak któremu... mnieby ta na drogę nie była..
— I wpoły sobie byma nie robiła..
— Robiłbym ja za ciebie Jaguś, robił. Szepnął ciszej i tak spojrzał na nię namiętnie, aż dziewczyna odwróciła się zakłopotana i już bez słowa zapłaciła za czapkę.
— Sprzedaliście krowę? zapytał po chwili, opamiętawszy się nieco i wytchnąwszy z onej lubości co mu jak gorączka buchnęła do głowy
— Kupili ją la księdza do Jerzowa. Matka poszła z organistami, bo chcą zgodzić parobka.
— A to my sobie choćby na ten kieliszek słodkiej wstąpimy!..
— Jakże to?..
— Ziębłaś Jaguś, to się troszkę ogrzejesz...
— Gdziebym zaś z wami szła na wódkę!..
— A to pójdziesz i tutaj się napijem Jaguś?..

— Bóg zapłać za dobre słowo ale mi matki tera ponukać.
— Pomogę ci Jaguś... szepnął cichym, stłumionym głosem i poszedł przodem a tak robił łokciami, że Jagna swobodnie szła za nim wkoło ciżby ale gdy weszli między płócienne kramy, dziewczyna zwolniła, przystawała i aż jej oczy rozgorzały do tych różności porozkładanych.
— To ci śliczności, mój Jezus kochany! szeptała przystając przed wstążkami, które wisiały w górze, kołysały się na wietrze niby tęcza paląca...
— Która ci się widzi Jaguś, to se wybierz... rzekł po namyśle przezwyciężając skąpstwo
— Hale, ta żółta w kwiaty z rubla kosztuje albo i dziesięć złotych!
— Nie twoja w tem głowa, wej ino...
Ale Jagna przemogła się i z żalem oderwała ręce od wstążki i poszła dalej do drugiego kramu, Boryna ino pozostał na chwilę.
A tu znowu chustki były i materye na staniki i kaftany!
— Jezus mój jakie śliczności, Jezu! szeptała oczarowana i raz wraz zanurzała ręce drżące w zielone atłasy, to w czerwone aksamity i aż się jej ćmiło w oczach i serce dygotało z rozkoszy. A te chustki na głowę! Różowe jedwabne z zielonemi kwiatami przy obrębku; złociste całe kiej ta święta monstrancya; a modre jako to niebo po deszczu; a białe; a już najśliczniejsze te mieniące co się lśniły kiej woda pod zachodzącem słońcem, a lekkie kieby z pajęczyny! Nie, nie scierpiała i jedną przymierzała na głowę a przeglądała się w lusterku które przytrzymywała żydówka...
Ślicznie jej było, jakoby zorze zamotała na swoich lnianych włosach;

a one modre oczy tak rozgorzały z radości aż fiołkowy cień padał od nich na twarz pokraśniałą; uśmiechała się do siebie, aż ludzie poglądali na nią, taka była urodna i taka młodość i zdrowie biło od niej.

– Dziedzicówna jaka przebrana czy co? szeptali.

Przyglądała się sobie długo i z ciężkiem westchnieniem zdjęła chustkę, ale wzięła się targować, bo choć kupić nie miała, a ino tak sobie, żeby się dłużej nacieszyć...

Odeszła wnetki, bo kupcowa powiedziała pięć rubli, że i sam Boryna jej ją zaraz ofiarował..

Przystanęli jeszcze przed paciorkami – a było ich tam niemało i takich, jakby kto cały kram posuł temi karmazynkami drobnemi, że się łomiły a połyskały ino, aże oczów oderwać było trudno: bursztyny żółte jakoby z żywicy pachnącej uczynione; korale kieby z tych kropel krwi nanizane, a perły białe, wielkie jak orzechy laskowe, a drugie ze srebra i złota...

Przymierzała Jagna nie jedne i przebierała między niemi, a już się jej widział najpiękniejszym sznur korali, obwinęła nim białą szyję we cztery rzędy i zwróciła się do starego.

– Uważacie, co?

– Pięknie ci Jagno! Mnie ta niedziwota korale, bo ano leży we skrzyni coś z osiem sznurów po nieboszce a wielkich jak dobry groch polny!.. rzekł z rozmysłem a od niechcenia niby.

– Co mi ta z tego, kiej nie moje! Zdjęła szybko paciorki i spiesznie już szła zachmurzona i smutna

— Jaguś, a to przysiądźmy se trochę.
— Ale, do matki mi czas.
— Nie bój się, nie odjedzie cię.
Przysiedli na jakimś dyszlu wystającym.
— Siela jarmarek! rzekł po chwili Boryna rozglądając się po rynku.
— Juści nie mały! pogadała jeszcze ku kramom i zabawkom i często sobie wzdychała, ale już ją odchodziła smutność bo powiedziała.
— Tym dziedzicom to dobrze... Widziałam dziedziczkę z Woli, z panienkami, to tyla sobie nakupowały że aże lokaj za niemi nosił! I tak co jarmarek!..
— Kto ciągiem jarmarczy — temu długo nie starczy.
— Im tam wystarczy.
— Póki Żydy dają.. rzucił złośliwie aż Jagna obejrzała się na niego i nie wiedziała co rzec na to, a stary nie patrzał na nią zagadnął cicho —
— Byli to od Michała Wójtowego z wódką u ciebie Jaguś, co?..
— A byli i poszli!.. Niezguła jeden, jemu też swatów posyłać... roześmiała się.
Boryna powstał prędko wyjął z zanadrza chustkę i coś jeszcze wyjmował ostrożnie.
— Potrzymaj no to Jaguś, bo mnie trzeba zajrzeć do Antka
— Jest to na jarmarku? oczy jej pojaśniały.
— Ostał przy koniu, tam ano w ulicy. Weź sobie Jaguś, to dla ciebie... dodał widząc że Jagna zdumionemi oczami wodziła po chustce.
— Dajecie?.. Naprawdę dla mnie? Jezu, jakie śliczności! wykrzyknęła rozwijając chustkę tę samą co się jej tak podobała — Ale, ino tak przekpiwacie se ze mnie, za cóżby mnie? Kosztuje tyla pieniędzy... a chustka czysto jedwabna..

— Wiesz Jaguś, wiesz ta ciebie kupiłem, a jak ta który parobek będzie przyjść do ciebie, nie odmawiaj, na co się sprzeczać... mnie już czas iść
— Mojeś to prawdę mówicie?
— Żeby tam oczy ganić cię!
— I wiecie Antek. — i zawiązała ciaśniej chustkę do wołania.
— Ostań z Bogiem Jaguś.
— Bóg Wam zapłać Macieju.
Boryna odszedł a Jagna raz jeszcze rozwinęła i przepatrzyła, potem zawinęła wszystko razem i chciała biec za nim i oddać.. bo jakoś jej było żal od obcego, nie krewny żaden ni pociotek nawet.. ale już śladu nie było. Poszukała wolno oczami matki i siostry, otworzyć dotknęła chustki czerwonej, za pazuchę. Taka była uradowana że ino jej białe zęby połyskiwały w uśmiechu a twarz gorzała rumieńcem
— Jaguś!.. Do wspomożenia... biedna sierota.. Jaguś kochane.. krzesiaj mój pozdrówcie.. Zdrowaś Maryja za te dukaty... Jaguś!
Jagna oprzytomniała i jęła oczami szukać, kto ją wołał i skąd, i wnet dojrzała Agatę siedzącą pod murem klasztoru, na garści słomy, że to błocko w tem miejscu było po kostki.
Przystanęła żeby jakiego grosza poszukać, a Agata uradowana z rozmowy swojemi nuż wypytywać się, co tam w Lipcach się dzieje..
— Wykopaliśta już?
— Do cna!
— Nic więcej co u Kłębów?

- Wygnali was w tyli świat, na żebry a ciekawiście ich?..
- Wygnali nie wygnali, samam poszła bo tyla było.. jakże, darmo to mi dadzą choć kąt abo jeść, kiej się u nich nie przędzie!.. A ciekawam, boć krewniaki...
- A co z wami?
- A co, chodzę se od kościoła do kościoła, od wsi do wsi, od jarmarku na jarmarek i tą modlitwą upraszam se u dobrych ludzi gdzie kąt, gdzie łyżkę strawy, gdzie grosik jaki! Dobre są ludzie, ubogiemu nie dadzą umrzeć z głodu, nie. Niech wiecie, zdrowi tam wszyscy u Kłębów? zapytała nieśmiało.
- Zdrowi, a wy nie chorzejecie?
- I.. gdzie zaś, w piersiach mnie ciągiem boli, a jak się naziębię i tą żywą krwią pluję.. Niedługo mi już, niedługo. Choć ino do zwiesny dociągnąć, wrócić do wsi, i tam se, między swojemi zamrzeć - abo ino Jezusieczku płonę, abo jedynie.. rozłożyła ręce okręcone różańcami, wzniesła zapłakaną twarz i jęła się modlić tak gorąco aż łzy jej pociekły z zaczerwienionych oczów.
- Zmówcie pacierz za tatula. Szepnęła Jagna wtykając jej pieniądz.
- To będzie za tych wszystkich ostatnich, a za swoich to już ja i tak się ciągiem modlę i Boga proszę, za żywych i umarłych. Jaguś, a nie przysyłali to z wódką
- Przychodzili.
- I żaden ci się nie uwidział?..
- Żaden. Ostajcie z Bogiem a na zwiesnę do nas zajrzyjcie.. powiedziała prędko i poszła do Matki która ugwarzała stała z sąsiadkami.
Boryna zaś powracał do Antka wolno, raz że ciżba była - a drugie że mu Jaguś ciągiem w myśli stała ale nim doszedł spotkał się

Reymont

z Kowalem.

Przywitali się i szli wpodle siebie milcząc.

- Skończyłeś to se z nim, hę? zagadał ostro Kowal

- Niby z czem? Mówił mi to samo i w sądzie powiatowym. Żyj już był.

- Przecie już czwarty roki czekam.

- Przybaczyłeś se dużoj! To se jeszcze poczekaj ze ćwierćwiecze, kiej zamrze.

- Już i ludzie mi radzą żeby do sądu podać... ale..

- Podaj. Powiem ci gdzie skargi piszą, i na pisarza dam rubla...

- Ale se myślę, iż po dobremu się zgodzimy.. skręcił chytrze

- Prawda, z kiem nie wojna - tym zgoda.

- Sami to miarkujecie najlepiej -

- Mnie ta z tobą ni zgody ni wojny nie potrzeba.

- Zawżdy to pierwszy mówię, powiadam, że ociec jest za sprawiedliwością.

- Każdy jest za sprawiedliwością, komu ją w kurzy pomóc potrza - mnie nie potrza, bom ci nic niewinowaty. Powiedział twardo, aż Kowal zmiarkował, że od tej strony go napocząć nie napocznie, i jakby nigdy nic, najspokojniej i poczciwie rzekł.

- Napilibyśmy się czego, postawicie?..

- Postawię. Jakże, najlepszy nic nie proś do chudoby i całą kwartę, przed piwem z Ździebło wchodząc do nadziejnego rynku; był już tam i Jambroży ale nie pił, siedział w kącie markotny, jakiś i zmartwiony.

- Po gębach mu znać, to pewnie na pluchę. wyrzekał przed niemi. Wypili raz i drugi ale w milczeniu, bo obaj stojąc kołem mieli dobrze na wątpiach.

– Kiej na pogrzebie pijęta! – Ozwał się Jambroży, aby juści, że go tu nie poprosili, bo od rana jakby nic w gębie nie miał.
– Tanie gadać. Ociec tyla dzieciny sprzedaje, to mama uważać komu pieniądze na procenta dać –
– Maciejo! Mówię wam Maciejo, że pan Jezu...
– Komu Maciej to Maciej a tobie wara! Wiedział go jucha. Za pan brat świnia z pastuchą. Obraził się srodze.
A kowal, że to już po dwóch miarkach, nabrał rezonu i rzekł cicho.
– Ociec, powiedzcie to słowo – dacie czy nie?
– Powiedziałem; do grobu ze sobą nie zabiorę a przódzi ni morga nie popuszczę. Na wycug do was nie pójdę... jeszcze mi miły ten rok abo i dwa na świecie.
– To spłatę dajcie.
– Rzekłem. Słyszałeś?
– Za trzecią kobietą się oglądają, to co im ta znaczą dzieci. Szepnął Jambroży.
– A bo i pewnie.
– Spodoba mi się to żenię się i ożenię. Zabronisz?
– Zabronię nie zabronię ale..
– Jak mi spodoba to swatów poślę choćby jutro.
– Słyszcie. a bo ja to wam przeciwny! Dajcie mi choćby tego ciółka co wam ostał po graniastej, to i sam pomogę. Rozumny wy swój macie, to wiecie co jest wam najlepiej. Nieraz i nie dwa przekładałem żonie, co wam ano kobiety potrzeba, żeby upadku w gospodarstwie nie było....
– Mówiłeś to tak Michał?..

— Żebym tak spowiedzi świętej nie doczekał. Mówiłem. Całej przecie rzekę jak komu potrzeba, a nie powiedziałbym co wam potrzeba!
— Cyganić by jucha ani się kurzy, ale jako przyjść, ciotka dostaniesz, bo jak przysiądam; a prawować się rachun z nią — to ten patyk złamany weźmiesz abo i co gorsze...
Napili się jeszcze, Kowal już postawił i przyzwał do kompanii Jambroża, który ochotnie się przysiadł i jął gadki uciesznie opowiadać, a przepijać się, że raz wraz śmiechem wybuchali.
Niedługo ciesyli się ze sobą, bo każdemu pilno było iść do swoich, a i do spraw różnych; rozeszli się w zgodzie ale jeden drugiemu nie wierzył ani tyla co za paznokciem — znali się dobrze jak te łyse konie i przezierali na wskroś kiej przez te szyby —
Jambroży tylko ostał, poczekiwał na kumów abo i znajomków, coby mu kto postawił jeszcze jaką półkwaterkę, bo dobra i pan uradza póki kto całego gnata nie zgryzie, a napić się lubiał niezgorzej, a samemu stawiać sobie było trudno i niegodziwota, kościelnym był ino — nie gospodarzem.
I jarmark dobiegał już końca
W samo południe zaświeciło słonce ale tylko tyle, coby kto lustrem mignął po świecie i zaraz się schowało za chmury; a już przed wieczorem sposępniało na świecie, chmurzyska wlekły się nisko i prawie na dachach legały i drobny deszcz jął siąć kiej przez gęste sito —
To i rozjeżdżali się prędzej — każdy spieszył do dom, coby prędzej się dostać przed nocą i wielgą pluchą.

I handlerze rychlej zdejmowali kramy i pakowali się na wozy, że to deszcz zacinał coraz gęstszy i zimniejszy.
Mrok zapadał prędko ciężki i mokry.
Miasteczko pustoszało i milkło
Tylko dziady jeszcze gdzieniegdzie pojękiwali spod ścian i w karczmach późno żyły się wrzaski pijaków i kłótnie
Jakoż już o szarym wieczorze wyjechali z miasta Borynowie; sprzedali wszystko co mieli, nakupowali różności i użyli jarmarku co się zowie. Antek podcinał koni i jechał aż się błoto otrzęsało, bo i rad był i podpili sobie wszyscy niezgorzej; Stary choć skąpy był i aż piszczał nad groszem, a tak ich dzisiaj ugaszczał i jadłem, i napitkiem, i tem dobrem słowem, że aż dziwno było.
Noc się zrobiła zupełna gdy dojechali do lasu.
Ciemno było, że choć oko wykol; deszcz padał coraz grubszy, i gdzieniegdzie po drodze rozlegały się turkoty wozów i ochrypłe śpiewy pijaków. albo i ktosik człapał się wolno po błocie.
A środkiem topolowej drogi co ino szumiała głucho i pojękiwała jakby z zimna, szedł Jambroży pijany już całkiem, zataczał się z boku na bok, czasem utknął na drzewo albo i w błoto ale się rychło podnosił i ciągiem podśpiewywał na całe gardło, jak to miał we zwyczaju.
Głucha szła taka i ciemność, że koniom łbów nie rozeznał, a światła ~~[illegible]~~ wsi widziały się ledwie jako to wilczych ślepiów migotanie.

VI

Deszcze się rozpadały na dobre.
Już od samego jarmarku świat zwolna zatapiał się w szarych, mętnych szkliwach deszczów, że tylko obrysy borów i wsi majaczyły blade niby z przemiękłej przędzy utkane.
Szły nieskończone, zimne, przenikające szarugi jesienne.
Sine, lodowate bicze deszczów, siekły bezustannie ziemię i przenikały do głębi aż drzewo każde, ździebło każde dygotało w bezmiernym bólu –
A z pod ciężkich chmur skłębionych nad ziemią, z pod zielonawych szarug, wychylały się chwilami smugi pól poczerniałych, przemiękłych, rozpluskanych – to wybłyskiwały strugi spienionej wody płynącej bruzdami, albo czerniały drzewa samotne na miedzach – jak przygięte, nabrzmiałe wilgocią, trzęsły ostatniemi łachmanami liści i szamotały się rozpacznie niby psy na uwięzi.
Drogi opustoszałe rozlały się w błotniska gnijące kałużą.
Krótkie, smutne, bezsłoneczne dnie wlekły się ciężko przegniłemi smugami światła, a noce zapadały czarne, głuche, rozpaczliwe bezustannym, monotonnym chlupotem...
Przerażająca cisza ogarnęła ziemię.
Umilkły pola, przycichły wsie, ogłuchły bory.
Wsie poczerniały i jakby silniej przywarły do ziemi, do płotów, do tych sadów nagich, poskręcanych i jęczących cicho.
Szara kurzawa deszczów przysłoniła świat, wypiła barwy, zgasiła światła, i zatopiła w mrokach ziemię, że wszystko wydało się jakby sennem majaczeniem

a smutek wstawał z pól przegniłych, z borów zdrętwiałych, z pustek obumarłych i włóczył się ciężkim tumanem; przystawał na głuchych rozstajach, pod krzyżami co wyciągały rozpacznie ramiona, na pustych drogach gdzie nagie drzewa trzęsły się z zimna i skarżyły w mgłę — do opuszczonych gniazd zaglądał pustemi oczami, do rozwalonych chałup — na umarłych cmentarzach kładł się wśród mogił zapomniałych i krzyży pogniłych — i płynął światem całym; — przez nagie, odarte, splugawione pola, przez wsie zapadłe i zaglądał pustym, martwym wzrokiem do chat, do obór, do sadów — aż i bydło ryczało z trwogi, drzewa się przyginały z głuchym jękiem a ludzie wzdychali żałośnie w straszliwej tęsknocie — w nieutulonej tęsknocie za słońcem —

- - - - - - - - - - - - - - - - -

Deszcz mżył bezustannie jakoby kto drobnem sitkiem przysiewał świat, że Lipce całe tonęły w gęstych mglistych tumanach szarugi a pod którą tylko gdzieniegdzie czerniały dachy, to obmokłe płoty kamienne lub te brudne kołtuny dymów co się wiły nad kominami i wlekły po sadach.

Cicho było we wsi, tylko gdzieniegdzie młócono po stodołach ale rzadko, bo wieś cała była na kartofliskach.

Pustka leżała na błotnistej rozmiękłej drodze i pusto było w obejściach i przed domami, czasami tylko ktoś zamajaczył we mgle i ginął wnetki że tylko człapanie trepów po błocie było słychać albo wóz naładowany kapustą wlókł się wolno od torfowisk i rozganiał gęsi brodzące [illegible] liściami spadłemi z sadów —

Staw szamotał się w ciasnych brzegach i przybierał ciągle, bo aż się przelewał w niższych miejscach na drogę po Borynowej stronie, sięgał płotów i bryzgał pianą na ściany chałup.
Cała wieś była zajęta wycinaniem i zwożeniem kapusty; pełno jej było po klepiskach, sieniach i izbach a jaż u niektórych i pod okapami leżały kupy główek.
Przed domami, wystawiono na deszcz mokre ogromne beczki.
Śpieszono się na gwałt, bo deszcz prawie nie ustawał a drogi robiły się grząskie, niźli przebyć.
I u Dominikowej dzisiaj wycinano.
Już od rana pojechała na kapuśniska Jagna z Szymkiem, bo młodszy Jędrzych ostał i łatał ano dach, że to przeciekał w paru miejscach.
Pod wieczór to już było i jakby się zwolenko zmierzchać zaczynało, to stara raz wraz wychodziła przed dom i patrzała w drogę, ku młynowi i nasłuchiwała czy nie jadą jeszcze?..
A na kapuśniskach leżących nisko za młynem, w torfowiskach, wrzała jeszcze zajadła robota.
Szarawe mokre mgły leżały na łąkach, że tylko gdzie niegdzie błyskały szerokie rowy pełne siwej wody, i wzdłuż zagony kapusty siniejącej blado zielono albo rdzawo niby pasy blachy żelaznej, a tu i owdzie majaczyły we mgle czerwone wełniaki kobiet i kupy wyciętych główek.
Stali przemokli, nad rzeką co płynęła z szumem wśród gęstych zarośli siniejących niby chmura, czerniały stogi torfu i wozy, do których

donoszono kapustę w płachtach, bo z powodu rozmiękłego gruntu dojechać nie było można do kapuśników.

Odchodzili już niektórzy i zabierali się do domu, więc i głosy coraz mocniejsze rozlegały się wszędzie i leciały z zagonu na zagon.

Jagna skończyła dopiero co swój zagon, zmęczona była srodze, głodna i przemoczona do skóry, bo nawet i trepy zapadały się w rudy, rozmiękły grunt, po kostki, że raz wraz je zzuwała żeby wylać wodę.

— Szymek rusz się rychlej prędzej, bo już Kułasów nie widzę! wołała żałośnie a widząc że chłopak nie może sobie radzić, wyrwała mu niecierpliwie ogromny tobół zarzuciła go na plecy i poniosła na wóz

— Parobek z ciebie był, a miętki jeszcze wyrzbiecie kiej kobieta po rodach. Szepnęła pogardliwie wysypując kapustę do półkoszków wyścielanych słomą.

Szymek przygwożdżony, zamruczał coś pod nosem, skrobał się po kołtunach i zaprzęgał konia

— Spiesz się Szymek, bo noc! Naganiała go znowu co chwila kopiąc znów

Jakoż i noc nadchodziła, mrok gęstniał i ciemniał a deszcz się wzmagał że tylko pluskało po rozmiękłej ziemi i rowach, jakby kto ziarnem sypał.

— Józia! skończycie to dzisiaj? zawołała do Borynianki, która z Hanką i Kubą wycinała wspólnie.

— Skończymy! Boście do domu, taka plucha że mnie już do kości przejęło, jedziecie to już?

— Juści. Noc zaraz będzie i taka ciemna że się drogi nie dojrzy. Jutro się zwiezie resztę. Siadaj Maciek kapustę! Zawołała podciągając się wolno i patrząc na ułożone w wozie kupy

– I warzą niezgorzej, a już co korpiele, to macie najwięcej..
– Z nowego nasienia była rozsada, Dobrodziej przywieźli z Warszawy.
– Jagna! ozwał się znowu czyjsiś głos Józi – więcie, a to jakby Walek Jordów
Ile wódki do Maryni Pietrkowej…
– Taki skrzat! A mato ona już lata? Widzi mi się, że jeszcze Toni krowy pasła!..
– Za chłopa to już lata ma ale i morgów ma tyla, że się parobki zlecą..
– Będą się i do ciebie zmierzły Józia, będą..
– Jak się taki szczęście nie ożeni! zakrzyczała Jagustynka gdzieś z trzeciego zagonu
– Co wam też w głowie a toć dopiero na zwiesnę matkę pochowali – powiedziała przetrwożonym głosem Hanka.
– Co tam chłopu szkodzi. Każden chłop to jak ten wieprzak, żeby niewiem jak był nachlany, to do nowego koryta ryj wrazi.. Ho, ho, jedna jeszcze nie dojdzie… nie ostygnie całkiem a już za drugą się ogląda… Pieski to naród… A jak to wołał Sikora? Który tygodnie po pochówku pierwszej z drugą się ożenił –
– Prawda ale i drobiazgu po nieboszce ostało pięcioro..
– Kiedliszcie! ale ino głupie uwierzą że la dzieci się ożenił… la siebie, bo mu markotno było samemu pod pierzyną!..
– My byśwa ojcu niedali, o to!… zawołała energicznie Józia
– [crossed out] Młodziaś dy jeszcze to i głupia… ojcowy grunt to i ojcowa wola!
– Dzieci też coś znaczą i prawo swoje mają.. rzekła Hanka.
– Z cudzego wora to raz choć i pół wora. Mruknęła głucho Jagustynka

i zamilkła, bo Józka rozgniewana zaczęła nawoływać Witka, co się był wałęsał gdzieś nad rzeką, a Jagna się nie wtrącała do tej rozmowy - uśmiechała się ino niekiedy, że się to jej jarmark przypomniał i nosiła kapustę, a skoro wóz był już pełen, Szymek jął wyjeżdżać ku drodze.

- Ostajcie z Bogiem - rzuciła do sąsiadek.

- Jedźta z Bogiem, my też zaraz.. Jagno a przyjdziesz do nas obierać, co?

- Powiedz ino kiedy potem, a przyjdę Józia, przyjdę..

- A w Niedzielę chłopaki wyprawiają muzykę u Kłębów, wiecie to?

- Wiem Józia, wiem.

- Spotkacie Antka, to powiedzcie że czekamy, niech pospieszy. prosiła Hanka.

- Dobrze, dobrze..

Pobiegła prędziej żeby dognać wóz, bo Szymek odjechał już był za stajnie że ino go słychać było jak klął na konia; wóz grzęznął i zarzynał się aż po osie w rozmiękczonym torfiastym gruncie, że na dołkach i w gorszych miejscach oboje musieli pomagać koniowi żeby wyciągnął [redacted] z trzęsawiska.

Milczeli oboje, Szymek wiódł konia i zważał [redacted] żeby nie wywrócić, bo dołów wszędzie było pełno, a Jagna szła z drugiej strony podpierała ramieniem wóz i rozmyślała jak się to trzeba wystroić na to obieranie do Borynów.

Mrok zapadał prędko że ledwie konia widać było, deszcz jakby przestał tylko mokra ciężka mgła wisiała że oddychać było ciężko, a górą szumiał głucho wiatr i bił w drzewa na grobli do której dojeżdżali właśnie.

Podjazd na groblę był ciężki bo stromy i śliski, koń utykał i co krok przystawał odpoczywać, że ledwie zdzierżeli wóz żeby nie uciekł.

- Nie trza było tyle kłaść na jednego konia! krzyknął się jakiś głos z grobli
- To wy Antoni?..
- Juści.
- A pospieszajcie, to już tam Hanka sama wypakuje... Pomóżcie nam...
- Poczekajcie, niech ino zjadę, to pomogę. Pomroka taka, że nie nic widać.
Wjechali zaraz na groblę, bo tak potężnie pod górę aż koń musiał przyklęknąć i zatrzymał się dopiero na wierzchu.
- Bóg wam zapłać, ale też mocni jesteście że laboga! wyciągnęła do niego ręce.
Zamilkli nagle, wóz ruszył a oni szli koło siebie nie wiedząc co mówić, zmieszani dziwnie oboje.
- Wracacie to? szepnęła cicho.
- Ino się do młyna odprowadzę Jaguś, bo tam wszędzie woda wyrwę zrobiła.
- To dopiero ciemnica, co! wykrzyknęła.
- Boisz się Jaguś, co? szepnął przysuwając się bliżej.
- Hale, bałabym się tu...
Znowu zamilkli i szli tak przy sobie że biodro w biodro, ramię w ramię...
- A oczy to się wam świecą jak temu wilkowi... aż dziwno...
- Będziesz w Niedzielę na muzyce u Kłębów?..
- A bo to matka mi dadzą...
- Przyjdź Jaguś, przyjdź... prosił cichym, przyduszonym głosem.
- Chcecie to? zapytała miękko zaglądając mu w oczy.
- Laboga, ażeć ino la ciebie zgodziłem skrzypka z Woli i la ciebie namówiłem Kłęba iże dał chałupy, la ciebie Jaguś... szeptał i tak przysuwał twarz

do jej twarzy i dychał aż się cofnęła nieco i zadygotała ze wzruszenia.
— Idźcie już... czekają na was... jeszcze kto nas obaczy... idźcie...
— A przyjdziesz?...
— Przyjdę... przyjdę... powtórzyła oglądając się za nim ale już zniknął w mgle, tylko odgłos jego kroków słychać było po błocie.
Dreszcz nią wstrząsnął gwałtowny i coś jak płomień wichrem przeleciał przez serce i głowę, aż się zatoczyła. Ani wiedziała co się jej stało — oczy ją paliły jakby zasypane żarzewiem, tchu złapać nie mogła ni przycisnąć serca namiętnie bijącego; rozkładała ręce bezwiednie, jakby do obejmowania, rozprężała się w sobie bo ją brały takie szalone ciągotki, że omal nie krzyczała.. dopędziła wozu, chwyciła się łuszni i choć nie potrza było, tak podźwignie pchała aż wóz skrzypiał, chwiał się i główki spadały w błoto... a przed oczami ciągiem widziała jego twarz i oczy roziskrzone, pożądliwe.. palące..
— Smok nie chłop... chyba takiego drugiego na świecie nie ma.. myślała bezwiednie.
Oprzytomnił ją turkot młyna obok którego przejeżdżali i szum wody płynącej na koła i przez stawidła otwarte bo przybór był ogromny. Rzeka szumem głuchym spadała na dół i rozbita na białą miazgę kłębiła się i jaśniała w rzece rozlewającej się szeroko.
W domu młynarza, stojącym zaraz przy drodze, już się świeciło i przez szyby przysłonięte firankami, widać było lampę stojącą na stole..
— Mają lampę kiej u dobrodzieja albo i we dworze jakim...
— Bo to nie bogacz.. Gruntu to ma więcej od Boryny i na procenta pieniądze daje i na mieleniu to nie okpiwa, co? Ciągnął Szymek.

– Żyją kiej dziedzice... Takim to dobrze... po pokoju chodzą.. na kanapach się wylegują... w cieple siedzą.. słodko jadają a ludzie na nich robią.. mówiła ale bez zazdrości nie słuchając Szymka, który siła mrukliwy był. o tyle kiej się rozgadał to już bez nijakiego końca.

Dowlekli się wreszcie do chałupy.

W izbie widno było i ciepło, ogień buzował się wesoło na kominie; Jędrzych obierał ~~k~~ ziemniaki a stara nastawiała kolacyę.

Jakiś stary, siwy człowiek grzał się przy kominie.

– Szczęśliwie Jaguś?

– Dyć, tyle że ta zdróbko, może ze tej płachty ostało na zagonie – Poszła do komory się przebrać i wkrótce już się zwijała po izbie i narządzała jedzenie, pilnie poglądając i ciekawie na starego, który siedział w głębokiem milczeniu, patrzał w ogień, przebierał ziarna różańca i poruszał ustami.

A gdy siedli do kolacyi stara położyła łyżkę dla niego i zapraszała.

– Ostańcie z Bogiem.. zajdę tu jeszcze bo może i w Lipcach ostanę na dłużej...

Ukłonił się na środku izby, pochylił się przed obrazami, przeżegnał i wyszedł.

– Kto to? zapytała Jagna zdziwiona.

– Wędrownik ci to święty, od grobu Jezusowego idzie... dawno go znam, bo już tu nieraz bywał i przynosił świętości różne.. Jakoś ze trzy roki temu... nie skończyła bo wszedł Jambroży, pochwalił Boga i usiadł ~~przed~~ przed kominem.

– Ziąb dali i plucha że aże mi moja drewniana noga skostniała.

– Wam też po nocy i takiem błocku łazić. nie siedzielibyście to w chałupie i pacierze se przepowiadali... Mruczała Dominikowa.

160/161

— Ckniło mi się samemu tom do dziewuch wyszedł i do Ciebie Jagno pierwszej wstąpiłem...
— Kostucha ważnej dziewuszę na imię..
— Z młodszymi hula a o mnie całkiem zabaczyła?.
— Ale?.. zagadnęła Dominikowa pytająco.
— Prawdę mówię. Dobrodziej był z P. Jezusem u Bartka za wodą..
— Cię.. na jarmarku widziałam go zdrowym...
— Zięciaszek ci go tak sprał kołkiem że aż mu wątpia odbił
— O cóż, kiedy?...
— A o cóżby jak nie o grunt. Wadzili się już i pół roku aż się dzisiaj w południe porachowali.
— Że to kary boskiej nie ma na tych zabijaków. Ozwała się Jagna.
— Przyjdzie, miłoś ty Jagus, przyjdzie. Rzekła twardo stara wznosząc oczy na obrazy święte.
— A kto już pomarł nie wstanie. Szepnął Jambroży cicho.
— Siadajcie do miski, zjecie co jest.
— Nieodlegom, nie. Muszę jeno belę dziej poręczę jeszcze. Podśpiewał.
— Wam to ino podśpiewania w głowie i zabawy.
— Tyla i mojego, tyla, na cóż mi turbacje, hę?
Obsiedli ławkę na której stały miski i jedli wolno i w milczeniu. Jędrzych pilnował żeby dokładać i dolewać, tylko Jambroży raz po raz powiadał to jakie słowo ucieszne i sam się śmiał najbardziej, to chłopaki chcieli rade były się pośmiać, bali się srogiego wzroku matki.

— Dobrodziej w domu? zagadnęła pod koniec.
— A gdzieby na taką słotę, jak żyd w księgach siedzi.
— Mądry ci on, mądry...
— I dobry, że nie znalezć lepszego.. dodała Jagna.
— Juści.. pewnie.. na brzuch se nie pluje ani drugiemu na brodę, a co mu kto da weźmie...
— Nie pletlibyście bele czego.
Powstali od kolacji. Jagna z starą siadły do kądzieli przed kominem a synowie jak zwykle zajęli się sprzątaniem, myciem naczyń i obrządkiem. Tak już zawdy u Dominikowej było, że synów swoich dzierżyła żelazną ręką i rychtowała ich na dziewki, żeby jno Jagusia ręczków se nie pomazała. Jambroży zapalił fajkę, rzykał w komin, to poprawiał głownie i dorzucał gałęzi i raz wraz spoglądał na kobiety, wziął cosik wypowić i ubadał.
— Były ponoć u was swaty?
— A bo to jedne.
— Nie dziwota, Jagna kiej malowana. Dobrodziej powiedział że i w mieście nie spotkać piękniejszej.
Jagna poczerwieniała z uciesznoci.
— Tak powiedział! Niech mu Bóg da zdrowie. Dawno się już zbierałam zanieść na wotywę, dawno ale jutro zaraz zaniesę.
— Przydałby ta jeszcze który, wódka jno się bojąc zbiórko... rzekł po cichu.
— Parobek?.. zapytała stara nawijając na furkoczące po pobocznie wrzeciono.
— Gospodarz na całą wieś, rodowy... ale wdowiec.

– Dzieciaków cudzych kolebała nie będzie..
– Odchowane, nie bój się Jaguś, odchowane.
– Co jej tam po starym... ma jeszcze lata.. poczeka se na młodego jak się jej uda jaki.
– Takiego nie brakuje. a bo to młodych brak? Jak świece chłopaki, papierosy palą, w karczmie tańcują, gorzałkę piją i ino patrzą za dziewuchami która jakie morgi ma i trochę gotowego grosza, żeby balować było za co... Gospodarze juchy, do południa śpią a popołudniu taczkami gnój wożą i motykami orzą pole...
– Na poniewierkę takiemu Jagny nie dam.
– Nie próżno mówią, jeście we wsi najmądrzejsza...
– Ale i za starym też uciechy nijakiej dla młódki..
– A bo to do uciechy ino młodych
– Starość kiej świat a płocho wama jeszcze we łbie. Powiedziała surowo.
– I.. gada się byle ozór nie skiełczał.
Zamilkli na długo.
– Stary uszanuje i na cudzy grosz nie łasy. Podjął znowu Jambroży.
– Nie, nie. ino obraza boska z tego bywa.
– Mógłby zapis zrobić. Rzekł zaraz wytrząsając fajkę na dłoń
– Jagna ma dosyć swojego. Odpowiedziała po chwili, wahająca już i niepewna.
– Więcej by on dał niźli wziął, więcej..
– Rzekliście?
– Co wiadomo, nie z wiatru wziąłem ani z pomyślunku, nie od siebie przyszedłem...
Milczeli znowu. Stara oglądała długo rozkudłaną kądziel, potem poślinila

potem i jęła wyciągać lniane włókna lewą ręką a prawą puszczała w wir wrzeciono, że z warczeniem kieby bąk kręciło się po podłodze i furkotało.
- Jakże? ma to przysłać?
- Któren?
- Nie wiecie to? adyć kowal! Wskazał przez okno na światła ledwie migocące przez staw u Boryny.
- Dorosłe dzieci, dobrego słowa nie dadzą i prawa do swoich części mają...
- Ale może zapisać to co jego... jakże?.. A chłop dobry i gospodarz nie lada jaki, i pobożny i krzepki jeszcze, sam widziałem jak za korzec żyta zarzucał na plecy. Juści tamby Jagnie nic nie brakowało, chyba tego ptasiego mleka... a że wasz ~~[illegible]~~ Jędrzych na przyrok do wojska staje... to Boryna z urzędnikami się zna, wie do kogo trafić, mógłby pomóc...
- Jak ci się widzi Jaguś?...
- Mnie ta wszystko jedno, kiejeście to pojdę... mama w tem głowa nie moja... mówiła cicho, wsparła czoło na kądzieli i zapatrzyła się w ogień bezmyślnie i słuchała wesołego trzaskania gałęzi. Ten czy tamten wszystko było jej zarówno, wstrząsnęła się tylko nieco na przypomnienie Antka.
- Jakże? rzekł Jambroży powstając z ławki.
- Niech przysyłają... zrękowiny nie ślub jeszcze... Odrzekła wolno.
Jambroży pożegnał się i poszedł prosto do Boryny.
Jagna zaś siedziała nieruchoma i milcząca.
- Jaguś... córuchno... co?...
- A nic... wszystko mi zarówno... kiejeście to pojdę za Borynę... a nie

to ostanę przy was... bo mi to źle z wami...
Stara przędła dalej i mówiła cicho
— Najlepiej chcę dla ciebie, najlepiej... Juści że stary on jest ale uczciwy jest to prawda, i ludzki, nie tak jak drugie chłopy. uszanuje cię... panią się będziesz u niego, gospodynią... A jak zapis zrobi to już go tak usidłuję, żeby grunt wypadł wpodle naszego, koło żyta pod górką... a choćby i te sześć morgów zapisał... Słuchasz to? że sześć morgów! A tera ci ino za chłopa trza... poco mają wygadywać na ciebie i na ozorach obnosić po wsi... Wieprzka by się zabiło... a może i nie... może... umilkła i już wyłowie układała sobie resztę bo Jagna jakby nie słyszała jej słów, przędła machinalnie i jakby jej nie nie obchodził los własny, tak nie myślała o tem zamęściu.
A bo to jej źle było przy matce? robiła co chciała i nikt jej mocnego słowa nie powiedział. Co ją tam obchodziły grunta, a zapisy, a majątki — dyć co jej, abo i nie? Mało to chłopaków latało za nią — niechby tylko chciała to choćby wszyscy na jedną noc się zlecą... i myśl jej leniwie się snuła jak ta nić lniana z kądzieli i jak ta nić okręcała się ciągle jednako na tem, że jak matka każe to pójdzie za Borynę... Juści że go nawet woli od innych, bo kupił jej paciorki i chustkę... juści... ale i Antek by kupił to samo... a i inny może... żeby tylko miały Borynowe pieniądze... każden dobry... i wszystkie razem... a bo ona ma głowę żeby wybierać! Matki w tem głowa żeby zrobić jak potrza...
Zapatrzyła się znowu w okno bo po ścianach, zwiędłe georginie kołysane przez wiatr zaglądały w szyby ale wnet zapomniała o nich, zapominała

o wszystkiem nawet o sobie samej, zapadła w takie przewiętą bezczuć jak ta ziemia rodzona w jesienne martwe noce — bo jako ta ziemia święta była Jagusina dusza — jako ta ziemia; leżała w jakichś głębokościach niedoścignionych przez nikogo, w bezwładzie mocy sennych — ogromna a niewiadoma siebie — potężna a bez woli, bez chcenia, bez pragnień — martwa a nieśmiertelna; i jako tę ziemię brał wicher każdy, otulał sobą i kołysał, i niósł tam gdzie chciał.. i jako tę ziemię o wiośnie budziło ciepłe słońce zapładniało życiem, wstrząsało dreszczem ognia, pożądania, miłości — a ona rodzi bo musi; żyje, śpiewa, panuje, tworzy i umiera bo musi — jest bo musi... bo jako ta ziemia święta taką była Jagusina dusza — jako ta ziemia!..

I długo tak siedziała w milczeniu jako te oczy gwiezdne świecące się z niej spokojne wody w wiosennym południu, aż ocknęła się nagle, bo ktosik otwierał drzwi do sieni.

Wbiegła Józka zadyszana, przypadła do komina, wylewała z trepów wodę i rzekła:

— Jaguś jutro u nas obieranie, przyjdziecie?

— Przyjdę.

— W izbie będziemy obierali. Jambroży sam siedzi u tatula, tom się chyłkiem wyrwała na wieś żeby ci powiedzieć. Będzie Ulisia, i Marysia, i Witka, i Płoszkowe i drugie... i chłopaki przyjdą... Pietrek obiecał się ze skrzypicą.

— Któren to?

— A Michałów, co za wójtem siedzą, co to w kopaniu przyszedł z wojska.. i tak mówi pokrętnie, iż go i wymiarkować trudno...

Natargała co ino mogła i poleciała do domu.
Cisza znowu objęła izbę.
Czasami deszcz uderzał w szyby jakby kto przygarścią piasku rzucił, to wiatr szumiał i barankował w sadzie albo dmuchał w komin, iż głownie się rozsypywały po trzonie i dym buchał na izbę... a ciągiem warczały wrzeciona po podłodze.
Wieczór ciągnął się wolno i długo, aż Józka cichym drżącym głosem, zaśpiewała:

Wszystkie nasze dzienne sprawy...

A chłopaki z Jagną przywtórzali z cicha ~~[illegible]~~, a tak przenikliwie aż kury wzięły na grzędach kwokotać rzadko i pogdakiwać.

VII

Nazajutrz, dzień był tak samo zachmurzony i posępny.
Co chwila ktoś wychodził z jakiejś chałupy i długo a frasobliwie poglądał w omglony świat, czy się gdzie nie przejaśnia — ale nic krom burych chmur płynących tak nisko, że darły się o drzewa, widać nie było; deszcz mżył bezustannie, tyle że jakoś raz za razem zapluskał i przeszedł w ulewę jakoby kto upusty niebieskie otworzył, że jno dudniło po dachach.
Ludzie się kwasili po chałupach; jaki taki łaził po temu błocie i deszczu do sąsiadów na wyrzekanie — że to czas taki, co i psa na dwór wygonić trudno, a tu niejeden ściółkę miał jeszcze w lesie, kto znów drew nie zwiózł, a inne, bez mała wszystkie prawie — niedocięta w polu kapustę, po którą i nie wyjechać dzisiaj. Bo ano staw tak przybrał wody, że musieli z dołu wywrzeć stawidła i puścić wodę do rzeki, która i przez to rozlała się szeroko aż łąki stanęły pod wodą. a kapuśniska jako te wyspy czerniały się grzbietami zagonów z pośród siwej, spienionej topieli
U Dominikowej też nie zwieźli tej reszty jaka w polu ostała.
Jagna już od rana nie mogła dać sobie rady, chodziła jno z kąta w kąt, bo patrzyła przez okna na te krze georginii powalone przez słotę, w ten świat zachmurzony i wzdychała żałośnie.
— Ani mi się ta słota! szeptała z niecierpliwością oczekując zmroku i pójścia do Borynów, na to obieranie kapusty, a tu dzień wlókł się tak wolno niby ten dziadek po błocie, tak nudnie i tak jakoś smutnie, że już wytrzymać było niesposób. Rozdrażniona też była, że ciągiem wyrzekała na chłopaków

i patrzała co się jej tylko pod rękę nawinęło, a że tego wszystkiego głowa ją pobolewała aż się owsem rozprażonym i octem skropionym, obwiązała ciemię - dopiero przeszło. Mimo to, miejsca sobie znaleźć nie mogła i robota leciała z rąk a ona zapatrzała się w staw rozchlustany, który niby ptak jaki, rozwijał ciężkie skrzydła, bił niemi, podrywał się z szumem aż woda wypryskiwała na drogi, a jeszcze niemógł jakby nogami wrośnięty w ziemię, a za wodą stał dom Borynów, dobrze było widać ściany ze starszej słomy i ganek świeżo pokryty gałęźmi, to się jeszcze rozci-ły, i rachowania za sadem ale całkiem nie wiedziała na co patrzy...

Dominikowej nie było od samego rana, bo ją wezwali do rodzącej Kobiety na drugi koniec wsi, jako że leczyła była i znająca się na chorobach.

A Jagnę aż podrywało iżby gdzieś bieżyć we świat, do ludzi, ale co się przysposobiła na głowę w zapaskę i wyjrzała za próg na błoto i pluchę - to się jej odechciewało wszystkiego... że w końcu aż się jej płakać chciało z jakiejś dziwnej tęsknoty... to niemogąc sobie poradzić otworzyła swoją skrzynkę i jęła z niej wyjmować a rozkładać po łóżkach przyodziewek świąteczny... aż pociemniało w izbie od wełniaków pasiastych.. zapasek.. kaftanów.. ale nie cieszyło ją to dzisiaj, nie... patrzyła obojętnym, i smutnym wzrokiem na dobro swoje, tylko wyciągnęła z pod spodu chustkę Borynową i ~~[illegible]~~ uwiązała, ustroiła się w nią i długo przeglądała się w lusterku.

- Niechcący... Ino się na wieczór kto przyjdzie .. pomyślała i zdjęła zaraz bo ktoś szedł opłotkami do chałupy.

~~[illegible]~~
~~[illegible]~~

Wszedł Mateusz... Jagna aż krzyknęła ze zdziwienia, bo ten ci to był, o którego najwięcej pomawiano ją, że z nim w sadzie nocami się schodzi a często i gdzieindziej pono... Parobek był stary, bo mu już dobrze było po trzydziestce, kawaler jeszcze ale żenić się nie chciał, że to siostry miał niepowydawane, a jak Jagustynka plotkowała, że mu to dziewczyny albo i cudze żony lepiej smakowały... Chłop był rosrosły jak dąb, mocny, dufający w siebie i przez to tak harny i nieustępliwy, że mało kto się go nie bojał. A sposobna jucha była do wszystkiego; na fleciku grywał, że aż do duszy szło, wóz zrobić zrobił, chałupy stawiał, piece wylepiał, wszystko robił tak sprawnie, że ino mu się robota w garściach paliła - gorzej, że się ino nie trzymał całkiem, choć zarabiał sporo, bo wszystko zaraz przepił i przefundował albo i rozpożyczył... Gołąb było mu na przezwisko, choć i do jastrzębia prędzej był podobien z twarzy i z onej zapalczywości..

- Niech będzie pochwalony!
- Na wieki... Mateusz!
- Juści Jaguś, ja... Ścisnął ją za ręce i tak gorąco patrzył w oczy aż się dziewczyna zarumieniła i niespokojnie na drzwi poglądała.
- A to z pół roku byłeś na świecie... szepnęła zmieszana.
- Cały pół roku i dwadzieścia i trzy dni... dobrzem liczył... a rąk jej nie puszczał.
- Zapalę światło! zawołała, że to się jej mroczno na duszę i chciała mu się wyrwać
- Przywitajże mnie Jaguś, prosił cicho i chciał ją objąć, ale wyrwała się prędko i szła do komina zapalić światło, bojała się, żeby ich tak po ciemku matka nie zobaczyła albo i kto drugi, ale nie zdążyła, bo Mateusz chycił ją w pół, przycisnął mocno do siebie i jął zapamiętale całować...

Zatrzepotała się kiej ptak, ale nie jej moc wyrwać się takiemu głodnemu smokowi, który ściskał aż żebra trzeszczały i tak całował, że całkiem zesłabła, oczy jej zaszły mgłą, tchu złapać nie mogła, że ino ostatkiem szeptała:

- Puść... Mateusz... Matula...

- Jeszcze chwilkę Jaguś, jeszcze raz bo się całkiem wściekne... I tak całował aż mu dziewczyna całkiem zmiękła i leciała przez ręce kiej woda, ale puścił ją, bo posłyszał w sieniach kroki, sam zapalił nad okapem lampkę i skręcał papierosa a rozjaśnionemi ucieszno oczami spoglądał na Jagnę, że to jeszcze przyjść do siebie nie przyszła, bo się mocno chwyciła ściany i dyszała cicho.

Jędrzych wlazł i ogień na kominie rozdmuchiwał, nastawiał garnki z wodą, ciągiem się po izbie kręcił, że już mało wiele ze sobą mówili a ino przyglądali na się iskrzącemi, głodnemi oczami jakoby się zjeść chcieli..

Wnetki, bo jakoś w pacierz później nadeszła Dominikowa, musi być zła była, bo już w sieniach wywarła gębę na Szymka, a ujrzawszy Mateusza popatrzyła nań srogo, na przywitanie nie zważała i poszła do komory przeobłec się

- Idź se, bo cię matka zeklnie jeszcze... prosiła cicho.

- Wyjdziesz to do mnie Jaguś, co? prosił.

- Wróciłeś to już ze świata? rzekła stara jakby go dopiero spostrzegając.

- Wróciłem matko.. mówił radośnie i chciał ją w rękę pocałować.

- Ale, suka ci była matką, nie ja! warknęła, wyrywając rękę ze złością - Po coś tu przyszedł? Mówiłam ci już że tutaj nic po tobie...

- Do Jagusi przyszedłem, nie do was. Hardo zawołał, bo go już złość brała.

- Wara ci od Jagusi, słyszysz! Wara ci, żeby ją potem bez ciebie na ozorach

obnosili po wsi jak tę jaką ostatnią... ani mi się pokazuj na oczy... Wrzeszczała.
- Krzyczcie kiej wrona, że wieś cała usłyszy!
- Niech usłyszą, niech się zlecą, niech wiedzą żeś się Jagusi przyczepił kiej rzep psiego ogona, że i drągiem trudno cię odegnać...
- Żebyście nie kobieta, tobym wama idziebko żebra zmacał za powiedzenie takie...
- Spróbuj zbóju jeden, spróbuj psia... Pochwyciła za żelazny pogrzebacz.
Ale i na tem skończyło, bo Mateusz splunął, trzasnął drzwiami i wyszedł prędko, bo jakież, z babą zieło miał bić i pośmiewisko z siebie na wsi czynić?..
A stara, że to już jego nie stało, wsiadła na Jagnę i nuże jazgotać a wypominać wszystko co [illegible] miała na wątpiach... Jaguś siedziała cicho aż martwiała ze strachu ale kiedy słowa matki dojęły ją do żywego... przecknęła, schowała głowę w pierzynę i buchnęła płaczem i wyrzekaniami... rozżalona była wielce.. bo przecież niczem nie winna... nie zwoływała go do chałupy.. sam przyszedł... a na zwieśnę co matka wypominają... to.. spotkał ją przy przełazie... mogła się to wyrwać takie mu smokowi?.. kiej ją tak ściebrało że... a potem, mogła się to ogarnąć przed nim?.. zawsze się z nią tak dzieje, że niech kto, a ostro spojrzy na nią albo i ściśnie mocno.. to się w niej wszystko trzęsie, moc ją odchodzi i tak myśli w główce, że już o niczem nie wie... co ona winowata? Skarżyła się cicho przez łzy, aż stara się udobruchała i jęła tkliwie ocierać jej twarz i oczy, a głaskać po główinie, a uspokajać..
- Cichoj Jaguś, nie płacz.. nie.. a to oczy ci się zaświecą kiej Kobolikowi i jak to pojdziesz do Borynów?
- Czas to już? Spytała po chwili spokojniejszym nieco.

— Juści, że pora, a przybierz się pięknie, ludzie tam będą a i sam Boryna uważa..
Podniosła się zaraz Jagna i poszła się ubierać
— Nie uwarzyć ci to mleka?
— Nie chce mi się całkiem jeść, matulu.
— Szymek, wygniewasz się pokrako a tam krowy o pusty żłób łbami trzęsą! Krzyknęła zezłoszczona, aż Szymek uciekł żeby czego nie oberwać.
— Widzi mi się — mówiła ciszej pomagając Jagusi się przyodziewać — że Kowal jest w zgodzie z Boryną. Spotkałam go, wiódł od starego, cielnego cielaka... Środa.. dobrze warte z piętnaście papierków.. ale może to i dobrze, że za wzgodą, bo Kowal pyskacz i na prawie się ma... Odstąpiła parę kroków i z lubością przyglądała się córce — Ale, tego złodzieja Kozła pono już wypuścili, trzeba znowu zamykać wszystko a pilnować..
— Pójdę już!
— Idź, a siedź do północka i grzej się tam z parobkami. Wybuchnęła resztą złości.
Jagna wyszła ale jeszcze z drogi słyszała starą jak krzyczała na Jędrzycha, że świnie niezagnane do chlewów a kury nocują po drzewach.
U Boryny już było sporo ludzi.
Ogień buzował się na kominie i rozświetlał ogromną izbę, aż lśniły się szyby od obrazów i kołysały się te światy cynione z kolorowych opłatków i na nitkach wiszące u czarnych okopconych belek; na środku izby leżała kupa czerwonej kapusty, a w półkole szeroko rozsiane, twarzami do ognia, siedziały rzędem dziewczyny i kilka kobiet starszych — obierały z liści kapustę a główki rzucali na rozesłaną pod oknem płachtę.

Jagna obmyła ręce przy kominie, ostawiła trepy pod oknem i siadła razem z drugimi przy starej Jagustynce i jęła się roboty.
Gwar się też w izbie podnosił, bo przybywało jeszcze kobiet i parobków paru, którzy wraz z drugimi znosili kapustę ze stodoły ale częściej kurzyli papierosy i szczerzyli zęby do dziewczyn a przekomarzali się społecznie. † 176/177
Józka, choć to i skrzat był jeszcze a rej wodziła i w robocie i w uśmiechach, bo starego niebyło, a Hanka, jak to [illegible], kiej ta ćma łaziła obo innych.
— Czerwono w izbie jakby od makowych kwiatów! Zawołał Antek, bo był właśnie do sieni beczki, a teraz ustawiał przed kominem, z boku nieco, szatkownicę.
— Bo, zestroiły się kiej na wesele!. Ozwała się któraś stara.
— A Jagna, to kiejby je kto w mleku wymył, tak wygląda. Zaczęła złośliwie Jagustynka
— Pośmiechajcie. Szepnęła czerwieniąc się.
— Cieszą się dziewczyny, bo już Mateusz przywandrował ze świata, zaraz się tu zacznią muzyki, a tańce, a wystawanie po sadach... ciągnęła stara.
— Całe lato go niebyło.
— Jakże, stwór stawiał we Woli.
— Najlepsi jucha, każdy nosem puszcza. Rzekł któryś z parobków.
— A do dziewuch jucha tak sposobny, że i trzech kawalerów czekać nie potrza..
— Jagustynka to nikomu dobrego słowa nie da. Zaczęła jakaś dziewczyna.
— Pilnuj się byś o tobie nie chciała co rzec...
— Wiecie, pono ten stary wędrownik już przyszedł?
— Będzie dzisiaj u nas. Zawołał Józia
— Bez całe trzy roki bywał we świecie.

– We świecie?.. Byłci u grobu Jezusowego!
– Hale! Widział go tam kto! Cygani jucha a głupie wierzą, tak samo i kowal opowiada o zamorskich krajach co ino w gazetach wyczyta...
– Nie gadajcie Jagustynko, sam dobrodziej przyświadczał do mojej matki.
– Prawda, że to Dominikowa jakby drugą chałupę ma na plebanii i zawżdy wiedzą czy księdza brzucho boli – lekująca przeciech..
Jagna zmilkła ale poczuła dziwną ochotę chocby tym uciąć ją iglnąc, bo cała izba zatrzęsła się śmiechem, tylko Ulisia Grzegorzowa, nachyliła się do Kłębowej i zapytała.
– Zkąd on jest?
– Zkąd? Ze świata szerokiego, a bo to kto wie! Nachyliła się [illegible] niej, wsparła główkę na dłoń i ocierała łzie i mówiła szybko, coraz głośniej, iże i drugie słuchały... – Co trzecią zimę przychodzi do Lipiec i historyje rozkłada kwiatek.. Rochem każe się przezywać choć mu ta pewnie i nie Roch.. Dziad jest i niedziad, kto go tam wie... ale pobożny człowiek i dobry.. ino mu tej obręczy nad głową a byłby rychło kiej te świętki na obrazach. Różańca ma na szyi obcierane o grób Jezusowy... obrazki dzieciom daje święte a jak niektórym, to i takie z królami co to z naszego narodu przódzi wychodzili!.. i książki pobożne ma i takie w których stoi wszystko i historyje różne o świecie.. czytał je przecież mojemu Walkowi to i ja, i mój słuchalim, inom przepomniała bo i wymiarkować ciężko było.. A pobożny taki, że z pół dnia przeklęczy drugi raz pod krzyżem albo i gdzie w polu, a do kościoła ino na msze chodzi. Dobrodziej zapraszał go do siebie, na plebanję, to mu rzekł.
– Z narodem mi ostać, nie na pokojach moje miejsca..

Miarkuje kej wszyscy, że nie musi być z chłopskiego stanu, choć mówi jak wszyscy, i nauczony jest ta pewno i jakiś, i z żydem gadał po niemiecku, a we dworze w Obrazgowej — to i pamiętała co była ta zdrowia w ciepłych krajach, tak rozmówił się po zagranicznemu… a od nikogo nic nie weźmie, tyle co te kapkę mleka i kromkę chleba a zato jeszcze dziękuje… powiedają… ale Kłębowa urwała znagła, bo dziewczyny buchnęły śmiechem i aż się pokładały. Śmieli się i chłopy, któren niósł w płachcie kapustę i potknięty przez którego przewalił się na środku jak długi aż się kapusta rozleciała po izbie, a on wstawał z tobołem i co się już zebrał na czworaki to padał znowu, bo go popychali. Jagna go obroniła i pomogła wstać ale tej pomstował, pomstował…

I zwolna rozmowa przeszła na co innego.

Wszystkie mówiły zrazu a gwar się czynił jakoby w ulu przed wyrojem, a śmiechy szły a przedpiewanie i uciecha taka, że ino oczy się iskrzyły i gęby się śmiały a robota szła chybcikiem ino trzaskały noże o głąby, a główki jako te kule raz wraz padały na płachtę aż dudniało i stoiły się wciąż większa kupa.

* Antek zaś szatkował nad wielkim cebrem przy kominie; rozgrzany był że zrzucił, że ostał ino w koszuli i w portkach pasiatych z wełniakowego sukna, rozczerwieniony się, kłaki mu się rozwichrzył i pot gęsto pokrył mu czoło; tęgo robił ale śmiał się ciągiem i przedpiewał, a taki był urodny, że Jagna jak w obraz poglądała, a i nie ona jedna tylko… a on przystawał jeno odetchnąć i wesołym wzrokiem tak patrzył na nię, aż spuszczała oczy i czerwieniła się. Ale nikt tego nie widział prócz Jagustynki, a i ta udawała że nie patrzy — jeno sobie wybowie układała jakto opowiedzieć na wsi.

– Maryśka pono zległa, wiecie to? zaczęła Kłębowa.

– Nie nowina to jej, co roku se to robi

– Baba jak koń, to jej dziecisko krew odciąga od głowy. Mruknęła Jagustynka i chciała dalej coś ostrem rzec ale ją zgromiły drugie, że to o takich rzeczach mówi przy dziewkach.

– Wiedzą one i o lepszych, nie bójta się. Teraz nastał czas taki że już i gęsiarce nie mówię o bocianie, bo się wnet roześmieje... nie tak to przódzi bywało, nie...

– No, wyście ta już wszystko wiedzieli jeszcze za bytem... rzekła poważnie stara Wawrzonowa – a to to nie baczę coście wyprawiali na pastwiskach...

– Kiedy baczycie to i osłowedy za siebie. Zakrzyczała ostro Jagustynka.

– Byłam już za chłopem... za Maciejem wtedy mi się... nie, za Michałem, tak, bo jeszcze Wawrzon był trzeci... mruczała nie mogąc utrafić.

– Ale, siedzita i nic nie wiecie co się stało! zawołała wpadająca zadyszana, Nastusia Gołębianka, Mateusza siostra

Podniosły się ciekawe zapytania ze wszystkich stron i wszystkie oczy zwróciły na nią.

– A to młynarzowi ukradli konie!

– Kiedy?

– Ze trzy pacierze temu. Dopiero co Jankiel mówił Mateuszowi

– Jankiel ta wie wszystko zaraz a może i niecoś przódzi..

– Takie konie, kiej te sarny!

– Ze stajni wyprowadzili. Parobek poszedł do młyna po obrok, wraca a tu już ni koni, ni uprzęży nie ma a pies w budzie struty, no!

– Na zimę idzie to się już różności zaczynają

– A bo kary na złodziejów niema żadnej. Małe dziw mu zrobią, wsadzą do kryminału, dadzą jeść, w cieple się wysiedzi, z kolegami wypraktykuje, że kiej go puszczą, to jeszcze lepszy jest złodziej bo nauczony.

– Żeby tak mnie konia wyprowadzili, a złapałbym, to bym zabił na miejscu jak psa wściekłego. – wykrzyknął jeden z parobków

– A bo ino tego by warta taki człowiek, bo ino głupie szukają sprawiedliwości we świecie. Każden ma prawo dochodzić swojej krzywdy

– Kłapie takiego i cała kupa chce zabić, to i kary nie ma, bo wszystkich toby karali?

– Bace... zrobili tak u nas... zaraz, za drugim chłopem już byłam... nie, widzi mi się, że jeszcze za Maciejem...

Ale te wywody przerwał Boryna wchodząc do izby.

– Jak się na ucho gadacie, że nie po drugiej stronie słowa. Słychać! – zawołał wesoło, czapkę zdjął i witał się ze wszystkiemi po kolei. Musiał mieć już wypitego, bo czerwony był jak ćwik, kapotę rozpuścił i głośno a dużo gadał, czego zwyczajnie nie było. Chciało mu się przysiąść do Jagusi ale się wagował, że tak na oczach wszystkich nijako, póki zmówiona z nim nie jest, to ino wesoło pogadywał i rad na nią patrzył, taka piękna dzisiaj była i wystrojona w chustkę od niego.

Zaraz też Witek z Kubą przynieśli długą ławę przed komin, Józia okryła ją czystem płótnem i zaczęła ustawiać miski i łyżki do jedzenia.

A Boryna przyniósł z komory pękatą, dobrze pogarncową butlę okowity i jął nią obchodzić wszystkich po kolei, i przypijać

Dziewczyny się nieco wzdragały aż który z parobków powiedział.
— Żałowały na okowitkę kiej kot na mleko ino się prosić dają.
— Som pijanice zakazane, ciągiem siedzi u Jankla to wypić ją wszyscy!
I piły, odwracały się, przysłaniały twarz ręką, resztę chlustały na ziemię, krzywiły się, mówiły „mocna" i oddawały kieliszek Borynie.
Tylko Jagna uparła się i nie piła mimo próśb i namawian.
— Nawet i smaku gorzałki nie znam i nie ciekawam. powiedziała.
— No, zostajcie ludzie wychowane, co jest do rzeczy! Zaprosił stary.
Obsiedli po ceregielach dokoła jak to obyczaj każe, Tawę i wolno jedli a raz wraz pogadywali.
Z misek dymiło parą i przysłoniła wszystkich jak chmurą.. z której tylko skrzybot łyżek, mlaskanie i to słowo niektóre słychać było
Jadło zwarzyli wybrane aż się dziwił nie jeden, bo i ziemniaki z grzybem były, i mięso gotowane z wieprzowiną jęczmienna kasza, i kapusta z grochem — niedelnie ugościli, po gospodarsku, a do tego Boryna ciągiem zapraszał a przymawiał, a znów ze swojej strony i Hanka pilnowały by każdę dołać i dołożyć...
Witek dorzucał suchych karpów na ogień że ino trzaskał wesoło, a Kuba przez ten czas co jedli, znosił kapustę i zsypywał na kupę a łakomie wciągał wszystkie zapachy, oblizywał się i wzdychał.
— Pół wozu tego zjadł z jedną albo i dwoma miseczkami kaszy... a tu juchy tak się jadło kocie wyjedzone, jeszcze gotowe człowiekowi nie zostawić ni okruszyny.
Myślał z markotnością i aż przyciągał pasa tak mu w kiszkach burczało z głodu
Ale rychło skończyli i podnieśli się z Bóg zapłać gospodarstwu.

- Niech wam pójdzie na zdrowie.

Rumor się uczynił, kto wychodził przewietrzyć się i kości przeciągnąć, kto zaś spojrzeć w niebo czy się nie przejaśnia, a jak parobki, to żeby na ganku pogzić się z dziewczynami.

A Kuba siadł na progu z miską na kolanach i jadł aż mu się uszy trzęsły nie zważając na Łapę, który przypominał się różnie, a widząc że nic wskóra wysunął się naganiać do psów co z ludźmi pociągały i gryzły się o kości wyrzucone przez Józię.

Wzięli się akuratnie z powrotem do roboty kiedy Roch stanął we drzwiach z pochwaleniem.

- Na wieki. Odwiedli chórem.

- Spieszcie się, póki jest na misie.. Spóźniliście się, ale jeszcze dla was będzie.. zawołał Boryna przysuwając mu stołek do komina.

- Mleka i chleba daj mi Józia, a wystarczy.

- Jest jeszcze i ździebko mięsa... Ozwała się nieśmiało Hanka

- Nie, Bóg zapłać, mięsa nie jadam.

Przymilkli z początku i przypatrywali mu się z żywą ciekawością, ale gdy przysiadł do jadła, rozmowy i śmiechy podniosły się na nowo.

Tylko Jagna milczała, poglądała często na wędrownika ze zdumieniem, że to taki człowiek jak wszyscy, a u grobu Jezusowego był, pół świata zeszedł i cudów tyla widział.. Jakto tam może być w tym świecie?.. Myślała - Gdzie to iść żeby tam zajść?.. Na około przecież inne wsie, a pola, a bory, a za niemi też wsie i pola i lasy.. Ze sto mil kawał iść abo i więcej. Myślała i miała dziwną ochotę się zapytać, ale gdzieby, to raz śmiała, wyśmiałby ją jeszcze..

~~Cieszę się, widząc wielkie, że jak dawno było słychać bicie serca i przy jakimś na~~
~~gamie~~

Chłopak Rafałów, co to był z wojska powrócił, przyniósł skrzypce, naskoczył i zaczął przegrywać pieśnie różne.

Cichość się uczyniła, że ino tylko czasami wzdychy i psy jazgotały przed domem a on grał wciąż i coraz to coś nowego, przebierał ino palcami i smykiem tak ciągał po strunach, że nuta jakby sama wychodziła.. pobożne pieśnie grał jakby od tego wędrownika któren ojców swego nie spominał, a potem znowu inne, światowe całkiem, te o Jasiu jedynym na wojence, co je to często dziewczyny zawodziły po polach... a tak żałośliwie wyciągał nutę z onych drewnach, aż mróz szedł po kościach wszystkim a Jagusi, że to czujna była na muzykę jak mało kto, łzy ciurkiem pociekły po twarzy

– A przestań, bo Jagusia płacze... zawołała Nastka

– Nie... to ino tak... rozbiera mnie zawdy granie... nie.. szeptała zawstydzona kryjąc twarz w zapaskę i śmiać się wysilała... Nie pomogło to nic, bo choć nie chciała a łzy same kapały z tej onej tęskliwości dziwnej. co jej była w sercu, niewiadomo czemu...

Ale chłopak grać nie przestał, tyle że teraz rznął od ucha siarczyste mazury a obertasy takie, aż i dziewczyny usiedzieć nie mogły, ino ściskały drygocące zwierały kolana a rzucały ramionami, parobki przytupywali raz wraz i pokrzykiwali wesoło – izba napełniła się wrzawą, a tupotem i śmiechami aż się szyby trzęsły.

Naraz pies jak skowyczeć wziemie tak przeraźliwie, zawył że umilkli wszyscy.

– Co się stało?!

Roch wyszedł się do sieni tak prędko, że omało nie wyprzewrócił o zastawnicę.

- I nic... chłopak który przyciął psu ogon drzwiami i bez to tak wył.. zawołał Antek wyjrzawszy do sieni.
- Pewnie to Witka robota. zauważył Boryna.
Ale, Witek by ta psa krzywdził, który zbiera po wsi wszelkie różne i leczy.. broniła gorąco Józia.
Roch powrócił mocno wzburzony, oswobodzić musiał psa, bo skowyt było słychać jeszcze gdzieś, w opłotkach.
- I psy stworzenie boskie i czuje krzywdę jako i człowiek... Pan Jezus miał też swojego pieska i nie dał nikomu krzywdzić.. powiedział poważnie.
- Pan Jezus by tam zaś miał pieska, jak wszyscy ludzie?... wątpiła Jagustynka
- A żebyście wiedzieli, to miał i Burkiem go przezywał...
- Hale.. no! Cie... odzywały się ciekawe głosy.
Roch milczał chwilę, a potem podniósł siwą głowę okoloną długiemi, równo nad czołem uciętemi włosami, utkwił ~~jasne~~ blade jakby wypłakane oczy w ogniu i ozwał się cicho, przebierając palcami ziarna różańca....

. . . . W owy czas daleki.—

Kiej Pan Jezus jeszcze po ziemi chodził i rządy nad narodem sam sprawował, stało się to, coć wam rzeknę...
Szedł se Pan Jezus na odpust do Mstowa, a drogi nikaj nie było ino piachy srogie a parzące, bo słońce przypiekało i gorąc był taki jak kieby przed burzą.. A cienia nikaj ni osłony.
Pan Jezus szedł z cierpliwością, bo do lasu był jeszcze kawał drogi, ale że już tych świętych nóżków nie czuł i utrudzenia i pić mu się okrutnie chciało-

- Matką jest, to jej przy prawo o dziecko stoi. [illegible]
- W kościele przesiaduje a chodzi na groszki kiej ten Żyd.
- Nie powiedaj leda co na ludzi, iżby ci ozór nie odjęło.

I tak, całe popołudnie zajmowała się wieś mówieniami, co i nie dziw, bo Borynowie byli rodowi, stary gospodarze, a Maciej, chociaż urzędu nijakiego nie sprawował a gromadzie przewodził. Jakie, nie ukazowy był a na odwiecznych książęcych rolach siedział, z dziada pradziada pierwszym we wsi był, rozum miał, bogactwo miał – że chcąc niechcąc a słuchali i uważali go wszyscy –

Jeno nikt z dzieci, ni kowal nawet, o mówieniach nie wiedział, bali się do nich z nowiną bieżyć, by ich w pierwszej złości czego nie oberwać.

Więc też w chałupie Borynów cicho było jeszcze; ciszej dzisiaj niźli zazwyczaj – że to deszcz był przestał padać i od rana przecierało się na niebie, to zaraz po śniadaniu Antek z Kubą i z kobietami pojechali do boru zbierać susz na opał i próbować, czy by się nie dało kołek ugrabić.

Stary pozostał w domu.

A już od samego rana był dziwnie przykry, dziwnie zeźlony, że ino szukał okazji na wygodę wywrzeć niepokój i złość, jakie go rozsadzały: Witka sprał, że to pod krowy słomy nie przyniósł i ciągały do półbotków wyjmuje, i Antkiem się pokłócił; Hankę wykrzyczał za chłopaka, który wybabykował przed dom i utytłał się w błocie; nawet na Józkę powstał, że to się długo gzdrała.. a konie czekały na nię.

A gdy wreszcie pozostał sam, i Jagustynka ino, która była ostała

– Matką jest, to jej przie prawo o dzięcko stoi! Kruciś Kdab

– Czarownica juchna i chytra ~~[illegible]~~ kiej żyd.

i wczoraj, żeby doglądnąć inwentarza, to już całkiem nie wiedział co robić ze sobą. Przypominał sobie ciągiem, co to mu Jambroży prawił o przyjęciu przez Dominikową, co rzekła Jagna, a mimo to, dufności w siebie nie miał i dziadowi więcej nie bardzo wierzył, że to mógł za ten kieliszek ocyganić ino. To łaził po izbie, oknem na pustą drogę wyglądał, albo zgoła i zgonku na Jagusiną chałupę niespokojnie spozierał — a zniecierpliwiony wyczekiwał kiej zmiłowania...
Co razy chciało mu się biegać do Wójta i pognać by posłów prędzej - ale ostał w domu, ~~[illegible]~~ bo ~~jeno~~ go powstrzymywały oczy Jagustynki, co za nim chodziły ciągiem; oczy zmrużone, a świecące ciekawością i naśmiechliwe...
— Czarownica jucha, wierci ślepiami kiej świderkiem! myślał.
A Jagustynka łaziła po chałupie i obejściu z przęślicą pod pachą i naglądała, boć nowo przystająca - przędła aż wrzeciono furkotało w powietrzu, nawijała nić i szła dalej, do gęsi, do świń - do obory, a Łapa włóczył się za nią senny i ociężały - nie odzywała się do starego, choć dobrze wiedziała co go tak rozbiera i markoci, co nim tak rzuca, że aż wziął się do zabijania kołów pod ścianą do ogacenia..
Przystawała ino przy nim raz, wraz aż w końcu rzekła.
— Nie idzie wama dzisiaj robota.
— A nie idzie, psiachmać, nie idzie.
— Sodoma tutaj będzie, mój Jezu, Sodoma! Myślała odchodząc — Dobrze stary robi że się żeni, dobrze! A to by mu dały taki wycug dzieci, jak mnie!

Całe dziesięć morgów pola jak złoto dałam i co?... Splunęła ze złością
Na wyrobki chodzę, na komornicę zeszłam!..
A stary, że to już wydzierżyć nie mógł, gruchnął siekierą o ziemię i krzyknął
— Na psa taka robota!
— Gryzie was coś na wnątrzu.
— A gryzie, gryzie...
Jagustynka przysiadła na przyzbie, wyciągnęła długą nić, zwinęła na wrzeciono i cicho, toczęc zabawą rzekła.
— Przecie nie macie się czego markocić ni turbować.
— Wiecie to.
— Nie bojeć się, Dominikowa mądra a Jagna też pomyślenie ma.
— Krzeklicie! zawołał radośnie i przysiadł wpodle.
— Jakże, znam oczy.
Milczeli długo, przetrzymując się wzajemnie.
— Na wesele mnie zaprosicie to wam takiego Chmiela zaśpiewam, że rychlej w dziewięć miesięcy chrzciny wyprawicie.. Zaczęła wolno i tonieśnie, ale widząc że stary się zachmurzył, dorzuciła innym tonem.
— Dobrze robicie Macieju, dobrze. Jak mój pomarł, żebym była sobie poszukała chłopa, to nie komornicą bym dzisiaj była, nie.. Głupia byłam, zapisałam dzieciom, na pyszną poszłam, grunt odpisałam i co?...
— Ja ta nie spiszę ni zagona! rzekł twardo.
— Mądry wy rozum, że tak mówicie, mądry! Po sądach się włóczyłam, to ino tę parę złotych com miała — poszły, a sprawiedliwości ze nie kupiłam...

i na starość na poniewierkę, na wyrobek! Żebyśta ścierwy pode płotem wyzdychały za moją ukrzywdzenie! Posłałam do nich w Niedzielę iżby choćia popatrzeć na chałupę, na ten sad coś go ano sama szczepiła — to synowa wywarła na mnie pysk, że na przeszpiegi przychodzi! Mój ty Jezu kochany! ja na przeszpiegi, na swój rodzony grunt przychodzę. Myślałam że kupiem padnę tak mnie żałość ścisnęła! Posłałam do Dobrodzieja, iżby ich choćiaż za to skarcił z ambony, to mi rzekł — że za te krzywdy Pan Jezus mnie wynagrodzi!... Juści, juści.. jak kto nie ma, dobra mu i Jezusowa łaska, dobra... ale zawdy wolałabym ja po gospodarsku na gronciu, w ciepłej izbie pod pierzyną się przespać, tłusto się podjeść i uciechę zażyć..

I jęła znowu gorzej wygadywać na wszystko, że Boryna powstał i poszedł na wieś do wójta, jako że i mrocznieć poczynało.

— Rychło idzieta, co?

— Te minuty, zaraz Szymon przyjdzie.

Jakoż i przyszedł i poszli już razem do karczmy aby się napić jaki kieliszek i wziąć arendarza na poczęstunek. Jambroży już tam był i wnet przystał do nich, ale niedługo pili, bo Maciej ich ponaglał —

— Poczekam na was tutaj, ospija, to zabierzcie kobiety i przychodźcie duchem — rzekł za niemi.

Szli wolno środkiem drogi aż błoto się otwierało i mrok już gęstniał i pokrywał świat szarym, smutnym przeźroczem w którym wieś cała zapadała, tylko gdzie niegdzie poprzez sine mroków wybłyskiwać światła chat i przy nawoływały w opłotkach, jak zwyczajnie, przed kolacją —

— Kumotrze? Ozwał się po chwili wójt.
— He?
— Widzi mi się, że Boryna wyprawi siedne weselisko.
— Wyprawi abo i nie wyprawi! Odrzekł szczędliwie, że to mruk był.
— Wyprawi! Wójt wama to mówi, to wierzcie. Ja już w tem. Wyszychtujemy takią z nich parę, że aż ha!
— Jno kłaczy poniesie, bo ogier widzi mi się, ma konopie w ogonie!
— Nie nasza to rzecz.
— Hale.. dzieci nas wyglinać będą..
— Będzie galanto, ja wójt, to wama mówię —
Weszli zaraz do chałupy Dominikowej.
W izbie było widno, zamieciono, czysto — spodziewali się ich przecież. Dziewosłęby pochwalili Boga, przywitali się kolejno ze wszystkiemi, bo i chłopaki siedzieli w izbie, usiedli na przysuniętych do komina stołkach i jęli pogadywać to o tem, to o owem.
— A to ziąb jakby już na mróz szło. Zaczął wójt ogrzewając ręce.
— Przeciech nie na zwiesnę idzie, to i niedziwota!
— Zwieźliście już kapustę, co?
— I.. ostało tam na kapuśnisku ździebko ale teraz niedojeździ. Odpowiadała stara spokojnie i chodziła oczami za Jagną, która ~~[illegible]~~ pod oknem motała na motowidło przędzę w pasmiki, a była dzisiaj tak urodna, że wójt, chłop młody jeszcze, spoglądał na nią łakomemi oczami — ale w końcu zaczął:

– Że to plucha, błocko i ćma, tośwa z Szymonem wstąpili do was po drodze; przyjęliście nas godnie, ugościli dobrem słowem – to chyba co stargujemy u was matko...
– I we świecie coś niecoś stargować można, ino poszukać trza..
– Prawdęście rzekli matko. jeno nie nam po szukaniu, bo u was widzi się nam najlepiej
– Targujcie. zawołała wesoło
– Jałowicę na ten przykład byśmy zatargowali.
– Ho, ho! droga stoi; nie na bylejakim postronku ją powiedzie!
– Ze srebła poświęconego mamy powrózek, a z takiego, to chocby i smok, a nie zerwie się... No, wiela matko? i jął wyciągać butelkę z kieszeni.
– Wiela? nie łacno to rzec! Młódka, na dziewiętnastą zwiesnę jej idzie, dobra i robotna, że mogłaby jeszcze roków parę postać u matki...
– Słomą to stanie – bo bez przychówku, słomą..
– Za drugiej to i przy matce oto nietrudno! szepnął Szymon.
Wójt się rozśmiał głośno, a stara błysnęła ino oczami i rzekła prędko.
– Szukajcie drugiej, moja może poczekać.
– Jużci że może, ale my nie najdziemy urodniejszej i lepszej mać!
– Rzekliście!...
– Ja wójt, to wama mówię, to wierzcie.. wyciągnął kieliszek, wytarł go połą kapoty. nalał w niego araku i rzekł poważnie: słuchajcie Dominikowa pilnie. co wama powiem; urzędnik jestem i moje słowo to nie ten ptaszek co się pisknie, fiaknie i tyleś go już widział! Szymon też wiadomo kto jest-

170

nie obiecywał żaden, ino gospodarz, ociec dzieciom i sołtys! Miarkujecie się ino jakie figury do was przyszły i zaraz, miarkujecie!

— Dyć wiem przecie i uważam.

— Mądrzejsza kobieta, to i to wiecie, że prędzej czy później a Jagna z domu iść musi, na swoje, tak już Pan Jezus postanowił, że ojce dzieci chowają dla świata nie dla siebie.

— Oj prawda, prawda, ty matko — „czekaj, czesz, strzeż,
„i jeszcze dopłać komu —
„żeby wziął z domu...”

— Tak już na świecie jest, to i nie zmieni. Chyba kapkę przepijemy matko?

— A bo ja wiem?.. Niewolić jej nie będę, coś Jagna odpijesz?..

— I... ja ta wiem... piszczała odwracając do okna zaczerwienioną twarz.

— Posłuszna! Pokorne ciele dwie matki ssie.. Dorzucił Szymon poważnie.

— W wasze ręce matko!

— Pijcie z Bogiem, aleście jeszcze nie rzekli kto taki? Powiedziała, że to nieobyczajnie, wiedzieć naprzód nic od dziewosłębów.

— Kto? A samci Boryna! wykrzyknął przechylając kieliszek.

— Stary! wdowiec! wykrzyknęła niby z zawodem

— Stary! Nie obrażajcie Pana Boga! Stary, a syn miał jeszcze niedawno odrzędło!

— Prawda, ino że to nie jego było.

— Jakiś gospodarz taki i zadawałby się z pierwszą lepszą! Pijcie matko..

— Wypić bym wypiła, ino że to wdowiec, a staremu prędzej zbiega do Abramka na piwo, to potem co?.. Dzieci macochę wyżeną i...

- Mówili Maciej, coby bez zapisu nie było. Mruknął Szymon
- Przed ślubem chyba!
+ Wszyscy zmilkli, dopiero po chwili wójt nalał nowy kieliszek i zwrócił się znów do Jagny.
- Napij się Jaguś, napij! Chłopa ci raźny kiej dąb, pania se będziesz 208/209
i gospodynia na wieś całą, no wstawaj, weź Jaguś, nie wstydaj się...
Wahała się, czerwieniła, odwracała do ściany ale w końcu, przysłoniwszy twarz zapaską, wypiła ździebko i wylała resztę na podłogę..
Wtedy kieliszek obszedł wszystkich po kolei. Stara podała chleb, sól, a w końcu i wędzonej, suchej kiełbasy na przegryzkę.
Przepili parę razy z rzędu, aż oczy pojaśniały wszystkim i języki się rozwiązały. Jagna ino uciekła do komory, bo niewiada czemu, chycił ją płacz, że aż przez ścianę słychać było chlipanie.
Stara chciała do niej biegnąć ale ją wójt zatrzymał.
- I cicho bądźcie, kiej ją od matki odsadzają... zwyczaj to rzecz. Nie we świat idzie, nie na drugą wieś, to się i nią jeszcze cieszyć będziecie... Nie będzie jej nijaka krzywda, to ja, wójt Wam mówię - wiecie..
- Juści.. inom se myślała zawdy, wnuczków się doczekam na pociechę...
- Nie turbujcie się, jeszcze się żniwa nie zaczną a już pierwszy będzie...
- Pan Jezus to tylko wie przódzi, nie my grzeszni! Zapiliśmy, prawda.. a mnie tak jakoś żałośliwie na sercu, kiej na pochówku..
- I nie dziwota, jedynaczka z domu, to Wam się już za nią cni... Jeszcze ździebko, na frasunek! Wiecie, pójdziem wszyscy do karczmy, bo mi już

ano wódki zbrakło, a i tam pan młody kiej na węglikach wyczekuje.
- W karczmie to zrękowiny będziemy odprawiać?
- Po staremu, jak ojce nasi robili; ja, wójt, wama to rzekłem - wiecie.
Kobiety się rzeczko przyodziały świąteczniej i wnet wychodziły.
- A chłopaki to ostaną? Siostrzyne zmówiny to i ta nich uciecha. Zauważył wójt, że to parobki żałosne miny mieli, i poglądali na matkę niespokojnie.
- Trudno dom na boskiej opatrzności ostawić.
- Przywołajcie ano Agatę od Kłębów, to przypilnuje.
- Agata już na żebry poszła. Zawołam się kogo po drodze. Chodźta Jędrzych i ty Szymek, a kapoty weźta; coż to, jak te dziadaki iść chceta... a niech się ino który spije... to popamięta. Krowy jeszcze nie obrządzone, świni tyż kartofli utłuc - baczcie tam.
- Baczym matulu, baczym! Szeptali trwożnie choć chłopy były pod powałę i rozrosłe jako te grusze na miedzach, ale słuchali się matki kiej wyrostki, bo ich żelazną ręką za łby trzymała, a jak było potrza, to chociaży i po stołku a do kudłów sięgła i po pyskach sprała, a posłuch musiał być i uważanie.
Poszli do karczmy.
Noc już była ciemna, że choć oko wykol, zwierająca w pluchy jesienne. Wiatr szedł górą i bił w czuby drzew, że ino się kolebały i aż kładły na płoty z szumem; staw huczał i tak się ciskał, że bryzgi rozbite w pianę padały na środek drogi, i nie rzadko chlustały na twarze idących.

W karczmie tej widno nie było, a wiater przez wygnieciona szybkę zawiewał aż ta lampka na sznurku za szynkwasem, kolebała się kiej kwiat złoty.

Boryna się do nich rzucił witać a całować, a obłapiać z gorącością, że to miarkował iż Jaguś, jakby już jego

– A przy Jezus niechby wam się robaki niewiaste, iżby ci się chudziaku nie cniło samemu. Amen! Bełkotał Jambroży, ale że to więcej godziny popijał, to juści się wszystko mu w nogach, mocny już nie był –

Zaraz też na szynkwasie Żyd postawił arak, i słodka, i esencję, a do tego śledzie, placek z szafranem i jakieś wymyślne kuliczki smakowne

– Jedzta, pijta ludzie kochane, braty rodzone, krześcijany wierne! Zapowiadał Jambroży – Miałem i ja dziewczę, ino już całkiem nie pomnę gdzie... widzi mi się, że we Francji... nie, w Italii to było, nie... alem tedy ostał sierotą... Powiedam wam, że co Starszy ukazał: Słuchaj!

– Pijcie no ludzie! Pietruszkę zacznijcie – przerwał mu Boryna, przyniósł za całą złotówkę karmelków i wtykał je Jagusi w garście – Nasze Jaguś, słodziuśkie są, nasze

– Hale... szkodujecie się... wzdragała się.

– Nie bój się... stać mnie na to, obaczysz sama... nasze... a jakby la ciebie i ptasiego mleka zabrakło... już ci ta u mnie krzywdy nijakiej nie będzie... i zaczął ją wpół brać a niewolić do picia i jadła, Jagna spokojnie wszystko przyjmowała, zimno i obojętnie, jakby to nie jej zmówiny były dzisiaj. Jeno tylko jedno pomyślała, czy stary te korale o których na jarmarku wspominał, da przed ślubem –

Gęsto pili przecie, jeden po drugim i na przekładankę wraz ze słodką, i wszyscy wraz mówili przecie, nawet Dominikowa podpiła się niezgorzej i mu wywodziła różności, mu prawiła, aż się wójt dziwował, że taka mądra kobieta jest.
Synowie się też popili, bo Jambroży, to wójt przepijali do nich gęsto i zachęcali.
– Pijta chłopaki, zmówiny to Jagny, pijta..
– Bacyta to, bacyta, razem odpowiadali i chcieli Jambroża wszystek całować.
Aż w końcu Dominikowa odciągnęła Borynę pod okno i zaraz do niego, prosto z mostu.
– Wasza Jagusia Macieju, wasza
– Bóg wam zapłać matko za córkę. Ułapił ją za szyję i całował
– Obiecaliście zapis zrobić, co?
– Zapis! A co po zapisie, co moje to i jej..
– Hale, żeby to śmiało oko miała przed pasierbami, żeby nie wyklinali!
– Wara im do mojego! Wszystko moje – to i Jagusine wszystko.
– Bóg wam zapłać ale, miarkujcie ino, że to stary człeczko jesteście a przecież i tak każden śmiertelny, bo to – „śmierć nie wybiera"
„dziś człowiek – jutro gnije;"
„– równo jej popadnie!..."
– Jeszczem krzepki, ze dwadzieścia roków strzymam – nie bójcie się!
– I niechbyta wilcy zjedli.
– Jakem rzekł, że mówcie czego chcecie! Chcecie bych wam zapisał

~~W karczmie też ciemno było i widać przez wybite szyby przewie-~~
~~ni ta lampka co się migła za szynkwasem, kołebała się na sznurku~~
~~ten motyl złoty.~~
~~Boryna się wnet do nich zwrócił widząc i Jambrożego, chociaż nie był~~
~~mocny w nogach.~~
~~Żyd też na~~ ~~stoł~~ szynkwasie ~~już postawił i araku, i szklanki, i asencje, a potem~~
~~śledzie, placek z szafranem, i jakieś wymyślne słodziutkie kukiełki~~

te trzy morgi koło Łukaszowych.

- Dobra i psu mucha kiej głodny - my ta niegłodne. Na Jagusię po ojcu wypadnie pięć i z morga lasu... zapiszcie i wy sześć! Te sześć morgów przy drodze, gdzieście to latoś mieli kartofle

- Najlepsze pole moje!

- Niby Jagusia to wybierek a nie najlepsza we wsi!

- Przeciech i tak, bez to i swatów posyłam, ale kosztuje się drogo sześć morgów, to kawał pola, całe gospodarstwo. Coby to dzieci powiedziały! Jak się drapać po głowie, bo go żałość ułapiła za serce; jakże tyla pola dać to, najlepszej ziemi!

- Mościewy, mądrzyście i wy, ale słuchać, to miarkujecie sami, że zapis to ino przezpieczność la dziewczyny. Przeciech tego gruntu póki żyjecie nikt wama nie odejmie i nie weźmie - a to, co jest Jagusine, co się jej po sprawiedliwości należy po ojcu, to zaraz na zwiesnę omętve się sprowadzi i już wasze, możecie se obsiewać... Miarkujecie że to nie krzywda wama i te sześć morgów zapiszecie.

- Juści, la Jagusi zapiszę...

- Kiedy?

- A choćby i jutro! Nie, w sobotę na zapowiedzi damy i zaraz pojedziemy do miasta. Co dam, raz mówię [illegible]

- Jaguś, chodź ino cichóśko, chodź! Zawołała na dziewczynę, której Wójt tam coś prawił a przypierał do szynkwasu, że śmiała się wgłos.

- A to ci Jaguś, Maciej zapisuje te sześć morgów przy drodze. Powiedziała

- Bóg Wam zapłać. Szepnęła wyciągając doń rękę.

— Napijcie się do Jagny tej [illegible]..
Napili się, Maciej ujął ją w pół i wiódł do gromady ale mu się wymknęła i poszła do braci z którymi rajcował a popijał Jambroży.
W karczmie gwar się podnosił coraz większy, i ludzi przybywało, bo jak kto tylko zasłyszawszy głosy, wstępował zajrzeć, a który zmógł by się przy tej okazji napić za darmo; nawet dziad ślepy, wodzony przez psa znalazł się i siedział na widnem miejscu, nasłuchiwał i raz wraz pacierz mówił w głos aż posłyszeli, i sama Dominikowa dała mu wódki, przegryźć, i parę dwojaków w garść.
Tego sołtys podpili, że już wszyscy razem gadali, a brali się w bary a obłapiali, a całowali i kużden drugiemu był bratem i przyjacielem, zwyczajnie, jak przy gęstym kieliszku.
Ino Żyd uwijał się cicho i stawiał coraz nowe kwarty i butelki z piwem a zapisywał kredą na drzwiach, co kto stawiał.
A Boryna był jakby odmłodniały zgoła, pił, częstował, zapraszał, gadał jak mało kto go kiedy słyszał, i ciągiem do Jagusi ciągnął i słodkości jej prawił, po gębusi głaskał, że to nieobyczajnie było, tak przy wszystkich ułapić ją za szyję i całować, choć go ta i ciągotki zielone brały, że zdzierżyć niemógł, to ino wpół ją chwytał a w ciemny kąt ciągnął.
Dominikowa wrychle się opatrzyła, że to czas już do domu iść, i jeno synów wołać coby się zbierali.
Ale Szymek już był spity, to ino na matczyne gadanie, pasa poprawił pięścią grzmotnął w stół i krzyknął

- Gospodarz jestem psiachmać.. Komu wola niech idzie... Chcę pić, to pił będę..
Żydzie gorzałki!
- Cichoj Szymek, cichojże, bo cię spierę! jęczał srodze Jędrzych, bo już mocno pijany i odciągał za kapotę brata.
- Do domu chłopaki, do domu! Syknęła Dominikowa groźnie.
- Gospodarz jestem! Chcę ostać to ostanę i gorzałkę pił będę... dosyć już matczynego panowania... a nie.. wygonię... psiachmać...
Ale stara grzmotnęła go ino w piersi aż się potoczył i opamiętał wnet, a Jędrzych nadział mu czapkę i wyprowadził na drogę, ale Szymka widać rozebrało powietrze, bo ino uszedł parę kroków, zatoczył się, chwycił płota i jął krzyczeć i mamrotać.
- Gospodarz jestem psiachmać... grunt mój.. moja wola robię... gorzałkę pił będę... Żydzie araku!.. a nie... wygonię...
- Szymek! Dobry Szymek chodźże do domu, matula idą! Jęczał Jędrzych i płakał rzewnemi łzami.
Wkrótce nadeszła stara z Jagną i zabrała synów z pod płota, bo się tam już byli zdziebko za łby brali i tarzali po błocie.
A w karczmie, po wyjściu kobiet, przecichło nieco, ludzie się porozchodzili zwolna, że ostał ino Boryna ze swatami, Jambroży i dziad zarówno ze wszystkiemi już pijany.
Jambroży był już nieprzytomny, stał na środku, podśpiewywał to opowiadał wojnę.
- Czarny był.. jak ten szatan był czarny... zmierzył do mnie...

– Napijcie się do niej, tej złotej – proponował matka.
Wrócili do sady już więcej powiększonej, bo jaki taki utyrowany głosy wstępował do karczmy, a którzy radzi by się przy tej okazji napić za zdrowie i wesele.
Tego już pili, dźwigało się ino z łbów a głosy się wznosiły i razem różne:
gadali wszyscy razem, a całowali się, a kłuli wpół, przepijali do siebie i kłócid

ale trafił mnie jeden... wraziłem mu bagnet w kałdun... zawrzeszczał
się ino chrapnął... pierwszy!... Stoimy... stoimy... a tu naczelnik wali...
Jezu Chryste! sam naczelnik!... Chłopaki... powiada... narodzie... powiada,
Szturmuj!... szturmuj... krzyknął ogromnym głosem, wyprostował się, jak
struna i zatoczył się wolno, aż mu drewniana noga stukała. – Pijcie do
mnie, Piotrze, pijcie... sierotam jest... bełkotał niewyraźnie i pod ściany,
ale się nie doczłapał, bo naraz się porwał i wyszedł z karczmy – tylko z ~~[illegible]~~ drogi,
dolatywał jego głos chrapliwy, śpiewający...

A do karczmy wszedł młynarz, ogromny chłop ubrany z miejska i czerwonej
twarzy, siwy i z małemi bystremi oczkami!

– Pijecie se gospodarze! Ho, ho, i wójt, i sołtys, i Boryna! wesele czy co!

– Nie co inna. Napijcie się z nami panie młynarzu – napijcie, zaprosił Boryna.

Przepili znów kolejką

– Niejeście trzy, powiem wam nowinę, że wytrzeźwiejecie!

Wytrzeszczyli na niego nieprzytomne oczy.

– A to, niema godziny jak dziedzic sprzedał porębę na Wilczych dołach!

– A bych pięć krótki! Sprzedał! naszą porębę sprzedał! krzyknął Boryna
i w zapamiętałości grzmotnął butelką o ziemię!

– Sprzedał! prawo jest i na dziedzica i na każdego, prawo jest.. bełkotał
pijany Szymon.

– Nieprawda! ja, wójt to wama mówię, że nieprawda, to wiecie!

– Sprzedał, ino że wszyscy wiedzą, jak Bóg na niebie, wiedzą! Wołał
Boryna i bił pięścią w stół...

Młynarz poszedł, a oni jeszcze długo wnet radzili i odgrażali się dworowi.

— — — — —

Bože
měj lítost
nademnou

IX

Zbiegło dni parę od zmówin Jagusinych.
Deszcze ustały, drogi obeschły i ściekły nieco, wody spłynęły, że ino po bruzdach, a gdzieniegdzie i po niżynach a łęgach, siwiły się mętne kałuże — kiej te oczy zapłakane...
Nadszedł dzień Zaduszny, szary, bezsłoneczny i martwy, że nawet wiatr nie przeganiał zeschłemi badylami, ni chwiał drzewami, co stały ciężko pochylone nad ziemią..
Bolesna, głucha cisza przygniotła świat.
A w Lipcach już od rana dzwony biły wolno a bezustannie — i żałosne, rozbolałe dźwięki pojękiwały po omglonych, pustych polach; ponurym głosem żałoby wołały w ten dzień smętny — w ten dzień, co wstał blady, spowity w mgły aż do tych dal zapadłych, aż do tych bezkresów ziemi i nieba siny, do nieprzejrzanej topieli podobny.
Od zórz wschodnich, co się jeszcze zarzyły blado, kieby za mgieł stygnące, i pod sinych chmur, ciągnęły płynące stada wron i kawek..
Szły wysoko, wysoko, że ledwie okiem rozeznać i ledwie uchem pochwycić te krzyki, żałosną wrzawę krakań, podobną do jęków nocy jesiennych..
A dzwony biły wciąż.
Ponury hymn rozlewał się ciężko w martwem, ogłuchłem powietrzu, opadał na pola jękami, huczał po wsiach i lasach żałością — płynął świstem całym, że ludzie, i pola, i wsie zdały się już być jednem — wielkiem sercem bijącem żałobą i skargą żałosną....

ptactwo płynęło wciąż, aż dziw i lęk ogarniał, bo szły coraz niżej, i coraz większemi stadami, aż niebo pokryło się jakby siatką rozwianą, a głuchy szum skrzydeł i krakań wzmagał się, potężniał i huczał niby burza nadciągająca...
Zataczały kręgi nad wsią, i jak kupa liści porwana przez wichurę, kołowały nad polami, opadały na lasy, wieszały się na nagich topolach, obsiadły lipy przy kościele, drzewa na cmentarzu, sady, kalenice chałup, płoty nawet... a zestraszone bezustannem biciem dzwonów, zerwały się i czarną chmurą leciały ku borom... a ostry, przenikliwy szum skrzydłów płynął za niemi

- Ciężka zima będzie! Mówili ludzie.

- Do lasów ciągną, ani chybi, śniegi wnet spadną.

I wychodzili przed chałupy coraz liczniej, bo jeszcze nigdy nie widziano tyle ptactwa razem - patrzano długo, ze smutkiem dziwnym, aż zniknęły w borach.
Patrzano, wzdychano ciężko, jaki taki znak krzyża położył na czole w obronie przed złem i jęli się przyodziewać do kościoła i wychodzić, bo dzwony wciąż jęczały głucho, a z drugich wsi już szli ludzie drogami, majaczyli wskroś mgieł, po ścieżkach i dróżkach czerwonemi kupami.
Smutek przejmujący padł na wszystkie dusze; jakaś dziwnie bolesna cichość omotała serca - cichość rozpamiętywań żałośliwych i wspominek o tych, co już byli odeszli tam, pod tę Bożą ziemię, pod te czarne pochylone krzyże...

- Mój ty Jezu kochany! Mój Jezu! wzdychali i podnosili oczy jak ta ziemia szare i topili oczy ~~[illegible]~~ strwożone w tajemnicy, i szli spokojnie składać ofiary i pacierze za umarłych -
Wieś cała była jakby zatopiona w cichej, żałośliwej ciszy - jeno jękliwe

proszalne śpiewania dziadów i pod kościołą, dochodziły czasami.
I u Borynów ciężej było niźli za zawżdy - choć i tam we środku siedziało piekło przytajone, gotowe za lada czem wybuchnąć..
Jakże, dzieci wiedziały już o wszystkiem.
A wczoraj, w Niedzielę wyszły pierwsze zapowiedzi starego z Jagusią..
W Sobotę to jeździli do miasta, gdzie i u rejenta zapisał Boryna te sześć morgów Jagusi... Wrócił późno i z twarzą podrapaną, bo się to był zdziebko napiły, to już na wozie chciał był Jagnę brać, ale tyla wziął, co pięścią a pazurami mu dały -
A w domu nikim nie mówił, choć i Antek ciągiem nasuwał mu się na oczy, ino zaraz legł spać jak stał, w butach i kożuchu.. aż rano Józia zaczęła marudzić na niego, że pierzynę błotem powalał
- Cichoj Józia, cichoj! Zdarzy się to i niejednemu, co nigdy gorzałki nie pija... Powiedział wesoło i zaraz od rana poszedł do Jagny i już tam do późna przesiedział, że próżno z obiadem i wieczerzą nań czekali...
I dzisiaj wstał późno, bo już dobrze po wschodzie, i w najlepszą kapotę się przyodział, buty świąteczne kazał se Witkowi sadłem wysmarować i nowe wiechetki ze słomy przynieść - Kuba go wygolił, a on się pasem okręcił, kapelusz nadział i niecierpliwie wyglądał przez okno na ganek, że to tam Hanka iskała chłopaka, a nie chciał się z nią widzieć, aż i dopatrzył, że weszła na chwilę do izby, bo się śniadanie dogotowywało, to się chyłkiem wysunął w opłotki - i tyla go już dnia tego widzieli...
Józka cały dzień popłakiwała i Hanka się nosiła jak ten płacz zamknięty!

Antek zaś gorzał w mękach coraz boleśniejszych i gorszych – ani jadł, ni spał, ni mógł się zająć czemkolwiek; był osłupiony jeszcze, nieprzytomny zgoła i niewiedzący co się z nim dzieje. Twarz mu poczerniała, że tylko oczy uczyniły się jeszcze większe i płonęły szkliście, jakby łzami skamieniałemi – zęby zaciskał żeby nie krzyczeć z bólu i nie wykrzyczeć, a chodził wciąż po izbie, to po obejściu, to wypadał niekiedy lub na drogę i powracał, padał wreszcie na ławę i siedział godzinami zapatrzony przed się i utopiony w bólu co w nim rósł jeszcze i potężniał.

Dom osłuchł, ino płakania w nim się rozlegały, jęki a westchnienia kiej po pogrzebie czyim. Drzwi stały wywarte na roścież do obór i chlewów, że inwentarz łaził po sadzie i zaglądał w okna, a nie miał go kto zagnać z powrotem, tyle, co stary Łapa naszczekiwał i zaganiał, ale na darmo, bo nie wradził.

W stajni na wyrku, Kuba czyścił strzelbę a Witek z podziwem a bojaźnią przyglądał się temu i wyzierał okienkiem żeby ich kto nie zeszedł..

– [illegible], iż Jezus! Myślałem iż to dziedzic albo borowy strzelają...

– Hale.. juści.. dawnom nie strzelał, tęgom nabił i gruchnęło kiej z harmaty..

– Toście zaraz z wieczora poszli?..

– Tak, poszedłem na dworskie, pod las, bo tam na oziminę lubią kozy wychodzić.. Ćma była łon, siedziałem długo... aż tu na świtaniu rogacz idzie... przyczaiłem się tak, że ino z pięć kroków był ode mnie.. nie strzelałem, bo ogromny był, kiej wół.. to myślę... nie uradzę.. puściłem go... a w jakiś pacierz albo dwa... łanie wyszły... wybrałem se najlepszą... inom przyłożył

jak nie huknie! Tęgom nabił, bo aż mi ramię spuchnęło tak dostałem przykładem... ale się zwaliła... ino kopała nogami... jeszczech nie... i pół garści siekańca dostała w bok... a beczała jucha... aże m się bojał by nie posłyszał borowy i dorzynać musiałem...

- W lesie ostała, co? pytał chłopak rozgorączkowany opowieścią

- Gdzie ostała to ostała, nie ci do tego, a powiedz komu choć to słowo, to obaczysz co ci zrobię...

- Kiej przykazujecie to i nie powiem; a Józi to można?

- Hale, cała wieś by zaraz wiedziała. Naści dziesiątkę, kup se co...

- Nie powiem i tak, ino mnie weźcie kiedy ze sobą, moi złoci, moi...

- Śniadanie! Krzyczała zprzed domu Józka

- Ino cicho bądź, wezmę cię, wezmę!

- I dacie mi choć ten razicek strzelnąć, dacie, co? błagał.

- Ale.. proch to nijaki głupi, że darmo dają..

- Mam pieniądze Kuba, mam, jeszcze w jarmarek dali mi gospodarz dwa złote, co ja chowam na wypominki, to...

- Dobrze, dobrze, nauczę cię. szepnął i pogładził chłopaka po głowie.. bo go tak ujął za serce tem skamleniem.

A w porze pacierzy po śniadaniu, już obaj szli do kościoła. Kuba kuśtykał raźno a Witek ostawał się nieco, bo mu markotno było, że to nie miał butów ino boso szedł I 224/225

- A czy to można do zakrystyi boso, co? pytał cicho

- Głupiś. Pan Jezus ci ta na buty czy je zważa, a nie na pacierze...

Pewnie że tak, ino w butach to zawżdy przystojniej... szeptał smutniej.

- Kupisz ty sobie jeszcze buty, kupisz..

- A kupię Kuba, kupię. Niech ino podrosnę na parobka, to zaraz pojadę do Warszawy i zgodzę się do koni... a w mieście to już wszyscy chodzą w butach. prawda Kuba?

- Prawda, prawda! bacysz to jeszcze?

- I jak! Pięć roków miałem kiej mnie Kozłowa przywiezła, to i bacę dobrze. juści.. ziąb był... piechtyśmy szli do maszyny... bacę... a tu tyla jarzącego światła... że jeszcze mi w oczach ćmi... bacę.. a dom kiele domu. i takie widziałem niczem kościół..

- Bajesz! rzucił wzgardliwie.

- Bacę dobrze Kuba... przeciem i dachów nie dojrzał.. a tyla powozów.. okna do samej ziemi... juści.. całe ściany widzi mi się ze szkła... i takie ciągiem dzwonienie...

- Kościołów tyla, to i nie dziwota!

- Pewnie, bo skądciby dzwonienia było.

Zamilkli, bo już weszli na cmentarz i jęli się przepychać przez gęsty tłum co był zaległ dookoła kościoła, że to we środku pomieścić się nie mogli. Dziady uczyniły ulicę od głównych drzwi, aż hen na drogę, a każden na swój sposób się wydzierał, a krzyczał, a modlił wpół i dopraszał wspomożenia, a jak niektóry, to i na skrzypkach pogrywali i pieśnie wyciągali jękliwemi głosami, a drugie na piszczałkach albo i harmonikach, że wrzask się rozlegał aż w uszach wierciło..

185

W zakrystyi też było narodu gęsto aż ciżba tłoczyła przy stole gdzie organista przyjmował na wypominki, a przy drugim, syn jego, Jaś, ten, co to był we szkołach

Kuba docisnął się pródzi i niemałą litanię imion podał organiście, który zapisywał i brał za każdą duszę po sześć groszy albo i po trzy jajka, jeśli kto niemiał gotowych pieniędzy.

Witek został nieco w tyle, że go to po bosych nogach srodze deptali, ale się pchał jak mógł, choć ta i nie jeden burknął, że to się to pod łokcie ciśnie a starszym zastępia, i pieniądze w garści ~~[illegible]~~ ściskał – dopiero, kiej go dopchnęli do stołu, wprost organisty zapomniał języka w gębie... Takie gospodarze sami, a gospodynie ino, cała wieś prawie, bo i młynarzowa w kapelusiu kiej dziedziczka, i kowalowie, i wójt ze swoją... a wszyscy patrzą w niego... to nasłuchują... przypominają sobie w głos dusze różne... i po dziesięć... i po dwadzieścia imion podają... za całe familje... za ojców, dziadów i pradziadów... A on co?... Wię to, kto jego mać? Kto ojciec? Wię?... Ma to dać za kogo?.... Jezu mój! Jezusienku.... to ino gębę szeroko otworzył i te oczy modre i stojał zmierzchawy jako ten głupi... i serce mu się skurczyło z bolenia, że ledwie zipał, ledwie mógł złapać tego dechu... i tak mu się okno zrobiło w dołku jakby już miał ostatnią parę puścić... ale nie dostojał tak, bo go odepchnęli wnet, pod kropielnicę, to się ino wsparł głowiną o onę misę cynowy, i łzy, nie pose, a łzy to mu jak te paciorki suły się z oczów... jak te różańce żałosne... i próżno je chciał powstrzymać... daremnie... i tak się trząsł wszystek, tak zygotał każdą kosteczką, że ani zębów zewrzeć nie mógł ani ustać prosto;

~~W zakrystyi też było niemało ludzi ni żebra towarzoły, bo sam organista przyjmował na wypominki.~~

~~Kuba ciągnął się przodem i długą litanię imion powiedział organiście.~~

~~Który zapisywał i brał z każdej duszy po sześć groszy, albo po dwa jajka jak kto nie miał gotowych pieniędzy; przy drugim stole zapisywał organiścin co to był we włosach z włożonym brzegiem~~

przysiadł w kącie, na podłodze od oczów ludzkich i płakał rzewnemi, krwawemi, sieroconemi łzami...

— Matulu! matulu! skamlało w nim coś i ostrzewało mu duszę do dna. A pomiarkować nie mógł ni rozeznać czemu to wszystkie ojców mają, matki mają.. a on jeden sierota, on jeden tylko, on jeden...

Jezu mój, Jezu!... Skrzypiał i zanosił się jako ten płaczek duszony, w widłach, dopiero Kuba go odnalazł i zawołał

— Witek, dałeś to już na wypominki?

Nie odrzekł, porwał się znagła, wytarł oczy i znowu jak iść do stołu... tak, i on poda imiona... co ta może wiedzieć iż niema nikogo... psia.. sierota to ta sierota... a znajda to znajda... Zadzierzysto powiódł oczami i pewnym głosem podał imiona: Józefy, Maryanny i Antoniego, te co mu pierwsze przyszły na pamięć...

Zapłacił, wziął resztę i poszedł z Kubą na kościół pomodlić się i wysłuchać jak ksiądz wypomni jego duszę...

Na środku kościoła stał katafalk z trumną na wierzchu, obstawiony jarzącemi światłami, a ksiądz z ambony wypominał długie, nieskończone litanie imion — a co przerwał, odpowiadał mu głośny pacierz mówiony przez wszystkich za te wszystkie umarłe w czyścu ostające

Witek przyklęknął przy Kubie, który wyciągnął zza nadrza koronkę i jął odmawiać wszystkie Zdrowaś i Wieczne jakie ksiądz nakazywał; i mówił i on pacierz jeden i drugi, ale zmorzyły go wkrótce monotonne głosy modlitw ciepło i wyczerpanie płaczem, to się zwiotko wsparł o biodro Kuby i zasnął..

- - - - - - - - - - - - - - - -

po południu na nieszpory, jako się odprawiały raz wraz w cmentarnej kaplicy, pociągnęli wszyscy od Boryny.
Szli Antkowie z dziećmi, szli Kowalowie, szła Jórna i Jagustynka, a na końcu kuśtykał Kuba i Witkiem — tych już tych świątków zażyć do cna.
Dzień już przymykał stare, zmęczone powieki — gasnął i zapadał zwolna w przesłaniające smutne topiele zmroków; wiatr się poruszył i przeciągał po polach i jękiem, stukał się między drzewinami a wionął surowym, przegniłym tchem jesieni.
Cicho było, tą dziwnie posępną cichością zaduszek; tłumy szły drogą w surowem milczeniu, ino tupot nóg się rozlegał głucho, ino te drzewa przydrożne chwiały się niespokojnie i cicho, a bolesny szum gałęzi drżał nad głowami, ino te granie i śpiewy proszalne dziadów tkały w powietrzu i opadały bez echa...
Przed wrótniami, a nawet i wśród mogił pod murem, stały rzędy bezsadołówek, a obok nich rozkładały się gromady dziadów.
A naród płynął całą drogą pod topolami ku cmentarzowi; w mroku co był już przytrząsł świat jakby popiołem szarym, błyskały światła świecek jakie nieśli niektórzy, i chwiały się żółte płomyki lampek maślanych, a każdy nim wszedł na cmentarz wyciągał z łobółka chleb, to ser, to ździebko słoniny albo kiełbasy, to motek przędzy lub też przygarść lnu wyczesanego, to grzybów wianek i składali to wszystko pobożnie w beczki — a były one księże, były organistowe, i Jambrożego, a nawet dziadowskie, a któren mnie niż kładł, to grosz jaki wciskał w wyciągnięte ręce dziadowskie.. i szeptał imiona zmarłych, za które prosił o pacierz...

22

Chór modłów, śpiewów, imion wypominanych, jękliwym rytmem unosił się wciąż nad wrótniami, a ludzie przechodzili — szli dalej, rozpraszali się wśród mogił, że wnet, niby robaczki świętojańskie jęły jaśnić i migotać światełka wskroś mroków i gąszczów drzew i krzów zczerniałych.
Głuchy, przyciszony trwożnie szept pacierzy, drgał w przyziemnej ciszy; czasem szloch bolesny zerwał się z mogił; czasem lament żałosny bił się w rozdzierających skargach wśród krzyżów; to jakiś nagły, krótki, nabrzmiały rozpaczą krzyk, jak piorun rozdzierał powietrze, albo cichy płacz dziecięce — sieroce płacze kwiliły w omroczonych gąszczach niby pisklęta...
A chwilami opadało na cmętarz głuche i ciężkie milczenie, że ino drzewa szumiały posępnie, a echa płaczów ludzkich, skarg, krzyków bolesnych, żałości, biły ku ~~[illegible]~~ niebu, w świat cały szły...
Ludzie snuli się wśród mogił cicho, szeptali lękliwie i trwożnie pogledali w dal omroczoną, niezgłębioną...
— Każdy umiera! Wzdychali ciężko z kamienną rezygnacją, i wlekli się dalej, przysiadali przy grobach ojców, mówili pacierze, to siedzieli cisi, zadumani, głusi na życie, głusi na śmierć, głusi na ból — jak te drzewa, i jak te drzewa kolebały się im dusze w sennem poczuciu trwogi...
— Jezus mój! Panie miłosierny, Maryjo! Rwało się im z dusz umęczonych zamętem, i podnosili twarze ~~[illegible]~~ zakrzepłe i, wyciosane jak ta ziemia święta, a oczy szare niby te kałuże co się jarzą i tliły w mrokach, więźli u krzyżów, i ruchami tych drzew rozchwianych jednakie, osuwali się na kolana, i do stóp Chrystusa rzucali serca strwożone i wybuchali świętym płaczem oddania się i rezygnacji.

Kuba i Witkiem chodzili razem z drugiemi, a gdy już do cna pociemniało, Kuba powlókł się wyżej, na stary cmentarz.

A tam, na zapadniętych grobach cicho było, pusto i mroczno — tam leżeli zapomniani o których i pamięć umarła dawno — jako i te dnie ich i czasy, i wszystko; tam jeno ptaki jakieś krzyczały żałosnego i smutnie szeleściły gęstwą, a gdzie niegdzie sterczał krzyż spróchniały — tam leżały pokotem rody całe, wsie całe, pokolenia całe — tam się już nikt nie modlił, nie płakał, lampek nie palił... wiatr jeno huczał głucho w gałęziach a rwał liście ostatnie i rzucał je www na zatracenie ostatnie... tam jeno głosy jakieś co nie były głosami, cienie co nie były cieniami tłukły się pomiędzy drzewa niby te ptaki ostępiałe, i jakby skamlały o zmiłowanie...

Kuba wyjął z zanadrza parę oszczędzonych skibek chleba, rwał je w okruszki przyklękał i rozrzucał po mogiłach

— Pożyw się duszo krześcijańska, co cię wspominam w wieczornym czasie, pożyw się pokutnico zbawienia, pożyw się! — szeptał z przejęciem.

— Wiernym to? pytał cicho Witek zatrwożonym głosem.

— Przeciech! Księdzy żywić nie da!... w beczki drugie kładą ale tym biedotom nic z tego... księżowe albo i dziadowskie świnie mają wyżerkę... a dusze pokutujące głód cierpią...

— Przyjdą to?...

— Nie bój się... wszystkie te co czyscowe męki cierpią... wszystkie... Pan Jezus odpuszcza je na ten dzień na ziemię, iżby swoich nawiedziły...

– Żeby swoich nawiedzały! powtórzył z drżeniem Witek

– Nie bojaj się głupi, tły dzisiaj nie ma przystępu, wypominki ano odganiają go, i te pacierze, i te światła... A i pan Jezus sam chodzi se dzisiaj po świecie i liczy gospodarzy kochany, co mu ta jeszcze dusz ostało, aż ocz wybierze wszystkie, wybierze... Dobrze bacę jak matula mówili, a i starsze ludzie przyświadczają...

– Pan Jezus se chodzi dzisiaj po świecie! szeptał Witek i oglądał się bacznie..

– Ale, zobaczysz ta... to ino świecą wiatry abo i zasię pokrzywdzone najbarziej...

– Patrzcie no, a tam się świeci i ludzie jakieś są. zawołał Witek ze strachem wskazując na środek mogił pod pod samym płotem..

– To leżą ci, co ich to w borze pobili... juści.. i moje pany tam leżą... i matka moja... juści...

Przedarli się przez gąszcz i przyklęknęli u mogił zapadłych i tak rozwianych że ledwie ślad ino został, ani krzyże ich znaczyły, ni drzewa jakie ocieniały, nic, jeno ten piach szczery, parę zeschłych badyli dziewanny i cisza, zapomnienie, śmierć...

Jambroży z Jagustynką i Kłąb stary klęczeli przy tych grobach umarłych; dwie lampki tliły się wciśnięte w piasek, ~~[illegible]~~ wiatr zawiewał, i kołysał światłami, i rwał słowa pacierzy i niósł je w one ciemny...

– Juści... matula moja tam leży... bacę.. szeptał Kuba cicho więcej do siebie niźli do Witka, który przykucnął przy nim, bo ziąb go przejmował na wskroś –

– A zwali ją Magdaleną... Ociec grunt swój mieli ale zgnili we dworze

za Francuza... wojacy ino jeździli ze starszym panem... gospodarz
był... a potem pomarli.. grunt stryje wzieni... a ja pańskie posiadki
pasałem... Juści, Magdalena było matce, a ojcu Piotr i na przezwisko
Socha, jako i mnie jest. A potem dziedzic dziedzic do koni mnie
wziął, bym wojacy po ojcu jeździł... to ino na polowania we świat,
do drugich panów jeździlim ciągiem... szczylałem i ja niegorzej... że
młodszy dziedzic strzelbę mi dali... a matka ino ze starszą panią sie-
działa we dworze... Dobrze bacę... i kiej wszystkie szły... wzieni i mnie.
Bez cały rok byłem... młodszy dziedzicowy do ciepłych krajów pojechał,
a mnie kazał staremu panu listy nieść... poszedłem... juści że ścigany
byłem kiej ten pies... kulas mi przestrzelili i zgoić sie nie chciał,
że to ciągiem ino na dworze, pod gołem niebem... a śniegi były po
pas i mrozy siarczyste... bacie... juści... przywlekłem się nocą...
szukam... Jezus Maryjo! Jakby mnie kto obuchem przez ciemię zdzielił!...
dworu nie ma, gumien nie ma... płotów nawet nie ostało... do
cna wszystko spalone... a stary pan i pani starsza, i Matula moja...
i ta Józefka co za pokojówkę była... pobite leżą na śmierć w ogrodzie!...
Jezu!-Jezu! bacie wszystko... juści... Maryjo!" Urwał cicho i łzy
jak ten groch sypały mu się tak gęsto po twarzy, że i już nie objaśniał...
pojękiwał ino cicho z żałości i utęsknienia, bo jak żywe tak mu to
wszystko stanęło przed oczami, a ból szarpał go, że struchlała była bez-
dotąd płakaniem...
Noc była coraz głębsza, wiatr mocniej targał drzewami, że drugie

warkocze brzóz zamiatały po mogiłach, a białe ich pnie niby w zgrzebne
śmiertelne przyodziane majaczyły w mrokach.. ludzie się rozchodzili..
światła gasły... śpiewy dziadów umilkły... milczenie wzrastało,
a pełne dziwnych szelestów i głosów przejmujących zapanowało wokół
mogił... Cmentarz jakby się napełniał cieniami... Szumem wichru..
gwarem mrowiących rzesz... gędźbą rozjęczanych a cichych głosów:
oceanem dziwnych szeptów, ruchem ciemności... błyskami trwogi, uk-
mem łkaniem... tajemnica pełna przerażenia i zamętu – aż stado
wron zerwało się z kaplicy i z krzyżków uciekały na pola, a psy w chałupach
dziwnie poczęły wyć długo, rozpaczliwie, żałośnie..
Wieś była cicha mimo święta, drogi były puste, karczma zamknięta,
gdzieniegdzie tylko, przez małe zapocone szybki błyskały światełka
i płynęły ciche śpiewy pobożnych, i głośne modlitwy odmawiane za
umarłych...
Z trwogą wyglądano się przed domy, z trwogą nasłuchiwano szumów drzew,
z trwogą patrzano w okna – czy nie stoją, nie jawią się ci, co w tym
tym byli porwani tęsknotą i wolą Bożą... czy nie idą na pokutnicę
na rozstajach... czy nie zaglądają przez szyby żałośnie...
A gdzieniegdzie, starym zwyczajem świętym, gospodynie wystawiały
na przyzby resztki wieczerzy, i żegnały się pobożnie i szeptały..
– Niech pożywią się dusze chrześcijańskie w czyścu ostające..
A wśród ciszy, smutku, rozpamiętywań, lęku przeszedł ten wieczór
Zaduszek...

~~wszystkie brzóz, rozsiadały po mogiłach, a kiedy niby ~~wkoło~~ u igła świadeki~~
~~przyodziane drzewa chwiały się w mrokach, niby mary.~~

Wieczór u Antków, siedział Roch, ten co wędrownik z ziemi świętej, i czytał a powiadał pobożne i święte historye.
Ludzi było dosyć, bo i Jambroży z Jagustynką i Mateusz przyszli, i Kuba i Witkiem, i Józia z Nastusią; nie było tylko starego Boryny, który to późną nocą siedział u Jaguzi.
Cicho było wieczór, że ino ten świerszcz za kominem skrzypiał, a trzaskały suche karpy na ogniu.
Siedzieli wszyscy na ławach przed kominem, ino Antek pod oknem.
A Roch przegarniał raz wraz kijaszkiem węgielki, i cichym głosem mówił:
- - - - -, nie strasno umierać, nie, bo -
„ Jako ci ptakowie, co pod zimę do ciepłych krajów ciągną, tak ci duszyczka strudzona do Jezusa pożąda...
„ Jako te drzewiny w nagości stojące ozwiesnię - Pan przyodziewa w listki zielone a kwiatuszki pachnące, tak ci dusza człowiecza do Jezusa idzie po radość, po wesele, po święte i one przyobleczenie wieczne -
„ Jako tę ziemię rodzącą a strudzoną ogarnie słońce - tak ci Pan przytuli duszyczkę każdą, że nie jej zimno, nie jej bolenie, nie jej śmierć samo...
„ Hej! bo ino płakanie jest na tej ziemicy, jeno żałość a turbacya!
„ I złość jako te osty, złe plewy i wzbory urasta!
„ A wszystko próżne jest i daremne - jako to próchno, jako te perzynki, co je na wodzie wiater wydmucha, a drugi je zasię przez ziemię -

X

..... na ambonie i każdemu osobno to mówię, ale wy jak te psy, tylko nastajecie jeden na drugiego, tylko... umilkł, bo wiatr resztę słów wepchnął mu do gardła że ksiądz się srodze zakaszlał, a Antek nic nie rzekł, szedł wpodle i wypatrywał w mrokach, pomiędzy drzewami.

Wiatr się podnosił coraz mocniejszy, przewalał się po drodze i tak bił w topole, i miotał niemi aż się przyginały z jękiem i szumiały rozsrożone.

- A mówiłem jużci, zaczął znowu ksiądz, - żeby sam kobyłę zaprowadził do stawu, to ją naprzód wypuszczał - no, i zapodziała się... Ślepa przecież, zalezie gdzie między płoty i jeszcze nogi połamie! Biadał ~~ksiądz~~ i bardzo troskliwie szukał, zaglądał za drzewo każde, wypatrywał po polach

- Przeciech zawdy sama chodziła...

- Zna dobrze drogę do stawu... przecież, nalał kto bądź wody do beczki, wykręcił tylko, a ona już sama trafiła na plebanję... Ale w dzień ją zaprzęgali... a dzisiaj Magda czy Walek, puścili ją już o zmierzchu.. Walek!.. krzyknął głośno, bo cień jakiś zamajaczył wśród topoli..

- Walka widziałem po naszej stronie, ale jeszcze przed mrokiem.

- Polazł ją szukać, rychło wróci. Klacz ma ze dwadzieścia roków, przy mnie się zestarzała... wysłużyła sobie łaskawy chleb... a przywiązana jak człowiek.. Mój Boże, żeby się jej co złego nie stało!

- Co jej ta będzie! mruknął Antek ze złością, bo jakże, przyszedł do dobrodzieja po radę, po użalenie się, to go ino skrzyczał i jeszcze zabrał żeby kobyły szukać! Jużci i kobyły szkoda, choć ta i ślepa i stara, ale zawdy stworzeni-

powinna być pierwszyzna!
– A ty się opamiętaj i nie powstaj – boć to ojciec rodzony! Słyszysz!
– Dobrze pamiętam! odparł ze złością.
– Grzech śmiertelny i obraza boska. A nie tem dobrego nie zwojuje sobie, któren w zapamiętałości rękę podnosi na ojców i przeciwi się przykazaniom Bożym. Masz rozum, toś ołem wiedzieć powinien.
– Sprawiedliwości chcę ino.
– A pomsty szukasz, co?
Antek nie wiedział co rzec na to
– A i to ci jeszcze powiem, że pokorne ciele dwie matki ssie –
– Wszyscy mi to powiedają... juści, ino tej pokorności mam już po grdykę, że więcej nie ścierpię! Choćby i bój, choćby i odpowiedzieć, ale że ojciec rodzony to już mu wolno wszystko – a dzieciom nie wolno dochodzić swojej krzywdy! Laboga, dałeś uwiązanie na świecie, że ino plunąć a iść gdzie oczy poniosą...
– A idź, kto cię trzyma! rzucił porywczo ksiądz
– Może i pójdę, bo co mi tutaj robić, co? – Sięgnął czapki, krzywo jakoś.
– Bajesz i tyle... Drudzy i jednego zagona nie mają a siedzą, pracują i jeszcze Panu Bogu dziękują. Wziąłbyś się do roboty, a nie wyrzekał jak baba. Zdrowyś jesteś, mocny, masz oto ręce zaciepić...
– Przeciech całe trzy morgi! rzucił urągliwie
– Żonę i dzieci masz, toś ołem pamiętać powinien
– Baczę ja dobrze, baczę... Mruknął przez zęby
Wyszli przed karczmę, świeciło się w oknach i jakieś głosy wydzierały się aż na drogę.

Reymont

— Co to, znowu pijatyka, co?
— Rekruty, te co ich do wojska latoś wzięli, piją se ta niekiedy... w Niedzielę ich pogonią w szyrachny świat, to się cieszą...
— Karczma prawie pełna! Szepnął Ksiądz przystając przy topoli, skąd było dobrze widać przez okno całe wnętrze ~~[illegible]~~ zapchane ludźmi
— Bo się zejść miały dziś i uradzić.. względem tego lasu, co go dziedzic sprzedał żydom na porębę...
— Przecież nie cały sprzedał, jeszcze tyle zostało!
— Póki z nami się nie ugodzi, to ani chojaczka ruszyć nie damy!
— Jakto?.. zapytał ~~[illegible]~~ rozgniewanym nieco głosem.
— A nie damy i tyla! Ociec chce się prawować, ale Kłąb i te, co z nim trzymają, powiedają, że sądu nie chcą, a rąbać nie pozwolą, i choćby cała wieś iść przyszło to pójdą, a i siekierami, i widłami jak wypędzą, a swojego nie dadzą... —
— Jezus Maryja! Żeby się bez bitki i jakiego nieszczęścia nie obyło!
— Pewnie! Jak się parę tłów dworskich siekierami rozwali, to zaraz będzie sprawiedliwość!
— Antek! Rozum ci się ze złości pomieszał czy co? Głupstwa pleciesz mój drogi!
Ale Antek już nie słuchał, zwrócił się nieco w bok i zginął w ciemnościach, a ksiądz poszedł spiesznie ku plebanii, bo usłyszał turkot kół i ciche, żałosne rżenie kobyły...
Antek zaś poszedł wzdłuż wsi, ku młynowi a drugą stroną stawu, iżby nie przechodzić koło chałupy Jagny! — Tak zadra tkwiła mu ona pod sercem, tak zła zadra, że jej nie wyciągnąć, ni uciec od niej — ni zmóc!...

241/242

A bystre światło biło z jej chałupy, jasne i wesołe jakieś... przystanął aby spojrzeć ino ten jeden razik, aby choć zakląć ze złości — ale go wnet coś poderwało z miejsca że pognał jako ten wicher, ni się obejrzał za się —

— Ojcowa ona już, ojcowa!

Do szwagra bieżał, do Kowala — rady i on nijakiej nie da, ale między ludźmi nieco posiedzi a nie tam, w chałupie ojcowej... Albo i ten ksiądz! Do sołtysa go będzie wyganiał! Hale, sam nic nie zrobi, ratunku nijakiego ni kurbacji żadnej nie ma to tylko mu drugich poganiać. Kobietę mu wypomniał i dzieci... baczy on ją dobrze, baczy! już mu dość obmierzły jej płakania, i te jej pokorne, i te jej psie, skamlące oczy... i gdyby nie ona!... żeby to był sam! Jezus mój! Jęknął ciężko i porwał go dziki, szalony gniew, że chciało mu się chycić kogo za gardziel, dusić, rozdzierać i bić... bić aż do śmierci!..

Ale kogo?... Nie, nie wiedział i złość ustąpiła nagle, jak była przyszła, a on patrzył pustym wzrokiem w noc i nasłuchiwał szamotań wichury, co się przewalała po sadach i tak ciągała drzewami aż kładły się na płoty i chlastały go gałęziami po twarzy... i wlókł się wolno, ociężale, że ledwie się mógł poruszać, bo na duszę jeno mu się zwalał zwory smutku, umęczenia, niemocy iż zgoła zapomniał gdzie idzie i czemu?...

— Ojcowa jest Jagna, ojcowa! Powtarzał raz po raz a coraz ciszej — jako ten pacierz, by go nie zapomnieć —

W kuźni czerwono było od ogniska, chłopak dymał miechem zapamiętale aż rozżarzone węgle warczały i buchały krwawym płomieniem; Kowal stał przy kowadle. Koszulę miał na ciele gołym, ręce nagie, skórzany fartuch, twarz usmoloną tak, że mu ino oczy świeciły się jako te węgliki, a kuł żelazo czerwone

mocno aż huczało i deszcz iskier rozpryskiwał się spod młota i z sykiem dogasał się w błotnistej ziemi

— A co? zapytał po chwili.

— I... cóżby zaś! odparł cicho Antek, wsparł się o wasąg, który do kilku stało do okucia i zapatrzył się w ogień.

Kowal też milczał, pracował tęgo, nagrzewał żelazo raz po raz i kuł, dzwonił że tylko młotem wywijało, to pomagał Michałkowi dymać miechem, gdy mocniejszego ognia było potrzeba, a [illegible] ukradkiem przyglądał się Antkowi i oczami chytrze łypał mu się spod rudemi wąsami

— Byłeś pono u dobrodzieja? no i co?

— A cóżby, nic. Wiedziałem tym to samo usłyszał.

— A chciałeś co innego? zaśmiał się ironicznie..

— Ksiądz przecie, uczony... mówił usprawiedliwiająco Antek..

— Uczony jak wiązka torba ale nie wie co dać komu....

Ale Antkowi już się odechciało sprzeciwiać. [illegible].

— Pójdźta do izby. rzekł po chwili.

— Idź — wójt wstąpi do mnie to tam pogadamy! A machorka jest na szafce zapal se..

Nie słyszał nawet, tylko wszedł do mieszkania co po drugiej stronie drogi było.

Siostra rozpalała ogień a najstarszy chłopak usiadł się na ławeczce przy stole.. przywitali się w milczeniu

— Uczy się to? zagadnął, bo chłopak sylabizował głośno i wodził zaskorupiałym palcem po literach.

– Już od kopania, panienka służyna mu pokazuje, bo mój czasu nie ma –
– Rocho też uczy już od wiosny w ojcowej izbie.
– Chciałam i ja sama znać trocha, ale mój nieda się do u ojca ... i się panienka więcej uczona bo w szkołach była we Warszawie..
– Pewnie, pewnie.. powiedział byle coś rzec
– A Jasiek taki sprytny do lementarza aż się panienka dziwuje.
– Jakże.. kowalowe nasienie przecie!... syn takiego mądrali...
– Przechwalam się, a on najlepiej powiada, że póki ociec żyją to zawdy zapis mogą odebrać...
– Juści, wyrwij wilkowi z gardła, wyrwij! Siedem morgów gruntu. To my u niego robiem za parobków prawie służym, a on obcej zapisuje, lada komu...
– Kłócił się, bałwan, a pomstował, a rady u ludzi szukał, a prawował. – to cię jeszcze z chałupy wygoni.. Mówiła cicho oglądając się na drzwi.
– Kto to powiedział? zawołał głośno zrywając się ze stołka
– Cichoj ino.. tak ludzie mówią, cichoj!.. szeptała lękliwie..
– Nie ustąpię, niech mnie próć może wyciepnie, do sądu pójdę, prawował się będę a nie ustąpię – krzyczał prawie.
– I głową muru nie przebijesz chłopie i trzymaj jako ten baran! powiedział kowal wchodząc do izby.
– To co robić? Mądre rady masz dla ludzi, to poradź...
– Zgodzić się ze starym nie wygrasz! zapalił fajkę i jął mu przekładać, tłumaczyć, gadał i tak długo, aż się Antek porwał i wykrzyknął.
– Tyś mnie trzymał!

- Za sprawiedliwością jestem.
- Dobrze ci za nią wypłacił!
- Jeśli zapłacił, to nie z twojej kieszeni.
- A z mojej przychowań, z mojej! Dobrodziej jucha z cudzego~~[illegible]~~. Dobrze już wiedzieć to ci nie pilno.
- Tylem miał co i ty!
- Hale, tyle... ~~[illegible]~~, a statki, a świnie, a krowy, a ile wziąłeś od ojca? Bacie dobre i te gęski, te prosiaki i kto tam zliczy! A ciołek co ci godał niedawno, to nic?
- Mogłeś i ty brać.
- Złodziej nie jestem ni ten cygan.
- A ja złodziejem jestem, ja?...
Przyskoczyli do siebie gotowi się chycić za orzydła ale opadli wnet, bo Antek rzekł ciszej —
- Nie mówię tego do ciebie.. Ale swojego nie dam choćbym miał skapieć..
- I... nie tyla ci tam o ten grunt idzie widzi mi się... rzucił drwiąco Boryna
- Już co?...
- Zatabeś za Jagną, to ci tęskno i markotno —
- Widziałeś?... Krzyknął ugodzony jakby nożem w serce..
- Są takie we wsi, co i widziały a nie raz...
- Żeby im ozorki poschły na stepie! Szeptał ~~Antek~~ ciszej, bo właśnie wójt wchodził do izby i witał się ze wszystkiemi, jako że wiedział o co się kłócą, to również jął bronić starego i usprawiedliwiać

- Dobrze was poił i wypasał kiełbasami, to i nie dziwota że go bronicie...
- Bele czego nie powiadaj, kiej wójt do cie mówi! krzyknął wyniośle.
- Wasze wójtostwo stoi u mnie tyle, co ten patyk złamany...
- Coś rzekł, co?
- Słyszeliście! a nie, tam rzeknę jeszcze takie słowo aż wam w pięty pójdzie...
- Rzeknij to słowo, rzeknij!
- A rzeknę - oto pijanica jesteście, i Judasz, i przeniewierca! a rzeknę, że zagromadzkie pieniądze bałujecie, i dobrzeście zato wzięli od dworu, że dziedzic sprzedał nasz las!.., a chcecie, to wam jeszcze co dołożę, ino że już tym kijaszkiem.. Wołał zapalczywie porywając za kij.
- Urzędnik jestem, miarkuj się Antek byś nie żałował.
- A w mojej chałupie ludzi nie następuj, bo tu nie karczma. Krzyczał Kowal zasłaniając sobą wójta, ale Antek już na nie nie zważał, bo obu zwymyślał jak psów, trzasnął drzwiami i wyszedł...
Ulżyło mu rzetelnie, spokojniejszy wrócił do domu, ino tem jednem markotny, że niepotrzebnie pokłócił się ze szwagrem.
- Teraz już wszyscy będą przeciwko mnie! Myślał nazajutrz rano przy śniadaniu, i ze zdumieniem zobaczył Kowala wchodzącego do izby.
Przywitali się jakby nigdy nic nie zaszło pomiędzy niemi..
A że Antek szedł do stodoły urznąć sieczki ~~[illegible]~~, Kowal poszedł za nim, przysiadł się na snopkach zrzuconych ze sąsieka do omłotu, i jął cicho mówić:
- Na psa wszystkie kłótnie i swarzenie? oto głupie słowo! Tom pierwszy przyszedł do ciebie i pierwszy wyciągam rękę do zgody..

Antek podał mu rękę, spojrzał podejrzliwie i mruknął:
— Juści, że ino to słowo, bom złości do was nie miał. Wójt mnie szczuł, bo co się będzie ujmował, nie jego sprawa to mu wara!
— To samo mu rzekłem, bo chciał biegać za tobą...
— Bić mnie... dałbym ja mu bitkę, jak jego pocistrowi, co jeszcze od żniw żebra se lekuje.. wykrzyknął i jął nakładać słomę do łaty.
— I tom mu przypomniał.. rzekł skromnie Kowal i uśmiechnął się chytrze.
— Jeszcze ja się z nim porachuję, popamięta mnie... figura jucha, urzędnik!..
— Ryła jest i tyla, poniechaj go. Umyśliłem coś ino i z tem do ciebie przychodzę... Trza robić tak... po południu przyjdzie tu moja to razem z nią idźcie do starego rozmówić się dokumentnie... Na nic tam złości i salenia się po kątach, trza wcale stanąć i prosto powiedzieć, co się ma.. Będzie dobrze albo i nie będzie, ale trza wszystko wyłożyć!..
— Co tu wygadać, kiej zapis zrobił!
— Złością z nim nie poredzi! Juści, że zapis zrobił, ale póki żyje, to zawdy go może odebrać - bardzo sobie, i dlatego nie potrza mu się przeciwić. Niech się żeni, niech ma swoją uciechę -
Antek przybladł na to przypomnienie i dreszcz poczuł w sobie aż rzucać przestał.
— Przeciw temu nie powstawaj wcale a przychwalaj i mów, że dobrze robi i zapis miał wolę, to zrobił.. niech ino rentę wam przyobieca - tobie i twojej, a przy świadkach! dodał chytrze..
— A Józka i Grzela? zapytał z niechęcią.
— Spłaci się ich! Bo to Grzela mało wybrał? Ady pono co miesiąc mu posyła!

do wojska. Mnie ino słuchaj, zrób jak ci radzę a nie stracisz. Moja w tem głowa że już tak pokieruję co wszystko będzie nasze...

- Jeszcze baran żyje a już kuśnierz kożuch na niem szyje..

- Mnie słuchaj.. Niech ino przyobieca przy świadkach, żeby ino było za co chycić pazurami... sąd jeszcze jest i sprawiedliwość, nie bój się. A jest już jedna zaczepka boć został grunt po twojej matce..

- Wielka parada, cztery morgi - na mnie i na twoją..

- Ale go nie dał tobie ni mojej! A tyle roków siedzi i zbiera! Zapłaci wam dobrze za to i z procentami... Przyłóżże raz jeszcze, staremu się w niczem nie przeciw, przymawiaj, przypadaj, na wesele idź, dobrego słowa nie żałuj, a obaczysz że go naszykujemy... A niech się dobierze, to sądy radę mu dadzą... Z Jagusią znaćże się dobrze... to i ona mogłaby ci pomóc coś niecoś.. jeno jej nie kuj oczem... ona jeszcze lepiej mogłaby starego na naszą stronę przechylić..., no zgoda?.. bo czas mi już iść..

- Zgoda! ino prędko idź, bym ci w pysk nie dał i za wrota nie wyciepnął! Syknął przez zęby.

- Co ty Antek? co ty? Bełkotał przestraszony, bo Antek puścił kosę i szedł ku niemu blady ze strasznemi oczami.

- Judasz ścierwa, złodziej! Wychlustywał ze siebie zapienioną nienawiścią słowa aż Kowal porwał się uciekł co tchu..

- Rozum mu się psuje, czy co?... Myślał już na drodze - Jakię, dobrą radę dałem... a ten?... kiej taki głupi, to niech idzie na wyrobek, niech go stary wygoni, pomogę jeszcze do tego.. a tak czy owak gruntu nie popuszczę..

Taki to ty! W pysk chciałeś mi dać, za włosy wyciągnąć, jam się chciał z tobą podzielić... że niej do brata przyszedłem z dobrem słowem! Taki to ty! Acha, samby chciał wszystko brać! Niedoczekanie twoje! Wyciągnąłeś ty ze mnie moje zamysły, to już cię jucho przyrychtuję jaż cię febra angielska potrzęsie! Rozsrożał się coraz bardziej, bo go wściekłość porywała, że Antek przejrzał jego zamysły i gotów jeszcze wydać przed starym. Tego się najwięcej obawiał!

- Trza temu zapobiedz! Zdecydował natychmiast i mimo obawy przed Antkiem, zawrócił z powrotem do Borynów.

- Jest gospodarz? Zapytał Witka, który w przód domu smagał kamieniami na gęsi pływające po stawie

- Ale, jest tam! Poszli przecie do młynarzów zapraszać na wesele..

- Wyjdę na przeciw, niby to się spotkamy! Pomyślał i poszedł ku młynowi ale po drodze wstąpił jeszcze do domu i przykazał żonie pięknie się przygodziać, dzieci zabrać i zaraz jak przedzwonią południe iść do Antków.

- Już on ci powie co robić!.. Nie sama nic rób i nie miarkuj, boś głupia, a ino jak będzie potrza, to beknij, ojcowe nogi obłap i proś... a słuchaj dobrze co ojciec powieda, i co Antek przeciw mówił będzie.. Z dobry pacierz ją nauczał a przez okno patrzał, czy ich na moście nie widać!

- Zajrzę do młyna, czy jagły zrobili? Zbrzydło mu się w domu czekać..

Ale szedł wolno, przystawał a medytował... - Juści, kto go ta wie, co zrobi?.. Skląć mnie a gotów zrobić, com radził... to i lepiej że kobieta przy tem będzie... a nie woli, pokłóci się... stary go wypędzi...

Jak abo i nie, a zawdy się cosik utrze la siebie... Zaśmiał się radośnie, zatarł ręce, nacisnął kaszkiet i zapiął kapotę, bo wietrzno było i ziąb przejmujący niósł od stawu.

– Przymrozek będzie albo i pluchy nowe. Szepnął przystając na moście i spoglądając po niebie.. Chmury gnały nisko, bure, ciężkie, jakby obłocone niby stada niemytych baranów. Staw pomrukiwał głucho, a czasami chlustał wodą o brzegi, na których gdzie niegdzie, wśród czarnych, pochylonych olch i wierzb rozczochranych, czerwieniły się kobiety pierące szmaty – Kijanki trzaskały zajadle po obu brzegach. Na drogach pusto było, gęsi tylko całemi stadami babrały w stęchłym błocie i po rowach zawalonych opadłemi liśćmi i śmie-ciami, i dzieci krzyczały przed domami. Koguty zaczęły piać po pło-tach jakby na zmianę...

– Na wszystkie prędzej się ich doczekam! Szepnął i poszedł na dół...

Antek zaś po odejściu kowala jął rznąć tak zajadle sieczkę, iż całkiem się zatra-cił w tej robocie i do południa narznął tyle, aż Kuba który przyjechał z lasu ~~[illegible]~~ wykrzyknął:

– Na cały tydzień będzie tego, no! Dziwował się tak głośno, aż Antek oprzytomniał, luta rzucił, przeciągnął się i poszedł do chałupy.

– Co będzie to będzie, a tera mi się z ojcem rozmówić trzeba! postanowił.. Cygan on jest i Judasz, ale może i dobrze radzi.. juści, musi on wiem co więcej.. Myślał o kowalu i zajrzał na drugą stronę, ojcową, i wnet się cofnął, bo tam siedziało ze dwadzieścioro dzieci i wszystkie razem a wydos sylabi-zowały.. Roch je nauczał i pilnie baczył by przez kiełów nie skoiły..

Chodził se dookoła nich wśród wrzawy, nasłuchiwał, czasem któremu poprawił, czasem pociągnął za ucho, czasem pogłaskał, a często gęsto i przysiadł i cierpliwie wykładał jako tam stoi, i pytał, a dzieciska hurmem jeno przez drugie zwady się odpowiadać, jako te indory, kiej je kto podrażni... o tak głośno, że i po drugiej stronie słychać było..
Hanka gotowała obiad i pogadywała z ojcem swoim, starym Byliną który rzadko zachodził, że to schorowany był i ledwie się już ruchał. Siedział pod oknem wsparty na kijaszku i wodził oczami po izbie, to na dzieci coby cicho się bawiły w kąt, to na Hankę spozierał... siwy był całkiem, wargi mu się trzęsły, i głos miał słaby jakby płaczący, że ledwie słychać było, a w piersiach mu ciągiem rzęziło..
- Jedliście śniadanie, co? pytała cicho.
- J... po prawdzie, to Weronka zabaczyła mi dać.. i nieprzypominałem się, nie...
- Weronka psy nawet głodzi, bo ta niczym to mnie potrzeba przychodzić! zawołała ~~[illegible]~~, bo i prawdą gniewała się ze starszą siostrą jeszcze od zeszłej zimy, że ta zaraz po śmierci matki pobrała wszystko co pozostało i oddać nie chciała, to się i prawie niewidywały -
- Bo się u nich nie przelewa, nie... bronił cicho... Stach robi u organisty to i tam poje i jeszcze ćwierćwierci zboża za dzień bierze... a w chałupie tyle gąb... że i tych ziemniaków nie starczy... prawda... że dwie krowy mają i mleko jest... że masło i sery do miasta nosi i ten grosz jaki zbierze... ale zabaczy często dać jeść... jużci nie dziwota... dzieci tyla... abo i wełniaki dzieciom trza... i przędzie i haruje jak ten wół... a bo to dużo mi trza?... jeno w porę... i co dnia... to...

— A to się do nas przenieście na zimę, kiej wam u tej suki tak źle...
— Żeć się nie skarżę, nie narzekam ino.. ino.. głos mu się załamał nagle..
— Popaślibyście gęsi, to dzieci przypilnowali...
— Wszystkobym robił Hanuś, wszystko — szeptał cichutko
— Wszakci jest miejsca, to się łóżko wstawi, byście ciepło mieli..
— Chybaj i w oborze, i przy koniach sprawiłbym, byle u ciebie Hanuś, byle już nie wracać! byle.. zachłysnął się aż tą prośbą błagalną i łzy jęły mu kapać i spadały z przeczerwienionych oczów... ~~[illegible]~~ — Zabrała mi pierzynę, bo powiada że dzieci nie mają pod czem spać... juści.. tobym sam je brał do siebie... ale kożuszysko się wytarło i nie me nie grzeje.. i tak mi zimno... ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ... a po mojej stronie zimno..., ani kej szczapy drzewa nie pozwoli... i każdą łyżkę strawy wypomina... na żebry wygania... a kiej mocy nie mam, to ciekiem się ledwie włóczę...
— Zaboga! a czemuście do nas nie przyszli, nie rzekli że wam tak źle...
— Jakże... córka.. on dobry człowiek, ale ciężko na wyrobku.. jakże..
— Psiachmać jedna! wzięła pół gruntu, i pół chałupy, i wszystko i taki wam daje wycug! Do sądu trza iść! Przecie mieli wam dawać, i opał, i to co wam do ubioru potrzeba, a my te dwanaście rubli w rok... bośmy przecie i długi spłacili.. co, nie tak?..
— Prawda! Niedobrzy jesteście, prawda.. ale i te parę złotych co od Was, a com je chował sobie na pochówek, wycyganiła ode mnie.. a potem i dać było potrza... jakże.. dziecko... Umilkł i siedział cichy, skulony, podobny ~~[illegible]~~ podobniej wielki do człowieka —
do kupy starych wiórów.

~~Chodził ze słonkiem wiele, słuchał, czasem którego poznawał, czasem pociągnął za ucho, czasem pogłaskał, a często gęsto i przygarnął [illegible] i cierpliwie a tego wypatrzył jako taki stoi u nas elementem... a większą odpowiedzialn[illegible] -cem jako że innych [illegible]~~

A po obiedzie, skoro jeno Kowalowa weszła z dziećmi i jęła się witać, zabrał węzełek jaki mu Hanka narządziła pokryjomu i wyniósł się po cichu... Boryna na obiad nie przyszedł.

Kowalowa postanowiła zatem czekać choćby i do nocy; Hanka narządzała pod oknem warsztat i przeciągała paciny wątek przez płochy, i tylko niekiedy, choć i z nieśmiałością rzuciła jakieś słowo w rozmowę jaką wiódł Antek z siostrą; wywodził swoje żale wczoraj mu już i przysłuchiwała, ale niedługo to trwało, bo wpadła Jagustynka i jakby od niechcenia mówiła.

– Od organistów lecę, do prania mnie zawołały... Dopiero co, był sam Maciej i Jagusia prosić na wesele. Pójdą! Juści, swój do swego, bogacz do bogacza ciągnie... i księdza też prosili...

– I dobrodzieja prosili?... wykrzyknęła Hanka

– A cóż to, święty czy co? Prosili, powiedział że może przyjdzie... La czego nie, bo to młoducha nie uroda, a to to jadła dobrego i napitku nie nażyczą! Myszanie się też obiecali i reszta. Ho, ho, takiego wesela jak Lipce, Lipcami, jeszcze nie było! Wiem dobrze, bo z Jewką od młynarzów kucharzować będziemy! Wieprza już im Jambrożyna sprawił, kiełbasy robią... przerwała nagle, bo nikt nie mówił i nie pytał, siedzieli chmurni, więc przyjrzała się wszystkim uważnie i wykrzyknęła.

– Zanosi się u was na coś!

– Zanosi się czy nie zanosi, a wam nic do tego! powiedziała tak ostro Kowalowa, aż Jagustynka się obraziła i poszła na drugą stronę, do Józi, która ustawiała ławki i stołki, bo dzieci się już poschodziły, a Roch poleciał na wieś –

~~Potem zjadł obiad i wziąwszy, co mu Hanka dała po cichu w węzełku, wyniósł się spiesznie, bez pożegnania, skorzystawszy z tego, że Kowalowa przyszła z dzie-ćmi i rumor się robił w izbie.~~

– Pewnie, że ojciec nie będzie sobie żałował niczego. Szepnęła Kowalowa rozża-lonym głosem.

– Nie ma to na co! – powiedziała Hanka i zmilkła zestrachana, bo Antek spojrzał na nię groźnie. Siedzieli więc prawie w milczeniu i czekali; czasem któreś niecoś rzekło i znowu zapadało głuche, ciężkie, niepokojące milczenie...

Przed chałupą i na ganku, Witek z dziećmi wyprawiał takie brewerye aż Łapa szczekał i chałupa się trzęsła.

– Gotowych pieniędzy musi mieć też dosyć, ciągle coś sprzedaje a wyda na co?..

Antek machnął ręką na to zjadliwe słowo i wyszedł z izby na powietrze, chciało mu się wchodu pić, i niepokój w nim rósł i strach, sam nie wiedział czego... Czekał na ojca, niecierpliwił się, a rad był wyjść, iż każdego dnia długo nie widać! – „Nie o grunt tobie idzie, a o Jagusię!" Przypomniał sobie, co mu Kowal wczoraj powiedział.. Złe jak ten pies! wykrzyknął zapamiętale. Wziął się do ograbania ściany od podwórza, Witek nosił mu snopki z kupy, a on ubijał, i zakładał rzędami ale mu rzecz dziadzi i raz wraz zaprzestawał roboty, wspierał się o ścianę i przy nagle, bo li stał i dumał patrzył na staw, hań, na Jagusiną chałupę... Nie, niemiłowanie w nim wezbrało inne aż, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ i tęsknica ucisk, ~~[illegible]~~ nienawistnych. Aż się zdziwił temu! Suka, ścierwa. rzucili jej grunt do i przyda! Myślał. X Ale przyszły nań wspomnienia, wspólnych schadzek, sznych pól nagich, stodół, i sadów zaśmiechanych i pokochanych i obsiadły mu serce, ścisnęły mu męki, wyjących przed oczami... aż pot pokrył mu czoło, oczy rozbłysły i dreszcz go przechodził wszerz, ogniście!.. Hej. a tam w sadzie.. a wtedy w lesie.. a kiedy razem powracali z miasta....

Jaguś! aż się zatoczył, bo naraz ujrzał tuż przed sobą jej twarz rozpłomienioną, dyszącą namiętnie, jej modre oczy i te usta pełne i tak czerwone a tak bliskie, że ich dechnienia czuł, buchnęły na niego żarem... i ten głos cichy, urywany, nabrzmiały miłością i ogniem... Jantoś! Jantoś! przychylała się do niego blisko, że czuł ją całą przy sobie, jej piersi, jej ramiona, jej nogi – aż oczy przecierał i otrząsał przez się te mary mamiące i cała jego złość zawiędła, ~~[illegible]~~, skapywała mu z serca niby te lody ze strzech gdy je wiosenne słonce przygrzeje, a budziło się znowu kochanie i wynosiło swój łeb kolczasty tęsknotą bolesną, taką straszną tęsknotą, że choćby głową tłuc o ściany i rycząc w niebogłosy! 256/257

– Niechby to siarczyste zatraciły! wykrzyknął wpół przytomniejąc i bystro spojrzał na Witka, czy ten się czego nie domyśla... ~~[illegible]~~?... Od trzech tygodni żył w gorączce, w oczekiwaniu jakiegoś cudu, a nie nie mógł poredzić, nie umiał się przeciwić! A bo to raz przychodziły mu szalone myśli i postanowienia, że biegł aby się z nią zobaczyć, bo to jedną noc za dniem i daremnie, warował jak ten pies przed jej chałupą! Nie wyszła, unikała go, na drodze już z dala omijała!..

Nie, to nie! I coraz bardziej zawziął się przeciwko niej i przeciw wszystkiemu! Ojcowa ona, to i obca, to i ta przybłęda, ten pies bezpański ten złodziej co grunt, dobro najświętsze im wydziera – a to, kijem go choćby i na śmierć zakatrupię! A bo to raz chciało mu się ojcu do oczów stanąć i rzec: nie ważcie się [illegible], bo ona moja! Ale strach podnosił mu włosy na głowie, co powie ociec, co ludzie, co wieś?..

A przecież Jagusia będzie jego macochą, matką jakby — jakże to może być, jakże?.. toć grzech musi być, grzech! aż bał się myśleć o tem, bo mu serce zamierało ze zgrozy niewytłumaczonej, zobaczył przed jakąś straszną karą Boską.. I nie rzec o tem nikomu, ino to nosić w sobie, jako zarzewie — jako ten ogień żywy który aż do kości przepala... nie na ludzką to moc, nie...
A tu już za tydzień ślub...
— Gospodarz idą! zawołał Witek prędko, aż Antek drgnął ze strachu.
Mroczało już na świecie.
Zmierzch spadł się na wieś, jako ten popiół niewystudzony i od nikłego zarzewia rudawy jeszcze — zorze dogasały, blade od tych chmur burych, które wiatr gnał i zwalał na zachód, i stoiły w górze przeogromne. Zimno się robiło, ziemia krzepła, powietrze czyniło się ostre, rzeźwe jak przed przymrozkiem i takie słuchliwe, że tupot i ryki pędzonego do wodopoju inwentarza, słychać było głośniej, a skrzypy wrótni i skrzeczenia żórawi, rozmowy, krzyki ludzi, szczekania, leciały wyraźniej przez staw; gdzie niegdzie błyskały już światła w oknach i padały na wodę długie, porwane, drgające odblaski świetliste... a i zza lasów wydźwigał się zwolna ogromny, czerwony księżyc w pełni, aż łuny biły nad nim ~~[illegible]~~ jakby ~~[illegible]~~ pożar buchał gdzieś, w głębi lasów.—
Boryna przyodział się w zwyczajne szmaty i poszedł w podwórze, do gospodarstwa; zajrzał do koni, do krów, do stodoły a nawet i do prosiaków, skrzyczał Kubę za coś i Witka również że cielęta wypuścił z gródki i łaziły pomiędzy krowami, a gdy wrócił do izby swojej, już tam czekali nań wszyscy...

Milczeli ino wszystkie oczy potoczyły się na niego i opadły wnet, bo przystanął na środku, obejrzał się po nich i zapytał drwiąco.

— Wszystkie! Jak na sąd jaki!

— Nie na sąd ino do was przyszlim z proszeniem. Zaczęła nieśmiało Kowalowa.

— A czemuż to i twój nie przyszedł?..

— Robotę ma pilną, to ostał w domu...

— Juści.. robota.. juści... Uśmiechnął się domyślnie, zmiótł kapotę i jął zzuwać buty, a oni milczeli nie wiedząc od czego zacząć. Kowalowa chrząkała i przyciszała dzieci, bo się brały do baranowania, Hanka siedziała na progu i karmiła chłopaka, a latała niespokojnemi oczami po twarzy Antka, który siedział pod oknem i układał sobie w głowie co ma rzec, a drżał cały z wzruszenia i niecierpliwości, jedna Józia spokojnie obierała ziemniaki pod kominem, przyrzucała drewek na ogień i ciekawie poglądała po wszystkich, bo nie wymiarkowała nic czemu zaczem przyszli...

— Czego chcecie, mówcie? zawołał ostro stary niecierpliwiony milczeniem.

— Ano.. mów Antek... ato przyszlim wedle tego zapisu... jąkała Kowalowa.

— Zapis zrobiłem u stołu w Niedzielę.. to wam wiadomo!

— To wiemy ale nie o to przyszlim.

— A czego?

— Zapisaliście całe sześć morgów!

— Bom tak chciał, a zechcę, to wtem mig zapiszę wszystko...

— Jak wszystko będzie Wasze, to zapiszecie! powiedział Antek..

— A czyjeż to jest, co? czyje?..

- Dziedzińskie, nasze.
- Głupiś jak ten baran! Grunt jest mój i zrobię z nim, co mi się spodoba!
- Zrobicie abo i nie zrobicie...
- Ty mi wzbronisz, ty!
- A ja, a my wszyscy, a nie to sądy wam wzbronią. Krzyknął, bo już niemógł ścierpieć i buchnął zapamiętałością...
- Sądami mi wygrażasz, co? Sądami! Zamknij ty gębę póki dobry, bo pożałujesz! Krzyczał przystępując do niego z pięściami!
- A ukrzywdzić się nie damy! wrzasnęła Hanka podnosząc się na nogi.
- A ty czego? Trzy morgi piachu wniosła i starą płachtę, a będzie tu pysk wywierała!
- Wyście i tyla Antkowi nie dali, nawet tych jego morgów matczynych, a robimy wam za parobków, jak te woły.
- Spłacicie za to z siedmiu morgów
- A odrobiamy wam za dwadzieścia abo i więcej!
- Jak wam krzywda, idźcie se poszukać lepiej!
- Nie pójdziem szukać, bo tu jest nasze! Nasze po dziadach pradziadach! zawołał mocno Antek.

Stary uderzył go oczami i nic nie odrzekł, przysiadł przed ogień i pogrzebaczem tak dziabał głownie aż iskry się sypały - zły był, ognie chodziły mu po twarzy ~~[illegible]~~ i włosy mu ciągiem spadały na oczy, jarzące jak u wilka.. ale się jeszcze hamował, choć ledwie i zdzierżał...
Długie milczenie zaległo izbę, że jno te przysapki a dychania prędkie słychać było

Hanka szlochała cicho i pochuśtywała dziecko bo skamlało przez sen.
– My nie przeciwimy ożenkowi, chcecie, to się żeńcie...
– A przeciwcie się, dbam o to swoje..
– Jno zapis odbierzcie. Dorzuciła przez łzy Hanka
– Zamilkniesz ty, a to przychwaci jakoby ciągiem jak ta osika! Kuej i tamten może pozrzucać wszystkie, aż się głowami potoczy na izbę.
– A wy się miarkujcie, bo to nie dziewka wasza, cobyście gębę wywierali na nią!
– To czemu pyskuje!
– Ma prawo, bo się o swoje upomina! Wrzasnął coraz mocniej Antek
– Chcecie to i zapiszcie, ale to co ostało, odpiszcie na nas. Zaczęła cicho Kowalowa
– Zapis! Widzim ją, mojem się tu będzie dzieliła. Nie bójta się, na wycug do was nie pójdę.. Rzekłem!
– A my nie ustąpim. Sprawiedliwości chcemy.
– Jak wezmę kija, to wam dam sprawiedliwość!
– Spróbujcie ino tknąć, a pewnikiem wiecie, nie strzymacie..
I jeli się już kłócić, przekrzykiwać to się z pięściami, grozić, i pięściami wstój wykrzykiwać a wypominać wszystkie swoje żale i krzywdy! Antek tak się zapamiętał i tak rozsrożył, że wściekłość buchała z niego, i raz wraz już starego chwytał to za ramię, to za orzydle i gotów był bić... ale stary jeszcze się hamował, nie chciał bijatyki, odpychał Antka, na obelgi srodze odpowiadał, bych ino dziwowiska la sąsiadów i wsi całej nie czynić! W izbie podniósł się taki krzyk i zamęt, i płacz, bo obie kobiety płakały i wołały na przemian, a i dzieci też wrzeszczały, że Kuba z Witkiem przylecieli i podsłuchiwali pod okna.. ale nie rozeznać

nie rozeznali, bo wszyscy razem krzyczeli, aż w końcu ~~[illegible]~~, kiej im już zabrakło głosu, ~~[illegible]~~ chrypieli ino samemi przekleństwami a pogróżkami.
Hanka ryknęła nowym, ogromnym płaczem, wsparła się o okap i jęła zalewanym przez łzy, nieprzytomnym głosem krzyczeć..
- Na żebry ino nam iść, w świat.. O mój Jezus, mój Jezus!.. a jak te woły harowali my i dnie... i noce.. za parobków.. a teraz co?... a pan Bóg was pokarze za krzywdę naszą!... pokarze... Całe sześć morgów zapisali... a te sprzęty po matce... te paciorki.. to wszystko... i za kogo to, za kogo?.. za takiej świni, a żeby pod płotem zdechła za krzywdę naszą, a żeby cię robaki roztoczyły ty wywłoko ty łahudro jedna, ty!... ~~[illegible]~~.
- Co powiedziała?.. zawrzasnął stary przyskakując do niej..
- Że łahudra i włóka jest, to i cała wieś wie o tem.. cały świat!... cały...
- Wara ci od niej, bo ci ten pysk ostatni rozbiję, wara.. i już nią targał - ale już Antek przyskoczył i osłonił i również krzyczeć począł...
- I ja przyświadczę, że łahudra jest, włóka, ja! a sprawdzi się kto chciał, ja!.. wołał nieprzytomnie i gadał, co mu ślina na język przyniesła, nie skończył, bo stary rozwścieklony już teraz do ostatka, trzasnął go tak w pysk, aż rzucił łbem na oszkloną szafkę i razem zwalił się na ziemię... Porwał się rychło oszalały i runął na ojca!
Rzucili się na siebie jak te dwa psy wściekłe, chycili się za piersi i wodzili po izbie, miotali ~~[illegible]~~ i ~~[illegible]~~ bili sobą o łóżka, o skrzynie, o ściany aż łby trzaskały. Krzyk się podniósł nieopisany, kobiety chciały ich rozerwać ~~[illegible]~~ ale przewalili się na ziemię i tak ~~krzycząc~~ zwarci ~~[illegible]~~ całą wściekłością i krzykami tarzali się, gnietli, dusili...

~~Hanka wysłuchała cicho i chwiała się na rękach jakiego by płakać zaczęła.~~

~~— My nie przeciwimy się wcale — chcecie się żenić, to się żeńcie.~~

~~— A przeciwcie się, dużo o to stoję..~~

~~— Ino zapis odbierzcie. Dorzuciła twardo Hanka!~~

~~— Pójdziemy, jagody jak ta świta. Krzyknął i prędko zniknął przytrzaskując drzwiami~~

~~— Albo i zapis dajcie, kiej chcecie, a to wszystko odpiszcie na nas. Podjęła znowu~~

Całe szczęście, że rychło rozerwali ich sąsiedzi i odgrodzili od siebie..
Antka przenieśli na drugą stronę i zlewali wodą, tak osłabł z umęczenia
i upływu krwi, bo twarz miał porozcinaną o szyby.
Staremu nic się nie stało; spencer miał nieco podarty i twarz podrapaną
i aż siną z wściekłości.. Sklął i powyganiał ludzi, co się byli zlecieli, drzwi
od sieni zamknął i siadł przed kominem...
Ale uspokoić się nie mógł, bo mu ciągiem wracało przypomnienie tego, co
na Jagnę wypowiedział, a żgało go to w serce jakby nożem..
- Nie daruję ja ci tego psie jeden, nie daruję! przysięgał sobie w duszy -
jakie, na Jagusię.. ale wnet przychodziło mu do głowy i to, co niejeden już
słyszał o niej, co dawniej pogadywali a naco nie zwracał uwagi. Gorąco mu
się robiło i dziwnie durno, i dziwnie markotno - Nieprawda, pleciuchy i
zazdrośniki, wiadomo! wykrzyknął wybos, ale coraz więcej mu się przypominało
gadań ludzkich - jakie, rodzony syn powieda, to nie moja szczekać! Ścierwo!.
Ale żarły go te wspominki jak ogień....
A gdy Józia posprzątała ślady bitwy, a wkońcu choć i późno, podała kolację,
spróbował ziemniaków i położył łyżkę, nie mógł przełknąć
- Zasypałeś obroki koniom? zapytał Kuby.
- Przecież..
- Gdzie Witek?
- Do Jambroża poleciał, by Antkowi głowę opatrzył i gęba mu spuchła kiej
garnek! Dostał i wyniósł się zaraz, bo księżyc zwiesił, a on się dzisiaj wybie-
rał pod las na polowanie...- Juchy, chleb ich rozpiera, to się biją - mruczał,

Stary też poszedł na wieś, nie wstąpił jednak do Jagny choć się w oknach świeciło, zawrócił spod samych drzwi i polazł drogą ku młynowi.
Noc była chłodna, wyiskrzona, przymrozek ścinał ziemię, księżyc wisiał wysoko i tak jasno świecił, że cały staw roziskrzył się jakby żywem srebrem, drzewa rzucały długie czarne cienie na drogi puste. Późno już było, światła w domach gasły, ino bielone ściany występowały mocniej ze sadów nagich, cisza i noc ogarniała wieś całą, jeden młyn turkotał tylko wciąż i ~~[illegible]~~ woda bełkotała monotonnie... Maciej chodził to tą, to drugą stroną stawu i nie wiedział co zrobić począć, nie uspokoił się, gdzietam, jeszcze barzej rozbierała go złość i nienawiść, aż i do karczmy poszedł, posłał po wójta i prawie do północka pił, ale rozumu nie zalał... jeno jedno postanowienie powziął.
Rano narajutku, skoro jeno wstał, zajrzał na drugą stronę, Antek leżał jeszcze, i twarz miał obwiązaną zakrwawioną szmatą - ale się uniósł nieco.
- Wynoś ta mi się z chałupy, żeby mi śladu po was nie ostało krzyknął - Chcesz wojny, chcesz sądu idź do sądu, skarż mnie, dochodź swojego. Coś swoje posiadł - na zwiesnę obiecuję, a teraz wynoś się! Niech moje oczy was nie widzą! Słyszysz! Ryknął, bo Antek patrzył ale nic nie odpowiadał.. i zaczął się wolno ubierać..
- Żeby mi do południa już was nie było! Zawołał jeszcze z sieni.
Antek i nato ~~[illegible]~~ nie odrzekł, jakby nic nie słyszał..
- Józka, zawołaj Kubę, niech zaprzęgnie kobyłę do wozu i wywiezie ich gdzie chcą!..
- Hale. Kiej Kubie cosik jest, leży na wyrku i jęczy ino a powiada, że całkiem wstać nie może, tak go ten kulas urżnięty boli...

— Hale, noga go boli! Wałkoń jeden, odpoczywać se chce... i sam zajął się rannym obrządkiem gospodarskim.
Ale Kuba rozchorował na prawdę, nie powiadał co mu jest choć go się Boryna pytał, ino ię chory, a tak jęczał, tak stękał aż konie rżały, przychodziły do ~~[illegible]~~ worka i obwąchiwały mu twarz i lizały, a Witek co raz to nosił mu wodę wiadeczkiem i ukradkiem, prał w kątku jakieś szmaty skrwawione..
Stary nie spostrzegł tego, bo przypilnowywał by się Antkowie wynosili.
I wynosili się!
Bez krzyków już, bez kłótni, bez sprzeciwiań pakowali się, wynosili statki, wiązali toboły; Hanka aż mdlała z radości, to Antek ją woła, krzyczał i poganiał, byle już rychlej zejść z ojcowskich oczów, byle prędzej...
Pożyczył konia od Kłęba, bo ojcowego nie chciał, i przewoził rzeczy do Hanczynego ojca, na koniec wsi, na karczmie jadąc..
Ze wsi przyszło paru gospodarzy i z Rochem na czele i chcieli zgodę czynić między niemi, ale ni syn ni ojciec, mówić sobie o tem nie dali..
— Popróbuje jak to wolność smakuje i swój chleb. Odpowiedział stary.
Antek nic nie odrzekł na namowy, ino podniósł pięść i tak zaklął strasznie, tak pogroził, aż Roch zbladł i cofnął się do kobiet, które nie dość zdrowo w opłotkach i wyrzekaniu, żeby to Hance pomóc, a głośnie by nie wyszło żałować i przysłowie a urzekać!...
Gdy zabeczana Józia podawała obiad Ojcu i Rochowi, już tamci z ostatniemi rzeczami, i dziećmi wyjeżdżali z opłotków na drogę... Antek nie się obejrzał na chałupę, przeżegnał się ino, westchnął ciężko, smagnął konia, i postępował

bo Kłębiaczo był nałożony i siedział jak martwy, a blady jak ten papier, oczy mu gorzały zaciekłością i zęby zgrzytały kiej we febrze... ale ni jednego słowa nie rzekł, choć Hanka tak wyła ryczała i zawodziła, że ludzie z domów wychodzili i jakby procesja ich odprowadzali..

A u starego obiad jedli w ponurem milczeniu.

Stary Łapa szczekał na ganku, biegł za wozem, powracał znowu i wył.. Witek go nawoływał, ale pies nie słuchał, biegał po sadzie, obwąchiwał podwórze, wpadał do izby Antków, obleciał ją parę razy, wypadł do sieni, szczekał, skomlił.. połasił się do Józi, i znowu latał jak oszalały, to przysiadał na sadzie i ogłupiałym wzrokiem patrzył, aż wreszcie zerwał się, skulił ogon pod się i poleciał za Antkami...

- A to i Łapa poszedł za niemi..

- Wróci, wygłodzi się to wróci, nie bój się Józia. Mówił miękko stary -
Nie bucz głupia! wyporządź tamtą stronę, Rocho będą mieli mieszkanie..
Zawołaj Jagustynki to ci pomoże.. i zajmij się gospodarstwem, gospodynią teraz jesteś, na twojej głowie wszystko.. no nie bucz, nie... ujął jej głowę i głaskał a przyciskał do piersi, a hołubił...

- Pojadę do miasta to ci trzewiki kupię -

- Kupicie tatulu? naprawdę kupicie?.

- Kupię ci, kupię ci i co więcej ino dobrą córką bądź, o gospodarstwie pamiętaj.

- To i na kaftan mi kupcie, taki jak ma Nastusia Gołębianka

- Kupię ci córko, kupię..

- I wstążek ino ~~drugich~~ dobrych ~~niemiecka~~ na [illegible] -

- Co ci ino potrza mów, a wszystko mieć będziesz, wszystko.

— — — — — — —

XI

— Śpisz to Jaguś?..

— A bo to mogę. Ocknęłam na rozświcie i ciągiem mi w głowie stoi, że już dzisiaj wesele.. aż wierzyć trudno.

— Markotno ci córko, co? przygadała ciszej.. z lękliwą natkliwą uwagą..

— Coby zaś markotno miało być! ino, że od was trzeba mi iść, na swoje..

Stara nie odrzekła, ścisnęło w sobie żal jakiś nagły ją przewiercił i wstała z pościeli. przyodziała się byle jak i poszła do stajni budzić chłopaków. Zaspali nieco, po wczorajszych rozplecinach, bo dzień już był duży, świt zatopił ziemię w srebrzystej połyskliwej szronami topieli, zorze się rozpalały na wschodzie - jakoby kto niebo posypał żarzewiem.

Dominikowa uwinęła się w sieni i cicho chodziła po izbie, ale raz wraz poglądała na Jagusię, której ledwie głowę można było rozeznać na pościeli wśród mroków jakie jeszcze zalegały izbę..

— Leż se córko, leż!... ostatni to raz u matki, ostatni! Wzdychała z czułością i z tym bolesnym żalem, co w niej powstawał. Nie chciało się jej wierzyć, że to naprawdę już dzisiaj, aż sobie przypominać musiała wszystko... Tak sama chciała tego, a teraz, a teraz... jakby strach ją owładnął i tak zatarł, aż skurczyła się z bólu i przysiadła na łóżku... Boryna dobry człowiek, uszanuje i krzywdy jej nie zrobi... a Jaguś poprowadzi go gdzie ino zechce, bo stary świata bożego poza nią nie widzi.. Nie, niczego się bojała, nie ono... pozierały! Juści.. przecz było Antków wyganiać? teraz dopiero będą szczekać a pomsty szukać!... A nie wygnać, to Antek byłby pod bokiem i obraza boska, albo i co gorsze, wyszłoby z tego!... Jezus mój!

A rady już nie ma.. Zapowiedzi wyszły.. wieprzek zabity, weselni sproszeni.. tyle już zrobione... i [illegible]... Nie, nie! Co będzie to będzie, a krzywdy nijakiej póki żyję, zrobić jej nie dam!.. Poszeptała stanowczo i poszła znowu do chłopaków krzyczeć, czemu nie wstają –

Za powrotem, chciała ostro ~~[illegible]~~ wołać na Jagnę, żeby wstawała, ale Jagna usnęła, równy, cichy oddech szedł od łóżka, a ją znowu chwyciły ~~[illegible]~~ wątpliwości różniste i jak te jastrzębie obsiadły się pazurami serca i darły i ~~[illegible]~~ kręciły strachem a troską! Uklękła pod oknem, wpiła rozmodlone, rozpalone oczy w świt i modliła się długo i gorąco, ~~[illegible]~~ wstała mocna i na wszystko gotowa!

– Jaguś! wstań no córko, czas już! Ewka zaraz przyjdzie do gotowania, a tyla jeszcze roboty!

– Pogoda to? pytała podnosząc ociężałą głowę z pościeli.

– Ijaka, aż się kokoszy na świecie od przymrozku! Słonka zaraz wzejdzie..

Jagna ubierała się szybko. Stara jej pomagała i długo oczami rozważała, bo wkońcu rzekła.

– A przykażę ci jeszcze, com już nieraz mówiła.. Borynę trza uważać.. dobry on człowiek... i bele komu się nie zadawać... bych cię znowu na ozory nie wzięli.. ludzie to jak te psy... ino gryźć! Słuchasz to córko?..

— Słucham, słucham, ale tak mówicie, jakbym swojego rozumu nie miała...

— Rady dobrej nikomu nie za wiele... Bacz i to, by z Borynom nie hurr-burr, a miękko, a dobrocią. Starszy wdy uważniejszy jest na to niźli młodziak.. a kto wie, może ci gruntu przypisać abo gotowy grosz za parobka wziąć!

— Nie stoję tam o to. Burknęła niecierpliwiona.

— Boś młoda i głupia.. Obejrzyj się ino po wsi, po ludziach, to obaczysz o co się kłócą, o co prawują, o co zabiegają! O grunt jeno, o dobro! Dobrze by ci to było bez tego zagona, bez tej swojej ziemi, co? Nie do wyrobku i biedowania Pan Jezus cię stworzył, wiesz! A przecie cała wieś zabiegała — ta ciebie ino Jaguś! A teraz ostanie niej ten palec samo, jedno?..

— A bo to chłopaki idą w swat, ostają..

— Tyla mi z nich pociechy, co z wczorajszego dnia! wykrzyknęła i rozpłakała się — a z braciami zgodę powinnaś trzymać! dodała obcierając oczy.

— Józka dobra dziewczyna, Grzela jeszcze nierychło wróci z wojska... a..

— Kowali trza się strzec..

— Przeciech oni się z Maciejem sądem obsorują.

— Ma ten Kowal jakieś wyrachowanie, ma! Ale pilnowała go będę.. Z Antkami najgorzej, bo się zgodzić nie chcą... i dobrodziej wczoraj zgodę chciał robić.. nie przyszli...

— I bo Maciej jest taki zły jucha, żeby ich z chałupy wygnać! wykrzyknęła namiętnie!

— Co ty Jaguś, co ty? Dyć Antek najbarzej wygadywał na ciebie i grunt chciał odebrać i pomstował a zarzekał przeciw tobie, że powtórzyć trudno —

— Antek przeciw mnie? Ocyganili was, a żeby im ozory pokurczyło przechodnie...

— A czemuż to jego stronę trzymasz, co?.. Rozgniewała się groźnie.

- A to wszystkie na niego! Ja niejeden jak ten pies dziadowski, co za każdym idzie, byle mu ino chleba podrzucił! Dobrze widzę, że mu się krzywda dzieje... ⌈272/273
- To mówcie mu i zapis oddała... co?...

Ale Jagna już nie słuchała rzeczy, bo łzy ciurkiem polały się z jej oczów, to ino uciekła do komory, przywarła drzwi za sobą i długo płakała...

Nie przeszkadzała jej Dominikowa, ino nowe skrupienie wlazło się do jej serca, ale nie czas było medytować, bo że przyszła, chłopaki przeciągali się przed sienią, trzeba było wziąć się do porządków i przygotowań ostatnich...

Słońce wstało i dzień rychło potoczył się naprzód.

Przymrozek w nocy był niewąski, że kałuże po drogach i brzegi stawu ścięły się lodem, a na grudzie i co liściach bydło utrzymać się mogło.

Ciepło się czyniło, pod płotami i w cieniach leżał siwy szron, ale ze strzech skapywał zamróz lśniącemi paciorkami, a na mokradłach kurzyły opary kiej dymy.

Powietrze było tak przejrzyste, że okólne pola widziały się jak na dłoni, a lasy się przysunęły, że i pojedyncze drzewa mógł rozeznać...

Na niebie modrem i [illegible] ani jednej chmurki nie było.

Ale na pogodę nie szło, bo wrony kłuły się koło domów, i piały koguty.

Niedzielny to był dzień, chociaż dzwony jeszcze nie przedzwaniały do kościoła, a już wieś wrzała kiej w ulu. Z pół wsi szykowało się na wesele Borynowe z Jagną...

Między chałupami, przez ogołocone sady, biegały dziewczyny z pękami wstążek, a wstążkami i stroikami roznemi...

W chałupach był niemały rwetes przygotowań, przymierzań a przyskakiwań, że

– ~~[illegible] z [illegible] niechcenia~~

– ~~Że [illegible] Starszy, to [illegible], [illegible] wszystko, z [illegible] [illegible] Starszy [illegible] jak [illegible] [illegible].. [illegible]..~~
~~może ci jeszcze [illegible] przypisać..~~

często powymiatanych ulicy i dróg, buchały radosne głosy aże już do późna wieczora.—
A i w chałupie Dominikowej uczynił się gwałt i zamieszanie, jak to zwyczajnie w dzień taki!
Dom był świeżo obielony, choć nieco obłaził wapno na węgłach, a widniał już z daleka, bo i umajony był jak na Świątki. Chłopaki, jeszcze wczoraj, natykali świerczyny wszędzie, to w szpary ścian, gdzie się ino dało, a całe opłotki od drogi do sieni wysypali jedliną — pachniało jak w borze na wiosnę.
A i wewnątrz wyporządzone było galanto.
Po drugiej stronie, gdzie był skład rupieci, buzował się tęgi ogień i kucharowała Ewka od młynarza przy pomocy sąsiadek i Jagustynki.
Z pierwszej zaś izby, wynieśli wszelki sprzęt zbytni do komory, że ostały ino obrazy, a chłopaki ustawiali pod ścianami ławy wąskie a długie stoły. Izba też była wybielona nowo, wymyta a komin przysłonięty modrą płachtą — cały zaś pułap i belki przeczerniałe ze starości, Jagusia suto przystroiła wycinankami. Maciej był przywiózł z miasta kolorowych papierów, a ona wystrzygała z nich kółek strzępiastych, to kwiatuszków, to ptaków różnych, jako: kiedy psy gonią owce a pastérz z kijem za niemi leci, abo zaś i procesyję całą, z księdzem, z chorągwiami, z obrazami, i insze różności że spamiętać trudno, a tak wszystko utrafione i foremne kiedy żywe — aż się ludzie wczoraj, na zapleciach dziwowali — — Umiała ona i nie takie, a wszystko co ino zamyśliła abo na co spojrzała.. że nie było w Lipcach chałupy, bez tych jej strzyżek..
Ogarnęła się nieco w komorze i wyszła nalepiać resztę wzdłuż ścian, pod obrazami bo już gdzieindziej miejsca nie było.

– Jaguś! a dałabyś spokój tym cudakom, drugiej ino patrzę... lutuje się wnet schodzić precz, muzyka już po wsi chodzi... a ona się zabawia...

– Zdrowam jestem, cóż... Odpowiadała krótko i dała wnet spokój wypytywaniom – brakło jej cierpliwości... wysypała podłogę kołkami jedlinowemi, to stoły pokryła cienkiem płótnem, to porządkowała w komorze, albo się przemawiała z braćmi, lub wychodziła przed dom i patrzyła długo w świat! A żadnej radości w sobie nie czuła, żadnej. Myślała jeno, że się wytańcuje a muzyki nasłucha i śpiewów, na co łakoma była. Była jak ten dzień jasny, rozjaśniony a mokry jesienią i wyschły. Żeby jej wszystko nie przypominało, że to wesele dzisiaj, nie zważałaby ołem... Boryna wczoraj, na zaręczynach dał jej aż osiem sznurów korali, wszystkie, jakie mu zostały po nieboszczkach... Leżały na skrzyni, nawet ich nie przymierzyła... Nie stała o nie, nie stała dzisiaj o nic... Leciałaby tylko gdzieś, przed się, choćby w cały świat... ale gdzie? Abo to wiedziała! Obrzydło się jej wszystko, a do tego wciąż wracało powiedzenie matczyne o Antku... – Jakże, ona by wzgardzał, on?.. Nie mogła wierzyć, nie chciała... bo aż się jej na płacz zbierało!..
A może?.. Wczoraj kiedy przed wsią stała, przecież iście się spojrzał! a jak szli rano do spowiedzi z Boryną, spotkali go przed kościołem... zmijając zawrócił jak przed złym psem... A może?.. Niech zdycha kiej żaba, niech zdycha?...
Zaczęła się buntować przeciw niemu ale i mogła, wspomnienia tego wieczoru kiedy wracali z obierania kapusty od Borynów – buchnęły jej do mózgu i zalały ją całą wogniu, i owinęły jej duszę słodkim upałem, a tak wyraźnie w niej ożyły, że rady sobie dać nie mogła... aż ni stąd ni zowąd ozwała się do matki:

– Wiecie, a to po ślubie włosów mi nie obcinajcie!

– Hale, co mądrego umyśliła! Słyszano to, żeby dziewce włosów nie ucięło przed ślubię!
– A po dworach i miastach nie obcinają!
Pewnie – juści, bo im tak trzeba do rozpusty – żeby ludzi mogły oszukiwać i za co innego się wydawać. Ale, będzie tu nowe porządki zakładała! Dworskie panince niech se z siebie cudaki robią i pośmiewisko, niech se i kudłami jak żydowice jakie chodzą – wolno im kiej głupie, a tyż gospodarska córka słuchać powinna, nie żadne miejskie pomietło, jak robić winna jak Pan Bóg przykazał, jak zawdy w naszym gospodarskim stanie się robiło... Znam ja te miejskie wymysły, znam... juści nikomu one na zdrowie nie wyszły! Poszła w służbę do miasta Pakulanka i co?.. Mówił wójt, jako papier przyszedł do kancelarji, że dziecko udusiła i w kreminale siedzi... albo i ten Wojtek, Borynów krewniak po siostrze, dorobił się w mieście siedzie, że teraz po wsiach po prośnie chodzi... a przódzi na Wólce gospodarstwo miał, konie miał i chleba po grdykę... zachciało mu się butów, a ma kij i torbę na starość...
Ale Jagna matczynych przykładów nie słuchała, a obcięła i gadać sobie nie dała... Namawiała ją Ewka, a to znająca była, nie jedną wieś znała i rok w rok, do Częstochowy z kompanijami chodziła, przekładała i zagadywała ale jak to ona, zawdy z przekpinkami i naśmiewliwie, bo wkrótce rzekła..
Ostaw warkocz, ostaw, zda się Borynie, okręci se nim rękę, ostro przytrzyma i zmiękczy cię kijem zlęję... sama go obetniesz potem.. Zostaw, dała nie-jedna... nie mówiła więcej, bo Witek ją wołał ~~[illegible]~~, gdyż od wypędzenia Antków, przeniosła się do Boryny, ~~gdyż~~ bo Józia poradzić sobie nie mogła z gospodarstwem. Pomagała wszystko Ewa, a co tydzień zaglądała do dom, stary dziś do niczego głowy nie miał, Józia już od sama przyuczała się u Kowalów a Kuba leżał wciąż chory.

— Chodźcie prędzej, bo Kuba was pilno potrzebuje. — przynaglał Ambroży
— Gorzej mu to?
— A juści, tak stęka i jęczy aż na drodze słychać!
— Idę wte pędy. Moiściewy, obacz ino co się u mnie dzieje i zaraz wrócę...
— Jagno i tobie pora się spieszyć, druchen ino patrzę. — Nagabała matka.
Ale Jagna nie pospieszała, chodziła jak senna, przysiadała po ławach, to wnet się zrywała i zaczynała sprzątać ale robota leciała jej z rąk, a ona stała długo bezmyślnie zapatrzona w okno. Kolebało się w niej duszą jak woda i raz wraz biła jakby o kamień jaki, o przypomnienie...
A wtedy gwar się czynił coraz większy, bo weszli w progi kumy różne, to krewniaczki, to gospodynie i dawnym obyczajem znosiły kury, to bochen białego chleba, placek, soli, mąki, słoniny albo jakiego rubla w zapasku — wszystko to w podzięce za prośby weselne, żeby gospodyni zbytnio się nie szkodowała.
Przepijały ze starą po kieliszeczku słodkiej, pogwarzyły, nadziwowały i rozbiegały się spiesznie.
A Dominikowa tego się imijała — pilnowała warzy, uprzątała, rządziła i na wszystko oko miała i sposób, a często nagabała chłopaków, bo się ociągali, a co który ino mógł, to się ze chałupy wyrywał na wieś, do wójta, bo już tam byli muzykanci i zbierali się drużbowie...
Na sumie mało kto pomiał, gniewał się za to dobrodziej, że la wesela zapominają o służbie bożej — co było i prawdą, ale naród to sobie rozumiał, że i wesela takie nie co niedziela się odprawiają...
A zaraz po obiedzie jęli się zjeżdżać ze wsi pobliskich, kto był zaproszon.
Słońce się już przetoczyło z południa i pomgło bladem, jesiennem światłem, że ziemia błyszczała jakby ozorona, okna buchały płomieniami, staw lśnił się

i migotał, przydrożne rowy połyskiwały wodą jakby szybami - wszystek świat był przesycony światłem dogasającej jesieni i ciepłem ostatniem.
Ogłuchła, niema cisza oblekała rozkołysaną ziemię.
Dzień się dopalał jaskrawo i zwolna przygasał.
Ale w opłotkach huczało jakby na jarmarku.
Jak tylko przedzwonili na nieszpory, muzyka wywaliła się od Wójta na drogę.
Najpierwsze szły skrzypki w parze z fletem, a za niemi warczał bębenek i brzękotami i basy przystrojone we wstęgi wesoło pohukiwały -
Za muzyką szli obaj dziewosłęby i drużbowie - sześciu ich było.
A wszystko chłopaki młode, dorodne, kiej sosny smukłe, w pasie cienkie, w barach rozrosłe, tanecznicy zapamiętali, pyskacze harde, zabijaki tęgie, srogi nieustępliwe - same rodowe, gospodarskie syny.
Walili środkiem drogi, kupą całą, ramię przy ramieniu - aż ziemia dudniła pod nogami, a tak radosni, weseli i przystrojeni pięknie, że ino słońcem grały pasiate portki, czerwone spencerki, pęki wstęg u kapeluszów, i rozpuszczone na wiatr, kiej skrzydła, kapoty białe...
Krzykali ostro, podśpiewywali wesoło, przytupywali siarczyście i szli tak sznurem, jakoby się młody bór zerwał i z wichurą leciał..
Muzyka grała polskiego, bo szli ciągnąć od domu do domu zaproszonych weselników - gdzie im wynosili gorzałki, gdzie zapraszali do wnętrza, gdzie zaś śpiewaniem odpowiedzieli - a wszędy wychodzili przystrojeni ludzie, przystawali do nich i szli dalej społem, i już wszyscy wspólnym głosem śpiewali pod oknami druchen:

— „Wychodź druchenko, wychodź Kasieńko.
Na wesele czas —
Będą tam grały, będą śpiewały
Skrzypice i bas —
A kto się nie naje, kto się nie napije...
Pójdzie do dom wczas!
Oj da dana dana, oj da dana, da!...

Huknęli społem i z mocą taką, aż się po wsi rozlegało, aż na pola szły weselne głosy, pod borami śpiewały, we świat leciały szeroki.
Ludzie wychodzili przed domy, do sadów, na płoty, a jaki taki choć i nie weselny przystawał do nich, by się aby napatrzeć i nasłuchać, że nim doszli, już się prawie cała wieś zbiegła i skupiała weselników ciżbą, iż coraz wolniej szli, a dzieci chmarą nieprzeliczoną i z wrzaskiem a przyśpiewywaniem, przodem biegły.
Doprowadzili gości do weselnego domu, przegrali im na godne wejście i zawrócili do pana młodego.
A Witek, który ze wstęgami u sukmanki nawet był społem z drużbami chodził, ~~pobiegł~~ skoczył teraz naprzód
— Gospodarzu, ato muzyka z drużbami wali! Krzyknął [illegible] i poleciał do Kuby.
Rzęsisto zagrali na ganku, a Boryna w ten mig wyszedł, drzwi na roścież wywarł, witał się, a do środka zapraszał, ale wójt z Szymonem ujęli go pod boki i już prosto do Jagny powiedli, bo czas było do kościoła.
Szedł ostro i aż dziw, tak młodo wyglądał; wystrzyżony, do czysta wygolony, przystrojony weselnie — urodny był, jak mało który, a przy tem to i mocny w sobie

poufały i rozwodny, to i posturę już miał zgoła widną, i powagę w twarzy nie małą; prześmiewał się ze sobą z parobkami, pogadywał, a najczęściej z Kowalem, bo mu się wciąż na oczy nawijał.

Rychło go wyprowadzili do Dominikowej; naród się rozstąpił a oni go wiedli do izby szumno, z graniem i przyśpiewkami.

Ale Jagusi nie było, przystrajały ją jeszcze kobiety w komorze mocno zawartej i pilnie strzeżonej, bo parobcy drzwi pchali, to w szparach szparudki czynili i przekomarzali się z druhnami, że ino pisk, śmiechy i babie wrzaski odpowiadały.

A matka z synami, przyjmowała gości, częstowała gorzałką, usadzała co starsze na ławach i na wszystko oko miała, bo narodu się zwaliło, że i trudno przejść było przez izbę, po sieniach stali, w opłotkach nawet. Nie bele jakie to goście: nie gospodarze sami, rodowi i co bogatsze, a wszystko krewniacy, powinowaci i kumy Borynów i Paczesi, a drudzy zasię znajomkowie, to i z dalszych wsiów zjechali. Juści, że ni Kłęba, ni Winciorków, ni tych morgowych biedot nie było, ni tego zrobiarzyny co po wyrobkach chodził i zawdy ze starym Kłębem trzymał —

Nie dla psa kiełbasa, nie dla prosiąt miód!

Dopiero w jakie dwa pacierze, otwarli drzwi komory i Organiścina z Młynarzową wywiedły Jagnę na izbę, a druhny obsiadły ją śpiewaniem, a tak strojne i urodne wszystkie, że kwiaty to były nie kwiaty, a ona między niemi najśmiglejsza i kieby ta róża najczerwieńsza stojała w pośrodku, a cała w białościach, w aksamitach, w piórach, we wstęgach, w srebrne ozdocie — że się widziała niby ten obraz co go noszą na procesyjach, aż przycichło z nagła, tak pozierali i dziwowali się urodzie!

~~jakby weselnie, ustrojony był jeszcze, jak wczoraj, chciał mu wszyscy rosół kurze~~ ~~mięso podtykali, i wziął się wesoło i ze wszystkimi pogadywał, a najczęściej~~ ~~z Kłębkiem, bo mu się wciąż pod ręce nawijał.~~

Potem go ~~wyprowadzili do weselnego domu, do muzyki, do tańców, z muzyką~~ ~~i pieśniami, przepili razem parę kolejek i przegryźli plackami. Jagusia~~ ~~była w komorze, przystrajali ją jeszcze, a stara i synowie zapraszała do pieca~~ ~~i stawiała na przetakach placek porwiejny, ale ja takoż rozbierała, bo co~~ ~~chwila ktoś do izby.~~

~~Tak się nawaliło do izby, że ledwie się przepychali i wszędzie stali, w opłotkach przed oknami, wszystek był jakby wale przed cyrsją~~ –

Hej! jak mazury mazurami się było śliczniejszej!
Wnet drużbowie zrobili rumor i gruchnęli z takich pieśni.

Rozgłaszaj skrzypku, rozgłaszaj! –
A ty Jaguś ojca, matkę przeproszaj –
Rozgłaszaj gęśle, rozgłaszaj!
A ty Jaguś siostry, braci przeproszaj! –

Boryna wystąpił, ujął ją za rękę i przyklęknęli, a matka obrazem ich przeżegnała i błogosławiła, i wodą święconą kropiła, aż Jaguś z płaczem padła do nóg macierzy, a potem i drugich podejmowała ~~[illegible]~~, przepraszała i żegnała się ze wszystkiemi. Brały ją kobiety w ramiona, obejmowały i podawały sobie, aż się popłakali społem, a Józia najrzewliwiej zawodziła, bo się jej matula nieboszczka przypomniała. Wysypali się przed dom, ustawili w porządku należytym i ruszyli pieszo, bo do kościoła było ze staję –

Muzyka szła przodem i rznęła ze wszystkich sił.

A potem Jagnę wiedli drużbowie – szła bujno, uśmiechnięta przez łzy, co jej jeszcze u rzęs wisiały, weselna niby ten kierz kwietny, i kiej słońce ciągnąca wszystkich oczy, ~~[illegible]~~ włosy miała zaplecione nad czołem, a na nich koronę wysoką, ze złotych szychów, z pawich oczek i gałązek rozmaryny, a od niej na plecy spływały długie wstążki we wszystkich kolorach, i leciały za nią i furkotały kiej ta tęcza; spódnica biała rzęsisto zebrana w pasie, gorset z błękitnego jak niebo aksamitu wyszyty srebrem, koszula o bufiastych rękawach, a pod szyją bujne kryzy obdziergane modrą nicią, a na szyi całe sznury korali i bursztynów aż do pół piersi opadały.

A za nią druhny prowadziły Macieja.
Jako ten dąb rozrosły następuje w boru po śnieżnej ścieżce, tak on następował po Jagnie, w biodrach się ino kołysał, a po bokach drogi rozglądał, bo mu się zdało, że Antka wcześnie uwidział.
A za niemi dopiero szła Dominikowa ze swatami. Kowalowie, Józia, Młynarzowie, organiścina i co przedniejsi —
Na ostatek zaś, całą drogą waliła wieś cała.
Słońce już zachodziło, wisiało nad lasami czerwone, ogromne i zalewało całą drogę, staw i domy krwawym blaskiem, a oni szli wstęgą długą wolno, że aż się w oczach mieniło od tych wełniaków, piór pawich, kwiatów, czerwonych portek, pomarańczowych wełniaków, chustek, kapot białych — jakoby ten zagon rozkwitłemi kwiatami pokryty, szedł i pod wiatr zwolna się kołysał — a pośpiewywał, bo druhny raz wraz, zawodziły cieniuśkiemi głosami.

A jadą, jadą, wozy kolasą —
A moja Jaguś, po tobie płacze..
Hej!

A ci śpiewają, śpiewają sobie —
A ci na smutek Jagusiu tobie..
Hej! —

Dominikowa całą drogę popłakiwała i ja~~[illegible]~~ oczy wpatrywała się w córkę, że nic nie słyszała, co do niej zagadywali
W kościele już Jambroży zapalał świece na ołtarzu.
Ogarnęli się ino w kruchcie, uporządkowali w pary i ruszyli przed ołtarz, bo i ksiądz już z zakrystyi wychodził.
Prędko się odbył ślub, bo ksiądz się ~~[illegible]~~ do chorego śpieszył, ~~[illegible]~~

A gdy wychodzili z kościoła, organista jął na organach wycinać, mazury, a obertasy i kujawiaki takie, aż same nogi drygały, a niektóry tylko co nie huknął piosenką, dobrze iż się wczas pomiarkował!
Wracali już bez nijakiego porządku, całą drogą, gdzie komu było do upodoby a szybciej, bo drużbowie z drużkami zawodzili, jakoby ich kto ze dwór obłapił!
Dominikowa rychlej pobiegła, a gdy nadciągnęli – już ona państwa młodych na progu witała obrazem i tym świętym chlebem i solą, a potem, jęła się ze wszystkiemi znowu witać, a obłapiać i do izby zapraszać!
Muzyka urżnęła w sieniach, więc co który próg przestąpił, chwytał w pół pierwszą z brzega kobietę i puszczał się posuwistym krokiem „Chodzonego” – a już tam, niby ten wąż farbami migotliwy, toczyły się dookoła izby pary, gięły się, okręcały, zawracały z powagą, przytupywały godnie, kołysały się przystojnie i szły, płynęły, wiły się, a para za parą, głowa przy głowie – niby ten rozkołysany łan dostałego żyta, gęsto przewiniony bławatem a makami... – a na przedzie w pierwszej parze Jagusia z Boryną!
Aż światła ustawione na okapie dygotały, dom się chwiał, zdało się, że ściany się rozpękną od tej ciżby i mocy jaka biła od tańcerników!..
Pochodzili z dobry pacierz nim skończyli.
Muzyka teraz zaczęła przygrywać pierwszy taniec, dla młodej, jak to we zwyczaju zdawien dawna było.
Naród zbił się gęstwą pod ścianami i zaległ wszystkie kąty, a parobcy uczynili wielkie koło w którem zaczęła tańcować! Krew w niej zagrała, aż się jej modre oczy iskrzyły i białe zęby połyskiwały w zaczerwienionej twarzy; tańcowała niestrudzenie, coraz zmieniając tańcerników, bo choć raz wokoło, a z każdym przetańcować musiała –

Muzykanci grali ostro aż im ręce mdlały, ale Jaguś jakby zaczęła dopiero, mocniej tylko poczerwieniała i wywijała tak zapamiętale - aż te jej wstęgi z furkotem za nią latały chlastając po twarzach, a rozdęte taneczną wichurą spódnice zapełniały izbę.

A parobcy z uciechy ~~aż~~ pięściami walili w stoły i pokrzykiwali siarczyście - Dopiero na ostatek wybrała młodego - szykował się na to Boryna, bo skoczył kieby ryś do niej, ujął wpół i wichrem zakręcił w miejscu a muzykantom rzucił:

- Z mazurska chłopcy, a rzeźko!

.... Krzyknęli w instrumenty z całej mocy aż w izbie się zakołowało.

Boryna raz ino mocniej Jagnę ujął, nogą na rękę zaciął, ~~[illegible]~~ poprawił kapelusza, trzasnął obcasami i z miejsca jak wicher się potoczył!

.... muzyka rżnęła siarczyście, zapamiętale, z mazowiecka...

Hej! tańcował też, tańcował! a okręcał w miejscu, a zawracał, a hołupce bił aż wióry leciały z podłogi, a pokrzykiwał, a Jagunią miotał i zawijał, że się w jeden kłąb zwarli, i jak to pędne wrzeciono po izbie wili - że ino wicher szedł od nich i moc.

Zbili się wszyscy we drzwiach, po kątach, przycichli, i ze zdumieniem poglądali, a on niezmordowanie hulał i coraz siarczyściej, już się niejedni wstrzymać nie mogli, bo same nogi niesły wraz ino do taktu przytupywali, a co gorętszy dziewczynę brał i puszczał się w tany, na nic już nie bacząc!

Jaguś choć mocna była ale rychło zmiękła i jeno mu przez ręce leciała, dopiero wtedy przestał i odprowadził ją do komory!

- Kiedyś taki chwat, bratem mi jesteś i przy pierwszych chrzcinach w kumotry mnie proś! wołał młynarz biorąc go w ramiona!

Wnet się pobratali gorąco, bo muzyka zaraz zmilkła, i zaczął się poczęstunek.

Dominikowa, synowie, kowal, Jagustynka—uwijali się raźno z pełnemi butelkami i kieliszkami w garściach, a do każdego z osobna przepijali. Józia i kumy roznosiły na przetakach chleb pokrajany i placki.

Wrzawa podnosiła się coraz większa, bo każden swoje głośno powiadał, a wszyscy chętnie się do kieliszków brali, bych wesela rzetelnie zażyć.

(DCN)

Na ławach pod oknem przysiadł młynarz z Boryną, wójt, organista i co pierwsi gospodarze. Już tam niezgorsza butelka araku krążyła z rąk do rąk, a nie jedną kolejką; jeszcze im i piwa donosili—gęsto przepijali, bo się już brać poczynali w ramiona i sielnie kumać!

I na izbie dosyć stało narodu, pozbijali się w kupy, jak komu i z kim było da upodoby, poredzali głośno i zabawiali się niezgorzej kieliszkami.

A w komorze, oświetlonej lampą, pożyczoną od organistów, zebrały się gospodynie z organiściną i młynarzową na czele, po skrzyniach, to ławach przyrzuconych wełniakami, godnie się rozsiadły, miód przez zęby cedziły i słodki placek delikatnie, palcami poskubywały, a zrzadka jeśli która rzuciła to słowo jakie: słuchały uważnie, co młynarzowa rozpowiadała o dzieciach swoich.

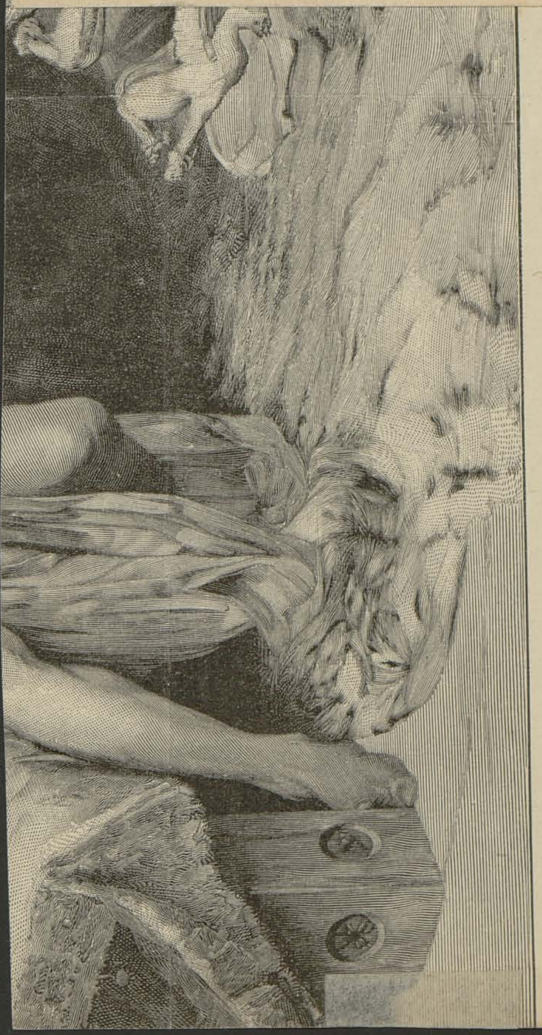
Nawet w sieniach była ciżba, i jeszcze na drugą stronę się cisnęli, aż Ewka wyganiała, bo szykowali pilnie do wieczerzy, od której już po całym domu zapachy szły smakowite, że niejednemu w nozdrzach wierciło.

A młodzież wysypała się przed dom, w opłotki i na przyżby; noc była zimna, cicha a oroszona gwiazdami, to się przechładzali i bawili wesoło, aż się trzęsło od śmiechów, wrzasków i biegań, bo niejedni po sadzie się uganiali za sobą, że starsi krzykali im z okien.

że tylko wypadkiem dowiaduje się o nich ogół.

P. Certowiczówna mieszka stale uż pod Krakowem, we wsi Bronowice Małe, pracownię jednak posiada w samem mieście, ul. Wolska 16. Zwiedziwszy tę pracownię, do której dostęp ułatwia uprzejma gospodyni, łatwo się przekonać, że mamy przed sobą artystkę w pełni rozwoju talentu, po której sztuka polska ma prawo spodziewać się wielu dzieł, znaczących nowe stadya w rozwoju jej karyery artystycznej.

JOZEF NEKANDA TREPKA.



– Kwiatuszków szukacie? byście dziewczyny czego innego nie pogubiły po nocy.
Słuchał to ich kto?

Raz po pierwszej ździe Jagusia i Nastka Gołębianka chodziły, trzymały się wpół i ciągiem buchały śmiechem i coś sobie na ucho opowiadały – naglądał za niemi Szymek, starszy Dominikowej, i z Nastki oczów nie spuszczał a co trochę z wódką do niej podchodził, żeby zaczepiał i zagadywał

Kowal wystrojony odświętnie, w czarnej kapocie i w portkach na cholewy wypuszczonych, uwijał się najraźniej, wszędzie był, że wszystkiemi pił, zapraszał, częstował, rajcował i uwijał się coraz to w innej stronie widniał jego rudy łeb i piegowata twarz –

Młodzi przetańcowali parę razy ale krótko i bez wielkiej ochoty, bo się za wieczorem oglądali –

Starzy zaś posiedzieli, wójt, że był już napity coraz głośniej mówił, wypinał się, pięścią w stół walił i nakrzykiwał:

– Wójt wama to mówi, to wierzcie – Urzędnik jestem, papier do mnie przyszedł z nakazem by gromadę zwołać i z morgi grosz jaki na szkołę uchwalić...

– Wy sobie piętrze uchwalcie i po dziesiątku z morgi, a my żadnego grosza nie damy!

– Nie damy! huknął któryś.

– Cicho Grzela kiej urzędowa osoba powiada...

– Szkoły nam żadnej niepotrzeba! powiedział Boryna.

– A nie potrzeba – przywtórzyli inni chórem.

– Cię.. w Woli szkoła jest, bez trzy zimy moje dzieci chodziły i co?.. to nawet na książce tego pacierza rozeznać nie potrafią... na psa taka nauka!

– Matki niechaj pacierzy uczą, szkoła nie do tego, ja wójt, wama mówię

— A niby od czego? wrzasnął ten z Woli podrywając się z ławy..
— Ja wójt wama rzekę, ino pilnie słuchajta.. zaraz, po pierwsze... ale nie wywiódł do końca, bo Szymon na cały stół wykrzykiwał, że już ten las sprzedany, że drzewa ocechowały i rąbać wnet będą, czekają jeno mrozów i sanny –
— Niech cechują, na wycięcie poczekają... wtrącił Boryna.
— Do komisarza ze skargą pójdziemy.
— Nic to, komisarz zawsze z dziedzicem trzyma, a gromadę ino, trzpaczów rozpędzi...
— Ani jednego chojaka ściąć nie pozwolić!
— Skargę do sądu podać!
— Pijcie do mnie Macieju, nie pora teraz urazów. Po pijanemu łacno wygrażać choćby i panu Bogu! zawołał Młynarz nalewając. Nie w smak mu szły te rozmowy i odgrażania, bo się z żydami był ugodził i miał im drzewo na swoim tartaku przy młynie rznąć –

Przepili i mniejsi się podnieśli, bo już zaczęli szykować do wieczerzy i wszelki sprzęt potrzebny znosić na stoły i ustawiać.

Ale gospodarze nie zaniechali lasu, jako, bolączka to była piekąca, więc się zbili w kupę i przyciszonymi głosy przed młynarzem, radzili i umawiali się, by do Boryny się zejść i coś postanowić... ale nie skończyli, bo wnet Jambroży sprosto do nich przyszedł, zaprosił się, z dobrodziejem do chorego jeździł aż na trzecią wieś, do Krosnowy, to teraz ostro wziął się do picia aby dogonić... nie zdążył jednak bo już starsze kobiety zaśpiewały chórem:

A dokoła drużbeczkowie, dokoła;
Zapraszajcie dobrych ludzi do stoła!

A naród, rumor czyniąc ławami, okrzyknęli drużbowie:

Gdzie my już poprosili – już siedzą.
Dajcie ino co dobrego – to zjedzą! –

I wnet zasiedli za stoły izę a usadzając się na ławach

Zasiedli, że na pierwszem miejscu państwo młodzi, a wpodle nich ze stron obu co najpierwsi, po uważaniu, po majątku, po starszeństwie aż do drugich i dzieci – ale ledwie się pomieścili, choć stoły ustawili wzdłuż trzech ścian.

Tylko drużbowie nie siedli by posługi czynić i muzykanci.

Gwar przycichł, organista stojący odmawiał wybór modlitwę – jeno kowal powtarzał za nim, bo ponoć na łacinie się rozumiał, a potem przepijali po tym kieliszeczku na zdrowie i dobry smak –

Kucharki wraz z drużbami wnosić poczęły dymiące, ogromne donice z jadłem i przyśpiewywały:

Niesiem rosół z ryżem –
A wiem kurę z pieprzem!

A przy drugiej potrawie:

Opieprzone złote flaki
Jedz-że siaki taki!

Muzyka zaś zasiadła pod kominem i przygrywała z cicha piosneczki różne bych się smaczniej jadło.

Pojadali też przystojnie, wolno, w milczeniu prawie, bo mało kto rzucił jakie słowo, że ino mlaskanie a skrzybot łyżek zapełniały izbę, a gdy sobie już nieco podjedli i głód pierwszy zagięli, kowal znowu flaszkę puścił w kolej-kę, przyczem już i poczynali prawie z cicha i przemawiać do się przez stoły.

Jagusia jedna, jakby nie niejadła, próżno ją Boryna niewolił, wpół brał

i jak to dzieciątko prosił, że kiedy nawet mięsa przełknąć nie mogła, uradzona była wielce i rozgrzana — tyle, że to piwo cięgiem popijała, a oczami wodziła po izbie i coś niecoś nasłuchiwała Borynowych szeptów.

— Jaguś, kontentnaś jest, co? Ślicznaś ty moja! Jaguś, nie bój się, dobrze ci u mnie będzie, jak i u matuli nie było lepiej... panią se będziesz, Jaguś, panią... dziewkę ci przynajmę, byś się zbytnio nie utrudzała.. obaczysz!.. pogadywał cicho a wciąż miłośnie patrzył, że ludzi już nie baczył, aż się wgłos przekpiwali z niego.

— Jak ten kot do sperki się dobiera.

— A boci spaśna kiej ta lepa.

— Stary kręci się i nogami przebiera, niczem ten kogut!

— Użyje se jucha stary, użyje! wołał wójt

— Jak ten pies na mrozie. mruknął zgryźliwie stary Szymon.

Buchnęli śmiechem, a młynarz aż się pokładał na stole i pięścią grzmocił, aż kucharki zaraz zaśpiewały:

Niesiem miski tłustej jadły.
By se chudziaki pojadły!

— Jaguś, przychyl no się to ci coś rzeknę! — mówił wójt, przechylił się za Boryną bo tuż przy nim siedział, i uszczypnął ją w bok — A to mnie na chrzestnego proś! zawołał ze śmiechem i łakomemi oczami po niej wodził, bo mu się strasznie udała. Poczerwieniała mocno, a kobiety nato buchnęły śmiechem i dalejże przekpiwać, dowcipy tłuste sadzić i powtarzać jak się ma z chłopem obchodzić!

— A pierzynę co wieczór przed kominem nagrzewaj!

— Głównie, tłusto jeść dawaj, a korzyść mieć będzie..

— I przypochlebiaj, za szyję często ułapiaj

— A miękko ściel, to i nie poruszy a gdzie chcesz tam go zawiedziesz!.. jedna po drugiej prawiły, jak to zwyczajnie kobiety, kiedy sobie podpiją i ozorom wolnom dadzą.

Izba aż się trzęsła od śmiechu, a one tak rozpuszczały gęby, aż młynarzowa zaczęła im przykładać, by wzgląd miały na dziewuchy i dzieci, a organista to dowodził, że to wielki grzech siać zgorszenie i zły przykład dawać!
Bo - prawił - Pan Jezus nam rzekł i święci apostołowie, co wszystko w łacińskich książkach jak wół stoi wypisane, że lepiej sobie myśli mam zgorszyć, bo jako te niewiniątka zgorszysz, to jakbyś mnie samego; tak stoi w piśmie świętem, - bo niepomiarkowanie w piciu, w jadle jak i w uciechach, srogo karanem będzie, to wam ludzie kochane mówię - bekotał niewyraźnie, bo ~~[illegible]~~ nie po jednym już był, ni po dwóch...
- Kalikant jucha, zabawy będzie ludziom bronił.
- Oczytał się obcieca, to myśli że święty!
- Niechaj se usty kapotą zatka! Leciały nieprzychylne głosy, bo nie lubiano go we wsi..
- Wesele dzisiaj to nie grzech się zabawić, pomiarkowanego wesołego uciechy, to już ja, wójt to wam mówię, moi ludzie..
- A nawet przychodził i Jezus po weselach bywał i wino pijał... dorzucił poważnie Ambroży ale cicho bo już pijany był, a że w kącie przy drzwiach siedział, nikt go nie słyszał - i mówili wszyscy naraz, śmiali się, trącali kieliszkami a coraz wolniej pojadali aby się dostały wszyscy, nie jeden już i pasa popuszczał, przecie się by więcej zmieścić..
Kucharki znowu z miskami nowemi szły i zaśpiewały:

Chrząkała, kwiczała w ogródeczku ryła,
Będzie teraz gospodarzom na szkodę płaciła!

- Wyszczerzyli się, no, no? Dziwili się ludzie.
- Jakie, zbytnie strojne kontuje wesele..
- Opłaciło się nie gorzej, boto nie zapisał sześciu morgów!
- Za tę dziewczynkę wszyscy się bałują.

- A Jagna siedzi jak ten mruk
- Maciej zato ślepiami świeci kiej ćwik!
- Kiej to próchno moiściewy, kiej próchno!
- Będzie on jeszcze płakał.
- Nie jest on z tych co płaczą, do kija prędzej się weźmie..
- To samo mówiła wójtowa jak o zmówinach powiadała.
- Czemu to ona dzisiaj nie przyszła?
- Jakże, leda dzień zlegnie...
- Rękę bym sobie dała uciąć, że niedługo, niech ino muzyki zaczną w karczmie, to Jagna ganiać będzie za parobkami.
- Mateusz ino czeka tego!
- Hale, Hale?
- Przeciech! Wawrzonowa słyszała co wygadywał w karczmie.
- Że go to nie sprosili do muzyki?
- Stary chciał ino Dominikowa się przeciwiła, wszyscy wiedzą co było, to jakże?..
- Przygadała każdy a widział kto?
- To niby po próżnicy pogadują!
- A Bartek Kozieł wypatrzył ich na zwiesnę w boru...
- Kozioł jest złodziej i cygan, miał z Płoszkową sprawę o świnię i bez złości wygaduje..
- I inni mają oczy widzące, mają...
- Jak się to skończy, obaczycie... juści, mnie ta nic do tego, ale tak myślę, że się Antkom krzywda stała i dzieciom, to i kara przyjść przyjdzie za to..
- Pewnie, pan Jezus nie rychliwy ale sprawiedliwy..
- O Antku tyż coś niecoś napomykali, że tu i owdzie widywali ich razem jak się zmawiali.... Przycisnęły głosy i rajcowały coraz złośliwiej i niecowały nieubłaganie całą rodzinę, nie darowując i starej, a litując się nad chłopakami najbardziej!..

— A bo to nie grzech! Parobki pod wąsem, Szymek ma już dobrze na trzydzieści i żenić mu się nie da, ździebko nie popuści i obcego co pilnuje —
— Przecież to święty, chłopy tyle a wszystkie kobiece roboty robią..
— By sobie ino Jagusia rączków nie powalała!
— A po pięć morgów mają i żenić by się już mogli!
— Tyle dziewczyn jest we wsi..
— A Wasza Marcycha najstarsza córka i grunt przyległy do Paczesiowego!
— Patrzcie na swoją Franię lepiej, by się czego i z Adamem nie doczekała!
— Stara jest piekielnica, to wiadomo ale chłopaki też niezguły i ciamajdy!
— Tyle parobów a matczynej kiecki boją się puścić!
— Puszczą się... już dzisiaj Szymek ciągiem chodzi za Nastką Gołębianką.
— Ociec ich był taki sam — dobrze bacz, a stara za młodu nie lepsza od Jagusi!..
— Jaki korzeń taka nać — taka córka jaka mać!

Muzyka przycichła, grajkowie jeno poszli na drugą stronę, bo wieczerza się skończyła. Cicho się nagle uczyniło niby w kościele podczas podniesienia — po chwili jednak, gwar buchnął jeszcze mocniejszy aż się zakotłowało, wszyscy naraz mówili, krzyczeli a dowcipili sobie przez stoły że już jeden drugiego nie słyszał.
Podali na ostatku, dla wybranych, krupnik, miodem i korzeniami zaprawiony, a potem szczodrze stawiali tęgą okowitkę i piwo —
Mało kto zważał co pije, bo już się ze łbów kurzyło niezgorzej i kontentność rozbierała.
Siedzieli, jak było poręczniej, kapoty rozpinali z gorąca, pokładali się na stołach, walili pięściami aż miski podskakiwały, chwytali się wpół, to za orzydla, to ułapiali za szyję a całowali, wyjawiali się — jak brat przed bratem, kiej ten krześcijan prawy przed krześcijanem i sąsiadem —
Dobrze jest na świecie! Juści! Marność człowiekowi a te biedowanie jeno....
— Poszły pościerwie... pod stołami psy gryzą się o kości.

..... a pociecha ino w tem, kiej sąsiad z sąsiadem się zejdzie i przy tym kieliszku porędzą, wyżali się i odpuszcza sobie co tam jeden drugiemu winowaty - juści, nie to wyoraną skibę, ni przeoranie granicy, bo to już sądy wiedzą i świadkowie przyświadczą komu krzywda i komu sprawiedliwość; ale to, co tam po sąsiedzku przytrafić się przytrafi - czy kiej gadzina szkodę zrobi, czy baby się poswarzą abo dzieciaki się pobiją, jak to zwykle się zdarzy.. Dyć wiadomo od tego, bych zawżdy dość stajała i bractwa a zgoda rosły między ludźmi!

„- Choćby jeno na ten czas weselny, na dzień jeden!"

„- A jakoż samo przyjdzie! Hej! nie uciągniesz przed dolą, chyba pod te święta ziemię; przyjdzie, za łeb ułapi, jarzmo na kark włoży, biedą popędzi i ciągnij narodzie a potem i krwią się oblewaj, swojego bacz, a gorzej nie popuszczaj ni na to ostępnienie, bym się pod nogą nie zaplątał!"

„- Ma braci pan Jezus stworzył ludzi a wilkami są ku sobie!"

„- Nie wilkami, nie, to jeno bieda podjudza, kusi i judzi na drugich rzuca, że gryzą się jak te psy o gnat objedzony!"

„- Nie sama bieda, nie, złe to ćmę na naród rzuca, że nie rozeznają dobre co, a złe!"

„- Prawda, prawda. i dmucha w duszę kiej kto zarzewie przygasłe, aż chciwość, i złość, i wszystkie grzechy rozdmucha!"

„- Juści, któren głuchy jest na przykazania, ten ochotniej słucha piekielnej muzyki!"

„- Dawniej nie tak bywało! Posłuch był, poszanowanie starszych, i zgoda!"

„- I gruntu każden miał, co ino mógł obrobić, a pastwisk, a łąk, a boru -"

„- A popasałech kto kiedy wygnał?

„- Abo drzewo kupował kto?... Jechał do boru i brał ile komu było potrza, a choćby i te najlepsze sosny czy dęba! - Co było dziedzicowe było i chłopskie."

„- A teraz ni dziedzicowe, ni chłopskie - żydowskie jest, abo i kogo gorszego.

„- Sierocy! piłem do was, pijcie wy do mnie! Narządźwa się jakby na swojem - pijcie wy, dobre twoje, dobre i moje, bych sprawiedliwość we wszystkiem była...

— „Dziedzica parszywe! W wasze ręce! Gorzałka nie grzech, byle jeno przy godnym sposobie i z bratami, to na zdrowie idzie, krew czyści i chorobska odciąga!

— „Jak pić, to już całą kwartę, jak się weselić to już całą niedzielę. A masz człowieku robotę? — pilno rób, kulasów nie żałuj i zacnie się przykładaj! A zdarzy się na ten przykład okazja — wesele, chrzciny, albo i samemu się komu — pofolguj sobie, odpocznij, obserwuj i nie gadaj! A źle wypadnie; — kobieta się zmarnuje, bydle ci zdechnie, pogorzel przyjdzie — wola boska, nie przeciw się, bo i cóż chudziaku poredzisz krzykaniem a płakaniem? — nie; spokojności się ino zbędziesz, że nawet to jakbo powrozem ci się w gębie wyda! — Cierp przeto i ufaj w przenajświętsze miłosierdzie... przyjdzie gorzej, dostanie chłopa ci za grdykę i wołosie zajmie — nie próbój się wyprzeć, nie twoja moc — bo wszystko jest w Boskiem ręku...

— „Juści, kto tam wymiarkuje, kiej Jezus rzeknie: „Do tela twoje, — od tela moje, człowieku!"

— „Tak to, tak! Góra, kiej to błyskanie leca Boskie przykazy, a nikt, żeby ksiądz, żeby najmądrzejszy ich nie przejrzy przódzi, aż padną na naród zwonem dojrzałym!

— „A człowiek ma tylko jedno wiedzieć — swoje robić i żyć jak przykazania święte nakazują, a przodzie nie wyglądać... Pan Jezus wszystkim zarządzi sprawiedliwie i wypłaci rzetelnie, co ino komu przypadnie...

— „Jak ci polski naród stojał — to i tak ma być aż po wiek wieków amen!

— „A cierpliwością i bramy piekielne przemoże —

Tak sobie pogwarzali gęsto przepijając, a każdy wypowiadał co miał na sercu i co mu dawno ośćcą stało w gardle! A najwięcej i najgłośniej godał Jambroży, juści, że go nie wielu słuchali, bo każden mówił i swojego chciał słuchać, mało bacząc na drugich... bo wszyć wrzało już i kotłowało się coraz bardziej, gdy Ewka z Jagustynką weszły, niosąc przed sobą z wielką paradą przystrojoną warząchew — Muzykant który szedł za niemi i przygrywał na skrzypkach, a one śpiewały!..

Da powoli, powoli -
Da od stołów wstawajcie!
Po trzy grosze za potrawę,
Po dziesiątku za przyprawę -
Da kucharzeczkom dajcie!

Naród był syty, podochocony i zmiękły dobrem jadłem i napitkiem częstym, to niektóry i srebrne pieniądze rzucali na warząchew -
Wraz też dźwigać się jęli z zastołów i zwolna rozchodzili - który na powietrze wychynął, który w sieniach albo na izbie przystawali i dalej dyskursa ciągnęli, insi zaś obłapiali się z przyjacielstwa, a niejeden już się potaczał i po ścianach tłukł sobą albo drugich, jako ten baran tryknął - co i nie dziwota, bo wieczerza była gęsto gorzałką przeplatana.
Za stołem pozostał jno wójt z młynarzem, kłócili się i z gorącością niepomierną skakali do siebie jak jastrzębie, aż Jambroży chciał ich wódką godzić -
- Kruchty pilnuj dziadu, a do gospodarzy ci zasię - warknął wójt.
Odszedł markotny, butelkę do piersi cisnął, kusztykał głośno i szukał z kimby się mógł po przyjacielsku napić i ugadać -.
Młódź zaś wysypała się w opłotki, to trzymając się wpół na drogę wylegali gwarzyć i gzić się - aż dudniało od przegonów i wrzawy - noc była jasna, księżyc wisiał nad stawem kiej miecio błyszczący, że i najbliższe kręgi, co się roztaczały jakby od uderzeń światła, widne były niby węże półkuliste śmigające w cichości; przymrozek brał niezgorszy, grudź się łamała pod nogami i szron pobielił dachy i już przyoblekał sędziwizną ziemię.
Późno już było, bo pierwsze kury odzywały się po wsi -
A w izbie tymczasem czyniono porządek i szykowano do tańców

I znowu muzykanci podjedli i nieco wypoczęli, jeli cicho przegrywać by się wcześniej pociągali do kupy.
Ale nie potem ich było długo nagarniać, kupą się sypnęli do izby, bo skrzypki tak niewoliły do tańca, że już same nogi niesły – na darmo jednak, porobaczuli się jeszcze przyciężko po wieczerzy, pokręcił się ździebko jeden i drugi i wnet usiadali do ziemi, zakurzyć papierosa albo i ze ściany wolne podpierać –
Jagnę uprowadziły kobiety do komory, Boryna na przypiecie z Dominikową siedział, a co starsi zaległi ławy i kąty i porozsiadali, że ino na izbie dziewczyny ostały i prześmiewały się między sobą, ale, że im się to, nieskoro zdało, zaczęły zabawę w gry różne, bych prędzej chłopaków poruszać –
Najpierwéj zabawiali się w „Chodzi lis koło drogi nie ma ręki ani nogi".
Na lisa przebrali w kożuch do góry wełną Jaśka, „Przewrotnego" – gap to był, niedojda i prześmiewisko całej wsi. Parob już wyrosły, a rozwartą gębą chodził, zdziecinni się zabawiał, do wszystkich dziewczyn się zalecał, a srodze głupawy, ale że to jedynak na dziesięciu morgach, to go wszędy przyjmowali –
zajączkiem zaś była Józia Borynianka.
Śmieli się też, śmieli mój Jezus!
Co krok, to Jasiek się rozczapierzał i bęc jak ta kłoda na ziemię, że mu to i nogi podstawiali, a Józia tak utrafnie uciekała, stawała słupka i wargami ruchała, niczem żywy zając.
A potem w „przepiórkę"
Nastka Gołębianka prowadziła, a tak się zwijała, tak rączo śmigała po izbie, że nijak jéj chycić nie mogli, aż sama im wlazła w ręce, bych ino obtańcowywać koło.
I w „Świnkę" się zabawiali!
A na ostatek, któryś z parobków, widzi mi się Tomek Wachnik, bociana

IV